

CHEMIA



NASZYCH



SERC



KRYSTAL  
SUTHERLAND


KRYSTAL  
SUTHERLAND

CHEMIA  
NASZYCH SERC

Przełożyła z angielskiego  
Donata Olejnik



WROCŁAW 2016

Tytuł oryginału *Our Chemical Hearts* Projekt okładki THERESA  
EVANGELISTA Fotografie na okładce: © Gandee Vasan/Stone/Getty Images © View  
Stock/Getty Images Redakcja URSZULA ŚMIETANA Korekta IWONA  
HUCHLA Redakcja techniczna LOREM IPSUM Copyright © 2016 by Krystal  
Sutherland Polish edition © Publicat S.A. MMXVI (wydanie  
elektroniczne) Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym  
nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione. All rights reserved. Wydanie  
elektroniczne 2016 ISBN 978-83-271-5640-2   
jest znakiem towarowym Publicat S.A.

**Publicat S.A.**

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00

e-mail: [office@publicat.pl](mailto:office@publicat.pl), [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Oddział we Wrocławiu

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66

e-mail: [wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl](mailto:wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl)

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



## Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

UWAGI

DZIĘKUJĘ

CYTATY FILMOWE

Przypisy

*Dla mojej rodziny, za wszystko, zawsze*

## ROZDZIAŁ 1

Zawsze sądziłem, że moment, w którym człowiek spotyka miłość swojego życia, przypomina scenę z filmu. Oczywiście, nie żywcem zdjętą z ekranu, bo bez zwolnionego tempa, bez włosów unoszących się na wietrze oraz narastającego brzmienia ścieżki dźwiękowej. Uważałem jednak, że to będzie coś zauważalnego. Trzepot serca. Szarpnięcie za duszę i wewnętrzny głos mówiący: „Jasna cholera. Oto ona. W końcu – wreszcie. Ona”.

Nic takiego się nie wydarzyło, gdy we wtorek w drugim tygodniu ostatniego roku nauki Grace Town weszła z dziesięciominutowym spóźnieniem na zajęcia teatralne prowadzone przez panią Beady. Grace należała do tego typu osób, które zawsze zwracają na siebie uwagę, chociaż nie z powodów budzących natychmiastowy podziw i nieustające uwielbienie. Miała przeciętny wzrost, przeciętną sylwetkę i była przeciętnie atrakcyjna, co powinno ułatwić jej adaptację w nowej szkole bez żadnych dramatycznych zwrotów zwykle towarzyszących tego typu okolicznościom.

Istniały jednakże trzy cechy, które natychmiast rzucały się w oczy, zanim ktokolwiek zdołał zauważyć jej zwyczajność:

1. Grace była od stóp do głów ubrana po męsku. I wcale nie chodziło o stylizację na chłopczycę, tylko o konkretne chłopięce ciuchy, o wiele na nią za duże. Wąskie z założenia dzinsy musiała przytrzymywać paskiem, żeby jej się nie zsuwały z bioder. Chociaż była dopiero połowa września, miała na sobie sweter, koszulę w kratę oraz wełnianą czapkę, a na szyi długi rzemyk z kotwicą.

Grace wyglądała niezbyt świeżo. Widywałem ćpunów w lepszym stanie niż ona tamtego dnia. (Co prawda wielu ich nie spotkałem, ale oglądałem *Prawo ulicy* i *Breaking Bad*, a to się liczy). Jasne włosy miała fatalnie obcięte i nieuczesane, jej cera wydawała się ziemista. Przypuszczam, że gdybym miał okazję ją powąchać, okazałoby się, że Grace śmierdzi.

Gdyby powyższe argumenty nie wystarczyły, żeby totalnie spieprzyć jej szanse na ciepłe przyjęcie w nowej szkole, istniał jeszcze jeden: Grace Town weszła do klasy, podpierając się laską.

Tak się właśnie sprawy miały, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy. Żadnego zwolnionego tempa, żadnego powiewu, ścieżki dźwiękowej, a już na pewno żadnego trzepotania serca. Grace wkuśtykała do sali dziesięć minut po rozpoczęciu lekcji, nie mówiąc ani słowa, jakby chodziła z nami do szkoły od wielu lat. Nie wiem, czy to dlatego, że była nowa, czy chodziło o jej dziwaczność, czy może profesor Beady od razu domyśliła się, że Grace ma złamaną duszę, w każdym razie nic nie powiedziała. Grace zajęła miejsce z tyłu sali teatralnej, położyła laskę na udach i do końca zajęć milczała.

Zerknąłem na nią jeszcze dwukrotnie, ale zanim lekcja się skończyła, zapomniałem o jej obecności, a ona wymknęła się z klasy niezauważona.

Tak więc z pewnością nie jest to opowieść o miłości od pierwszego wejrzenia.

Chociaż jest to opowieść o miłości.

To znaczy...

Coś w tym rodzaju.

## ROZDZIAŁ 2

Pierwszy tydzień po wakacjach, poprzedzający niespodziewane pojawienie się Grace Town, okazał się tak monotony i nieciekawym, jak tylko może być tydzień w szkole średniej. W tym czasie doszło zaledwie do trzech drobnych skandali: pewien uczeń trzeciej klasy został

zawieszony za palenie w ubikacji dziewczyn (jeśli już masz zostać zawieszony, przynajmniej postaraj się zasłużyć na to czymś mniej szablonowym), anonimowa osoba umieściła na YouTube nagranie z bójki na szkolnym parkingu (a dyrekcja prawie oszalała z tego powodu) oraz zaczęły krążyć pogłoski, że Chance Osenberg i Billy Costa zarazili się chorobą weneryczną, po tym jak uprawiali seks bez zabezpieczeń z tą samą dziewczyną (niestety, nie zmyślam).

Tymczasem moje życie – jak zwykle – toczyło się spokojnie. Miałem siedemnaście lat, byłem dziwnym, patykowatym chłopakiem, którego moglibyście zaangażować do roli młodego Keanu Reevesa, gdyby wskazana była oszczędność, bo np. większość waszego budżetu poszła na kiepskie efekty specjalne oraz wyżywienie obsady. Nigdy w życiu nie wypaliłem papierosa i nikt – całe szczęście! – nie zaproponował mi nigdy chędożenia bez gumki. Miałem ciemne włosy sięgające do ramion i z upodobaniem nosiłem sportową marynarkę mojego taty z lat osiemdziesiątych. Można powiedzieć, że wyglądałem jak męski odpowiednik Summer Glau skrzyżowany z Severusem Snape'em. Odejmijcie haczykowany nos, dodajcie dołeczki i *voilà*: oto idealny przepis na niejakiego Henry'ego Isaaca Page'a.

W tamtym okresie nie interesowałem się zbyt dziewczynami (ani chłopakami, gdyby ktoś pytał), podczas gdy moi rówieśnicy mniej więcej od pięciu lat to wchodziłi w rozmaite dramatyczne związki, to je kończyli. Prawdziwa miłość była jeszcze przede mną. Owszem, w przedszkolu doszło do pewnego epizodu miłosnego z Abigail Turner (pocałowałem ją w policzek, kiedy się tego najmniej spodziewała i od tego momentu nasze stosunki gwałtownie się pogorszyły), a przez co najmniej trzy lata podstawówki obsesyjnie marzyłem o poślubieniu Sophi Zhou, jednak po okresie dojrzewania coś się we mnie przełączyło i zamiast stać się napędzanym testosteronem maniakiem seksualnym jak większość chłopaków w szkole, uznałem, że nikt nie jest w stanie mnie zainteresować.

Z przyjemnością skupiłem się na nauce i zdobywaniu dobrych ocen potrzebnych mi do rekrutacji na umiarkowanie przyzwoitą uczelnię – zapewne właśnie dlatego przez kolejnych kilka dni w ogóle nie myślałem o Grace Town. Może w dalszym ciągu bym o niej nie myślał, gdyby nie niejaki Alistair Hink, nasz nauczyciel angielskiego.

Moja wiedza na temat profesora Hinka sprowadzała się mniej więcej do tego, co większość uczniów wie na temat swoich nauczycieli. Czyli na przykład tego, że miał paskudny łupież, co nie byłoby wcale aż tak widoczne, gdyby nie upierał się przy noszeniu czarnych golfów. Na tym tle białe drobinki opadające mu na ramiona rzucały się w oczy jak śnieg na asfalcie. Z tego, co mogłem wywnioskować po jego lewej dłoni, nie był żonaty i podejrzewam, że wiązało się to ściśle z jego urodą oraz z tym łupieżem: przypominał do złudzenia Kipa, brata Napoleona Wybuchowca.

Hink był prawdziwym pasjonatem języka angielskiego, tak wielkim, że kiedy raz lekcja matematyki przedłużyła się o pięć minut i wgryzła w zajęcia angielskiego, Hink wezwał do siebie profesora Babocka od matmy i pouczył go oficjalnie, że nauki humanistyczne w niczym nie ustępują przedmiotom ścisłym. Wiele osób śmiało się z niego pod nosem – moim zdaniem pisana im była kariera w inżynierii, chemii bądź obsłudze klientów – ale gdy spojrzę wstecz, mogę wskazać to konkretne popołudnie w dusznej sali lekcyjnej, kiedy zakochałem się w idei zostania pisarzem.

Zawsze potrafiłem składać słowa w zdania. Jedni rodzą się ze słuchem muzycznym, inni z talentem plastycznym, a jeszcze inni – tacy jak ja – mają wbudowany radar, który informuje ich, w którym miejscu należy postawić przecinek. Niestety, intuicja gramatyczna plasuje się raczej nisko na liście najbardziej oszalamiających umiejętności. Wystarczyła jednak, żeby zwrócić uwagę pana Hinka, który – tak się składało – prowadził także szkolną gazetkę. Współtworzyłem ją od drugiej klasy z nadzieją, że w końcu zostanę redaktorem naczelnym.



Była mniej więcej połowa czwartkowych zajęć teatralnych w drugim tygodniu szkoły, kiedy nagle rozdzwonił się telefon i pani Beady go odebrała.

– Henry, Grace. Profesor Hink prosi, żebyście przyszli po lekcjach do jego gabinetu – rzuciła po kilku minutach rozmowy. (Beady i Hink od zawsze się przyjaźnili. Dwie dusze, które przysły na świat w niewłaściwym stuleciu, drwiącym z wielbicieli sztuki uważających, że jest to najbardziej niesamowita rzecz, jaką ludzkość kiedykolwiek stworzyła i stworzy).

Skinąłem głową i celowo nie spojrzałem nawet na Grace, chociaż kątem oka dostrzegałem, że wpatruje się we mnie z tyłu klasy.

Większość osób wezwanych do gabinetu nauczyciela zakłada, że chodzi o najgorsze, ale, jak już wspominałem, moje życie było absolutnie, tragicznie wręcz wolne od skandali. Wiedziałem (a przynajmniej miałem taką nadzieję), dlaczego Hink chciał się ze mną widzieć. Grace chodziła dopiero od dwóch dni do Westland High, a to trochę za krótko, żeby zarazić kogokolwiek rzęsistkiem i/lub spuścić komuś łomot po lekcjach (choć trzeba przyznać, że była wyposażona w laskę i często wydawała się nieco naburmuszona).

To, dlaczego Hink wezwał do siebie Grace, pozostawało tajemnicą – jak niemal wszystko, co jej dotyczyło.

### ROZDZIAŁ 3

Kiedy dotarłem do gabinetu Hinka, Grace już tam czekała. Znów miała na sobie męskie ubranie, chociaż inne niż poprzednio, za to wyglądała bardziej schludnie. Umyła i uczesała jasne włosy, co – chociaż opadały nierównymi kępami na ramiona, zupełnie jakby ciachnęła je własnoręcznie tępym sekatorem – diametralnie wpłynęło na jej wygląd.

Usiadłem obok niej na ławce, nagle bardzo świadomy istnienia swojego ciała – tak bardzo, że nagle zapomniałem, jak się siedzi swobodnie, i musiałem ustawić każdą kończynę osobno. Nie udało mi się uzyskać idealnej pozycji, wobec czego pochyliłem się niezdarne do przodu, aż mi ścierpl kark, ale wolałem się już nie ruszać, bo widziałem, że przygląda mi się kątem oka.

Grace siedziała z kolanami przyciśniętymi do piersi. Czytała książkę o zniszczonych kartkach w kolorze zębów poplamionych kawą. Nie było widać tytułu, ale mojej uwadze nie uszło, że to wiersze. Kiedy przyłapała mnie na tym, że zaglądam jej przez ramię, myślałem, że zamknie z hukiem tomik albo go odsunie, ale nie – ona odwróciła go tak, żebym i ja mógł widzieć tekst.

Czytała – domyśliłem się, że na okrągło, bo narożnik był zgięty, strona poplamiona i ogólnie sponiewierana – wiersz Pabla Nerudy, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem. Nosił tytuł *Nie Kocham cię*, co mnie zaintrygowało, więc zacząłem czytać, chociaż Hinkowi nie udało się dotąd zainteresować mnie poezją.

Moją uwagę przyciągnęły dwa podkreślone wersy:

*Kocham cię, jak się kocha jakieś rzeczy mroczne,  
w tajemnicy, pomiędzy cieniem a duszą<sup>[1]</sup>.*

Wtem Hink wyłonił się ze swojego gabinetu i zanim zdołałem doczytać do końca, Grace zamknęła książkę.

– A zatem już się poznaliście – odezwał się, widząc nas razem.

Szybko poderwałem się z miejsca, by rozplątać ciało z dziwnej pozycji, którą przyjęło. Grace przesunęła się do krawędzi ławki i wstała powoli, ostrożnie rozkładając ciężar ciała pomiędzy zdrową nogę i laskę. Po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, jak poważne jest jej kalectwo. Od jak dawna jest niepełnosprawna? Czy urodziła się z tym, czy może w dzieciństwie

spotkał ją jakiś tragiczny wypadek?

– Wchodźcie – powiedział Hink.

Jego gabinet znajdował się na końcu korytarza, który – owszem – mógł być uznany za atrakcyjny i nowoczesny, ale na początku lat osiemdziesiątych. Bładoróżowe ściany, jarzeniówki, żenująco oczywiste sztuczne rośliny oraz dziwne linoleum, które miało wyglądać jak granitowa kostka, a w rzeczywistości składało się z setek kawałków plastiku wypełnionego laminatem. Szedłem za Hinkiem wolniej niż zwykle, ponieważ chciałem, żeby Grace mogła dotrzymać mi kroku. Po prostu uznałem, że może będzie jej miło móc wreszcie za kimś nadążyć. Ale nawet kiedy wlokłem się jak ślimak, ona i tak kuśtykała dwa kroki za mną, aż w końcu zacząłem się czuć tak, jakbyśmy brali udział w zawodach i rywalizowali o to, kto potrafi iść wolniej. Hink znacznie nas wyprzedził, więc przyspieszyłem i zostawiłem ją z tyłu. Pewnie wyglądałem jak kompletny idiota.

Gdy dotarliśmy do gabinetu Hinka (małego, nijakiego, zielonkawego pomieszczenia, tak przygnębiającego, że od razu pomyślałem, iż zapewne weekendy Hink w spędza w klubach walki), zaprosił nas do środka. Usiedliśmy na krzesłach stojących naprzeciwko jego biurka. Zmarszczyłem czoło, zajmując miejsce, nie rozumiałem bowiem, co tu robi Grace.

– Znaleźliście się tutaj, rzecz jasna, ze względu na wasze wyjątkowe zdolności literackie. Jeśli chodzi o wybór redaktorów naszej gazetki, nie mógłbym znaleźć lepszych...

– Nie. – Grace Town przerwała mu w pół słowa, a ja doznałem wstrząsu, bo zdałem sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie słyszałem jej głosu. Był mocny, głęboki, czysty, tak bardzo odbiegający od obrazu nieśmiałej, rozbitej i załamanej dziewczyny, który sobą prezentowała.

– Słucham? – Profesor nie krył zdumienia.

– Nie – powtórzyła, jakby to miało wystarczyć za wszelkie wyjaśnienia.

– Ale... Nie rozumiem. – Pan Hink rzucił błagalne spojrzenie w moją stronę. Niemal słyszałem jego nieme wołanie o pomoc, ale co mogłem zrobić? Tylko wzruszyłem ramionami.

– Nie chcę być redaktorką. Dziękuję, że pan o mnie pomyślał, jednak nie. – Grace podniosła torbę i wstała.

– Panno Town. Grace. Martin skontaktował się ze mną na początku roku szkolnego poprosił, bym przyjrzał się twojej pracy w East River. Jak rozumiem, gdybyś się nie przeniosła, w tym roku przejęłabyś funkcję redaktorki naczelnej ich gazetki, prawda?

– Już nie piszę.

– Wielka szkoda. Pisziesz pięknie. Masz dar wysławiania się.

– A pan profesor ma dar głoszenia pustych frazesów.

Hink był tak zszokowany jej komentarzem, że otworzył szeroko usta ze zdziwienia.

– Przepraszam – zreflektowała się. – To tylko słowa. One nic nie znaczą.

Popatrzyła na mnie jakby z dezaprobatą, czego się nie spodziewałem i nie rozumiałem, a potem przerzuciła plecak przez ramię i wykuśtykała z gabinetu. Siedzieliśmy z Hinkiem, nie odzywając się ani słowem, próbując przetrwać scenę, której byliśmy świadkami. Musiało minąć dobrych dziesięć sekund, zanim sobie uświadomiłem, że jestem wściekły, a kiedy to do mnie dotarło, wstałem, zabrałem plecak, i ruszyłem do drzwi.

– Może porozmawiać jutro? – zapytałem Hinka, który zapewne się domyślił, że zamierzam dogonić Grace.

– Tak, tak. Oczywiście. Wstąp do mnie przed lekcjami. – Wypuścił mnie z pomieszczenia, a ja wypadłem na korytarz i zdziwiłem się, bo Grace nigdzie nie było. Gdy otworzyłem drzwi wyjściowe i wyszedłem z budynku, znajdowała się już na końcu boiska. Potrafiła przemieszczać się cholernie szybko, jeśli jej na tym zależało.

Popędziłem za nią, a kiedy znalazłem się w zasięgu jej słuchu, krzyknąłem:

– Hej! – Odwróciła się przelotnie, obrzuciła mnie wzrokiem z góry na dół, cisnęła gromy oczami, i szła dalej. – Hej! – wydyszałem, gdy w końcu ją dogoniłem.

– Co? – zapytała. Nadal szła szybko przed siebie, przy każdym kroku stukając laską o asfalt. Nagle zatrąbił kierowca jadącego przed nami samochodu. Grace pogroziła mu agresywnie laską i zobaczyłem coś, czego, muszę przyznać, nigdy wcześniej nie widziałem – auto wyminęło nas w sposób, który nazwałbym potulnym i nieśmiałym.

– No więc... – zacząłem, ale zabrakło mi słów, by wyrazić to, co chciałem powiedzieć. Potrafiłem pisać, jednak mówienie? Używanie dźwięków? Za pomocą ust i języka? To była masakra.

– Więc co?

– Szczerze mówiąc, nie przemyślałem dalszego ciągu tej rozmowy.

– Wyglądasz na wkurzonego.

– Jestem wkurzony.

– Dlaczego?

– Ponieważ człowiek ciężko pracuje, żeby zostać redaktorem naczelnym, a ty pojawiaasz się nagle na początku czwartej klasy, dostajesz to stanowisko na tacy i jeszcze odmawiasz.

– Ciężko pracowałeś?

– Jeszcze jak. Mniej więcej od piętnastego roku życia urabiałem Hinka, udając udręczonego nastoletniego pisarza, który naprawdę rozumie Holdena Caulfielda.

– W takim razie gratulacje. Nie mam pojęcia, dlaczego jesteś zły. To, że odmówiłam, w żaden sposób nie wpływa na twoją przyszłość w szkolnej gazetce.

– Ale... znaczy... Dlaczego to zrobiłaś?

– Ponieważ nie mam zamiaru w tym uczestniczyć.

– Ale...

– Jak widzisz, moja osoba nie będzie ci w niczym przeszkadzać, będziesz więc mógł podejmować wszystkie ważne decyzje samodzielnie i nadać gazetce taki kształt, jaki zapewne sobie wyobrażałeś przez ostatnie dwa lata.

– No... tak... ale...

– Innymi słowy, wyszło na twoje. Nie ma za co, tak w ogóle.

Przez kilka minut szliśmy w milczeniu, aż w końcu mój gniew zupełnie się rozpląnął nawet już nie pamiętałem, dlaczego tak ją goniłem.

– Dlaczego ciągle za mną idziesz, Henry Page'u? – Zatrzymała się nagle, na środku jezdni, jakby miała w nosie, że w każdej chwili może uderzyć w nas rozpędzony samochód. A ja zdałem sobie sprawę, że chociaż nikt nas sobie nie przedstawił i wcześniej nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy, ona знаła moje imię i nazwisko.

– Wiesz, kim jestem? – zapytałem.

– Tak. A ty wiesz, kim ja jestem, więc nie musimy udawać, że jest inaczej. Dlaczego ciągle za mną idziesz?

– Ponieważ, Grace Town, oddaliłem się zbyt od terenu szkoły, mój autobus już zapewne odjechał, a ja szukałem jakiegoś eleganckiego sposobu na zakończenie rozmowy, ale skoro nie znalazłem, uznałem, że zdam się na los.

– Czyli?

– Czyli będę siedł tak długo w kierunku, w którym właśnie zmierzam, aż moi rodzice zgłoszą zaginięcie syna, a policja znajdzie mnie na przedmieściach i odstawi do domu.

Grace westchnęła.

– Gdzie mieszkasz?

– Tuż obok cmentarza Highgate.

- Dobrze. Chodź do mnie. Podrzucę cię.
- O. Bosko. Dzięki.
- Pod warunkiem że nie będziesz mnie już molestował w kwestii tej redakcji.
- Jasne. Żadnego molestowania. Jeśli chcesz odrzucić fantastyczną sposobność, to twoja sprawa.
- Bardzo dobrze.

powietrzu panowała wilgoć, nad naszymi głowami wisiały chmury tak zwarte i zestalone jak lukier na torcie, a trawa i drzewa nadal charakteryzowały się intensywną złocistą zielenią typową dla późnego lata. Szliśmy ramię w ramię po rozgrzanym asfalcie i przez pięć minut panowała niezręczna cisza, podczas której usilnie łamałem sobie głowę, żeby wymyślić jakieś pytanie, które mógłbym jej zadać.

– Mógłbym przeczytać do końca tamten wiersz? – odezwałem się w końcu, gdyż uznałem, że będzie to najbezpieczniejsza z moich opcji. (Opcja numer jeden: Czy... jesteś transwestytką albo coś w tym stylu? Nie żebym uważał to za coś złego, pytam z ciekawości. Opcja numer dwa: Co ci się stało w nogę, stara? Opcja numer trzy: Jesteś ćpunką, no nie? Przyznaj, że właśnie wyszłaś z odwyku. Opcja numer cztery: Mógłbym przeczytać do końca tamten wiersz?).

- Jaki wiersz?
- Ten Pabla Jakiegoś tam. *Nie kocham cię*. Czy jak to szło.
- Aaa. Jasne. – Zatrzymała się, dała mi do potrzymania laskę, a sama przerzuciła plecak do przodu i wygrzebała z niego zniszczony tomik, po czym wcisnęła mi go do rąk. Książka otworzyła się na Nerudzie, zyskałem więc pewność, że musiała czytać go na okrągło. A mnie ciągle chodził po głowie tamten wers o kochaniu mrocznych rzeczy.

*Kocham cię, jak się kocha jakieś rzeczy mroczne,  
w tajemnicy, pomiędzy cieniem a duszą.*

- Piękny – powiedziałem, zamykając książkę, bo rzeczywiście mi się spodobał.
- Tak sądzisz? – Popatrzyła na mnie z wyrazem szczerzego zainteresowania, nawet zmrużyła lekko oczy.
- A ty nie?

– Uważam, że ludzie rzucają taki tekst, kiedy czytają wiersze, których nie rozumieją. Moim zdaniem jest smutny, a nie piękny.

Nie miałem pojęcia, dlaczego uznała bardzo ładny wiersz o miłości za smutny, ale nie znałem się na poezji, więc milczałem.

– Proszę. – Grace otworzyła książkę i wydarła kartkę z wierszem. Wzdrygnąłem się, jakby mnie to zabolalo. – Skoro ci się podoba, powinienes go wziąć. Piękna poezja to nie moje klimaty.

Złożyłem kartkę i wsunąłem do kieszeni, z jednej strony przerażony, że Grace zniszczyła książkę, z drugiej wniebowzięty, że z własnej woli podarowała mi coś, co ewidentnie wiele dla niej znaczyło. Lubilem takie osoby. Osoby, które bez większego wahania potrafią się rozstać z rzeczami materialnymi. Jak Tyler Durden. „Rzeczy, które posiadasz, w końcu zaczynają posiadać ciebie”<sup>[3:1]</sup> i tak dalej.

Dom Grace wyglądał dokładnie tak, jak się spodziewałem. Ogród był zarośnięty, rosło w nim mnóstwo zielska, a trawy już od dawna nie koszone. Zaslony zostały zaciągnięte, a sam budynek, dwupiętrowy, wzniesiony z szarej cegły, sprawiał wrażenie, jakby przygnębiony zapadał się w sobie pod ciężarem świata. Na podjeździe stał samochód, mały biały hyundai z naklejką zespołu The Strokes na tylnej szybie.

- Zostań tu – powiedziała. – Pójdę po kluczyki.

Skinąłem głową i czekałem na nią przed domem. Dziwił mnie ten samochód, tak samo zresztą jak wszystko, co się wiązało z Grace. Dlaczego codziennie szła (czy raczej kuśtykała) piętnaście minut do szkoły, skoro miała prawo jazdy i auto do dyspozycji? Każdy znany mi uczeń czwartej klasy marzył o przywileju wybrania się w czasie przerwy obiadowej do centrum handlowego albo McDonalda i ucieczki z terenu szkoły. No a po lekcjach, zamiast stać na przystanku autobusowym, można było pojechać prosto do domu, gdzie czekało jedzenie, konsola do gry i cudowne, wygodne spodnie dresowe.

– Masz przy sobie prawo jazdy? – usłyszałem za plecami głos Grace. Podskoczyłem, bo nie słyszałem, żeby wychodziła z domu, a jednak stała za mną, a z jej palca zwisały kluczyki. Oraz breloczek z motywem The Strokes. Nigdy wcześniej ich nie słuchałem, ale postanowiłem, że po powrocie do domu sprawdzę na Spotify, co grają.

– Eee... tak. Zrobiłem parę miesięcy temu, tylko nie mam własnego auta.

– To dobrze. – Rzuciła mi kluczyki, podeszła do drzwi od strony pasażera i wyjęła komórkę. Po jakichś dwudziestu sekundach podniosła wzrok znad ekranu i zmarszczyła brwi.

– No i? Zamierzasz go otworzyć czy nie?

– Mam usiąść za kierownicą?

– Skądże. Uznałam, że to będzie szalenie zabawne, jeśli dam ci kluczyki, a potem postoiemy tu tak długo, aż ktoś nie wymyśli teleportacji. Owszem, Henry Page'u. Masz usiąść za kierownicą.

– Eee, okej. Pewnie się trochę odzwyczaiłem, ale zgoda.

Otworzyłem samochód i usiadłem na siedzeniu kierowcy. Wewnątrz unosił się aromat Grace, piżmowy, męski zapach nastoletniego chłopaka. Nic z tego nie rozumiałem, mówiąc oględnie. Uruchomiłem silnik – na razie wszystko grało – i wziąłem głęboki wdech.

– Postaram się nie wylądować na drzewie – powiedziałem. Grace milczała, więc zaśmiałem się z własnego żartu krótkim zakłopotanym „ha” i zacząłem cofać samochód.

Powiem jedno: moja babcia wyglądałaby na bardziej wyluzowaną niż ja podczas drogi do domu. Siedziałem pochylony nad kierownicą i pościłem się jak ruda mysz, świadomy tego, że:

a) prowadzę cudzy wóz, b) nie jeździłem od wielu miesięcy, c) ledwo zdałem egzamin na prawo jazdy i to tylko dlatego, że egzaminatorem był mój starszy daleki kuzyn z gigantycznym kacem, a ja musiałem trzykrotnie zatrzymać się na poboczu, żeby mógł zwymiotować.

– Jesteś pewien, że dali ci prawo jazdy? – zapytała Grace, patrząc na prędkościomierz, według którego jechałem zdecydowanie za wolno.

– Musiałem jedynie przekupić dwóch urzędników, więc sobie na nie zasłużyłem.

Mogłem przysiąc, że prawie się uśmiechnęła.

– A więc chodziłaś do East River?

– Tak.

– Skąd ta zmiana szkoły w ostatniej klasie?

– Uwielbiam przygody – odparła sucho.

– Rzeczywiście, jesteśmy wyjątkowo ekscytującą placówką edukacyjną. Wierzę, że może przyciągać miłośników przygód.

– Hink wydaje się niezłym rozrabiaką. Domyślam się, że ciągle wpada w kłopoty.

– O tak. Impreza za imprezą, to jego motto.

Na szczęście chwilę później jazda się zakończyła. Podjechałem pod swój dom i odkleiłem dłonie od kierownicy. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo spinałem wszystkie mięśnie.

– Nie widziałam tak zestresowanego kierowcy od czasu... Potrzebujesz chwili, żeby dojść do siebie? – zapytała.

– Cóż mogę powiedzieć? Jestem buntownikiem bez powodu.

Spodziewałem się, że Grace przejdzie na fotel kierowcy, ale kazała mi wyłączyć silnik. Oboje wysiedliśmy, podałem jej kluczyki, a ona zamknęła drzwi, jakby zamierzała wejść ze mną do domu. Czy powinienem był ją zaprosić? Zanim zdążyłem to przemyśleć, odwróciła się i powiedziała:

– No dobrze. To na razie. Do zobaczenia jutro. Albo nie. Kto wie, gdzie wtedy będę.

A potem ruszyła, kuśtykając, w zupełnie przeciwnym kierunku niż ten, z którego przyjechaliśmy.

– Tam nic nie ma, tylko kanalizacja burzowa i cmentarz. (Znajdował się tak blisko naszego domu, że to sąsiedztwo przyczyniło się do kilku sesji z psychologiem w szkole podstawowej ze względu na krótki, acz bardzo treściwy okres, w którym byłem święcie przekonany, iż duch mojego pradziadka Johannes van de Vlierta próbuje mnie uśmiercić).

Grace nie odezwała się, nie odwróciła, tylko uniosła wolną rękę, jakby chciała mi powiedzieć „wiem”, i dalej szła przed siebie. Patrzyłem w ślad za nią, zaintrygowany, dopóki nie zniknęła za rogiem.

– Cześć, brat – powiedziała moja siostra Sadie, ledwo zdążyłem zamknąć za sobą drzwi wejściowe.

– Jezu, Suds. Dostałem przez ciebie zawału – wydukałem, chwytając się za serce. Sadie, dwanaście lat ode mnie starsza, była uznanym neurobiologiem, a w naszej rodzinie traktowano ją jako cudowne dziecko oraz czarną owcę – jednocześnie.

Byliśmy do siebie bardzo podobni: czarne włosy, lekko wylupiate oczy, dołeczki w policzkach podczas uśmiechu. Tyle że Suds prezentowała nieco ostrzejszy wizerunek ze względu na pamiątki po bujnej nastoletniej przeszłości, a mianowicie kolczyk w przegrodzie nosowej, tatuaż na ramieniu i płataninę dredów.

– Już od dwóch dni, chłopcze, nie miałam od ciebie żadnej wiadomości. Zaczęłam podejrzewać, że rodzice cię zamordowali i pochowali w płytkim grobie.

Oczywiście było to strategiczne kłamstwo, moja siostra bowiem rozwodziła się właśnie dość boleśnie ze swoim raczej paskudnym mężem lekarzem i mniej więcej dziewięćdziesiąt procent czasu, którego nie poświęcała na pracę w szpitalu, spędzała u nas w domu.

– Nie przesadzaj, Sadie – odezwał się tata z kuchni.

Jak zwykle miał na sobie koszulkę hawajską, męskie szorty oraz czarne okulary (jego gust drastycznie się popsuł, kiedy trzy lata temu przeniósł swój warsztat stolarski do naszego ogrodu; prawdę powiedziawszy, trudno było trafić na niego w czymś innym niż piżama). To po nim odziedziczyliśmy geny odpowiadające za nasze włosy. To znaczy tak zakładam, bo chociaż kilkudniowy zarost wiecznie obecny na jego twarzy był zawsze ciemny, przez większość mojego życia pozostawał łysy.

– Wykopalibyśmy dla niego grób przynajmniej na metr dwadzieścia, metr pięćdziesiąt – ciągnął tata. – W tym domu nie popełniamy morderstw na pół gwizdka.

– Co mogą potwierdzić Toby i Gloria – przypomniała Sadie, odnosząc się do wydarzenia, sprzed sześciu lat przed moimi narodzinami, które obejmowało parę złotych rybek, aerosol na owady oraz zupełnie przypadkową, lecz ostateczną śmierć pupilków mojej siostry.

– Dwadzieścia trzy lata, Suds. Minęły dwadzieścia trzy lata od śmierci twoich rybek. Czy zamierzasz mi kiedyś odpuścić?

– Nie, dopóki nie dokonam zemsty! – krzyknęła dramatycznie. W tej samej chwili dał się słyszeć płacz kilkuletniego dziecka i Sadie westchnęła. – Można by pomyśleć, że po trzech latach przyzwyczaję się do stanu macierzyństwa, a jednak ciągle zapominam, że mam dzieciaka.

– Ja po niego pójdę – zaoferowałem. Rzuciłem plecak na podłogę i ruszyłem w stronę

dawnego pokoju Suds, w którym Ryan zwykle sypiał. Malec był, tak jak ja, wypadkiem przy pracy i niespodzianką. Moi rodzice planowali mieć tylko jedno dziecko, tymczasem dwanaście lat po narodzinach mojej siostry pojawiłem się ja. – Hej, Ryan. Co słychać? – powiedziałem, otwierając drzwi do pokoju. W weekendy nasz tata opiekował się swoim dwuipółletnim wnukiem.

– Henli – odezwał się mały, pocierając oczy. – Gdzie mama?

– Chodź, zaprowadzę cię do niej.

– Tak na marginesie, kim jest ta dziewczyna? – zapytała Sadie, kiedy wróciłem, trzymając Ryana za rękę.

– Dziewczyna?

– Ta, która odwiozła cię do domu. – Moja siostra wzięła Ryana na rękę, a na jej twarzy pojawił się krzywy, wąski uśmiech. Widywałem go wielokrotnie, gdy była nastolatką, i zawsze oznaczał jedno: kłopoty.

– Ach. Ma na imię Grace. Jest nowa. Uciekł mi autobus, więc zaproponowała, że mnie podwiezie.

– Urocza. Na modłę „Janis Joplin, która nie dożyje dwudziestu siedmiu lat”.

Wzruszyłem ramionami, udając, że wcale tego nie zauważyłem.

## ROZDZIAŁ 4

Kiedy Sadie zajęła się Ryanem, zszedłem do piwnicy, w której moja siostra ponad dziesięć lat temu urządziła swoją nastoletnią jaskinię nieprawości (a którą ja odziedziczyłem, gdy wyjechała na studia). Nie było tam nic wyszukanego, pomieszczenie wyglądało w zasadzie jak postapokaliptyczny schron atomowy. Meble zupełnie do siebie nie pasowały, na betonowej podłodze leżały podrabiane perskie dywany, lodówka była starsza od moich rodziców, a na ścianie wisiał kiepsko wypchany łeb łosia. Teoretycznie nikt nie miał pojęcia, skąd się tam wziął, ale mam silne podejrzenie, że Sadie ukradła go, gdy była nastolatką, a moi rodzice albo byli tym faktem zbyt zakłopotani, albo zbyt mało podekscytowani, by zwrócić łeb jego prawowitemu właścicielowi.

Być może i jedno, i drugie.

Jak zwykle na dole czekali już na mnie moi przyjaciele, grając w Grand Theft Auto V na mojej PS4. W kolejności, w jakiej się pojawiają na scenie (czy raczej siedzą na sofie):

Murray Finch (Muz), lat 17, Australijczyk. Wysoki, opalony, muskularny, z jasnymi lokami sięgającymi ramion i delikatnym nastoletnim wąsikiem. Jego rodzice wyemigrowali do Stanów sześć lat temu, ale Muz nadal (celowo) brzmiał jak Steve Irwin i mówił „g’day” zamiast „hej” czy stosował określenie „drongo” na „kretyna”. Uważał, że najlepszą rzeczą, jaka kiedykolwiek przytrafiła się Australijczykowi, był *Krokodyl Dundee*. Dziewczyny go uwielbiały.

Lola Leung (La), lat 17. Ciemna karnacja, ciemne oczy, ciemne włosy (krótko obcięte). Moja najbliższa sąsiadka od urodzenia, określająca samą siebie jako „potrójne zagrożenie”: pół Chinka ze strony ojca, pół Haitanka ze strony matki, a przy tym stuprocentowa lesbijka.

Odkąd sięgam pamięcią, zdjęcie Loli zawsze bywało „zupełnie losowo wybierane” do wszystkich broszur reklamujących naszą szkołę, i pojawiło się – między innymi – na okładce książki pamiątkowej naszego rocznika, na billboardzie pod szkołą, na stronie internetowej, a nawet na rozdawanych w bibliotece zakładkach. Poza tym to właśnie z nią trzy lata temu po raz pierwszy w życiu się całowałem. Dwa tygodnie później La oznajmiła, że jest homoseksualistką i zaangażowała się w długotrwały związek na odległość z niejaką Georgią z sąsiedniego miasta. Ludzie nadal święcie wierzyli, że to moje umiejętności w zakresie pocałunków popchnęły ją w ramiona osób tej samej płci, a ja próbowałem nie czuć się urażony. (Ją też uwielbiały dziewczyny).

Zszedłem po schodach, oparłem się o poręcz i przyglądałem im się w milczeniu.

– Bardzo mi się podoba to, że chociaż nie pojawiłem się w autobusie, być może byłem martwy bądź umierający, to jednak uznaliście, że przyjdziecie jakby nigdy nic do mojego domu, będziecie mnie objadać i grać beze mnie w moje gry – odezwałem się w końcu. – Czy mój ojciec w ogóle zauważył, że mnie z wami nie ma?

– Powiedzmy sobie prawdę. – Lola odwróciła się na sofie i uśmiechnęła do mnie szeroko. – Twój tata kocha nas bardziej niż ciebie.

– Kim była ta laseczka, stary? – Murray nawet nie oderwał wzroku od ekranu, na którym rozjeżdżał czołgiem rząd wozów policyjnych. – Widziałem, że skoczyłeś za nią jak kangur w ukropie.

– Możesz zwinąć ten swój australijski język, aborygeński strusiu – odparłem i przeszedłem na drugą stronę pomieszczenia, żeby uruchomić starego iMaca Sadie, który po dwóch dekadach pracy charczał i rzęził, ale nadal działał. – Nie ma tu żadnych niczego niespodziewających się Amerykanek, które mógłbyś czarować. – Murray był zdolny



do komunikowania się normalnym ludzkim językiem, ale odkrył, że jeśli będzie wypowiadał się jak buszmen z australijskiego pustkowia, przypodoba się w ten sposób dziewczynom. Niekiedy zapominał się z powrotem przełączyć.

Na pulpicie komputera znajdował się tylko jeden folder pod nazwą „Zdjęcia zaginionych/zmarłych/poszukiwanych” zawierający atrakcyjne ujęcia wszystkich obecnych w piwnicy (plus Sadie) na wypadek gdyby ktoś z nas zniknął, umarł bądź był ścigany przez policję. Nasi rodzice otrzymali ściśle instrukcje dotyczące odnalezienia zdjęć i dostarczenia ich mediom, zanim dziennikarze nie zaczną węszyć na fejsie i nie wybiorą jakichś przypadkowych, koszmarnych fotek, które zrobiono nam wbrew naszej woli.

– Ale odpowiedz Muzowi – poprosiła La. – Kim była ta dziwna dziewczyna, za którą leciałeś? Czyżbyś tłumaczył sobie: „Wreszcie trafiła się taka, która mi nie ucieknie”, po czym ona dowiodła, że jest inaczej?

– Ha, ha. Nie mogę uwierzyć, że oboje to widzieliście. – Wyjąłem sobie z lodówki puszkę coli i wróciłem do komputera, na którym Facebook ładował się powoli, piksel za pikselem. – To Grace Town. Nowa. Hink zaproponował jej stanowisko redaktora naczelnego, a ona je odrzuciła, więc się wkurzyłem i za nią poszedłem.

– Nazywa się Grace Town? Jak Gracetown<sup>[2]</sup>? – nie dowierzał Murray. On też otworzył sobie puszkę coli i upił. – Chryste. Biedna dziewczyna.

Lola zerwała się na równe nogi.

– Hink zaproponował jej posadę redaktora? A nie tobie? Co za kutas. Nie ma mowy, nie będę składała tego arcydzieła prasowego, jeżeli ty nie będziesz nim kierował!

– Uspokój się, La. Zaproponował nam obojgu, ale ona odrzuciła, ponieważ – pozwól, że zacytuję – „już nie pisze”. W jej ustach zabrzmiało to złowieszczo.

– Ooo – skomentowała Lola, a Murray pociągnął ją z powrotem na sofę. – Może zawsze, kiedy pisze, dzieje się coś złego. O! Albo to, co pisze, zawsze się spełnia. A może ciąży na niej klątwa i każde napisane słowo łamie jej kość w nodze i dlatego chodzi o lasce?

– Sprawdźmy na fejsie – zaproponował Murray. – Nie ma jak odrobina cyberstalkingu, żeby pozbyć się ignorancji na dany temat. – Dawaj.

Wklepałem Grace w wyszukiwarce i kiedy wcisnąłem „enter”, pokazała się lista wszystkich znanych mi osób o tym imieniu. Jako pierwsza Sadie Grace Elizabeth Smith, następnie Samantha Grace Lawrence (chodziliśmy razem do podstawówki), Grace Park (jakaś moja daleka krewna) oraz Grace Payne (nie miałem pojęcia, kim jest). Pod spodem pokazały się dokładne trafienia – pięć dziewczyn noszących nazwisko Grace Town. Z żadną z nich nie łączyli mnie wspólni znajomi i tylko jedna mieszkała w naszej okolicy.

– Nie ma jej tu – powiedziałem, przysuwając się do monitora.

– Moment, a ta? – Lola pokazała palcem.

Kliknąłem na profil Grace Town mieszkającej najbliżej mnie, dziewczyny w czerwonej sukience, z pomalowanymi na czerwono ustami i jasnymi lokami. Uśmiechała się promiennie, miała zamknięte oczy i głowę odrzuconą do tyłu z radości tak, że było widać ostre krawędzie jej obojczyków. Musiało upłynąć sporo długich sekund, zanim ją poznaliśmy. Bo to była ona. Ta sama Grace Town, która użyczyła mi swojego samochodu. Te same usta, kształt twarzy.

– Ja pierniczę – mruknął Murray. – Normalnie goście musieli do niej ostro zarywać.

– W wolnym tłumaczeniu: to atrakcyjna osoba płci żeńskiej, która prawdopodobnie cieszy się sporym zainteresowaniem płci męskiej – powiedziała Lola. – Oraz lesbijek – dodała po bliższych oględzinach zdjęcia. – Cholera. Ma w sobie coś z Edie Sedgwick. To megaseksowna laska.

Lola się nie myliła. Na swoim profilu Grace Town była wysoka, szczupła i opalona, a jej

kończyny przywodziły na myśl takie określenia jak „łabędzi”, „pełen wdzięku” oraz „ja cię kręcę”. Uznałem, że to musi być stare zdjęcie, ale jak się okazało – wcale nie, Grace zamieściła je nieco ponad trzy miesiące temu. Przejrzałem jej pozostałe zdjęcia profilowe, jednak każde z nich opowiadało tę samą historię. Wszystkie pochodziły najwyżej sprzed kilku miesięcy, a widniejąca na nich osoba w niczym nie przypominała tej, którą poznałem. Miała o wiele dłuższe włosy, sięgające pasa, opadające na plecy łagodnymi, wypielęgnowanymi lokami. Na niektórych fotkach znajdowała się na plaży, miała pełny makijaż albo uśmiechała się niesamowitym, szerokim uśmiechem, jaki pojawia się na twarzach modelek w reklamach, kiedy udają, że się niewyobrażalnie ekscytują jedzeniem sałatki. Nie podpierała się laską, nie miała podkrążonych oczu i warstw męskich ubrań.

Zacząłem się zastanawiać, co przytrafiło się jej w ciągu ostatnich trzech miesięcy, że tak się zmieniła.

W tej samej chwili Sadie zawołała nas na górę, żebyśmy pomogli tacie dokończyć przygotowywanie obiadokolacji, zanim mama wróci z galerii sztuki, w której pracowała jako kustosz. („Dzięki Bogu. Zjadłbym kangura z kopytami, taki jestem głodny”, oznajmił Murray). Wszystkim nam szybko wypadła z głowy tajemnicza Grace Town i przez następnych kilka godzin zajmowaliśmy się jedzeniem, zmywaniem i wspólnym oglądaniem Netfliksa, co stanowiło nasz czwartkowy rytuał. Dopiero kiedy pożegnałem się z przyjaciółmi i wróciłem na dół, zauważyłem, że biedny iMac nadal rzezi, a wtedy przypomniałem sobie o Grace. A gdy to zrobiłem, całkiem przepadłem.

Tego wieczoru nie umyłem zębów, nie wziąłem prysznic, nie przebrałem się ani nie powiedziałem dobranoc Sadie i Ryanowi, którzy odjechali gdzieś przed północą. Zamiast tego siedziałem w piwnicy i do późna słuchałem wszystkich piosenek The Strokes, jakie znalazłem na Spotify. Julian Casablancas śpiewał:

*You say you wanna stay by my side – –  
darlin', your head's not right*<sup>[3]</sup>

Gdybym był starszy, mądrzejszy albo uważniej wsłuchiwał się w opowieści rówieśników, którzy opisywali mi dramatyczne uczucia towarzyszące pierwszej miłości, zapewne nie pomyliłbym palącego, dławiącego ucisku w klatce piersiowej z niestrawnością po zjedzeniu przesmażonych chimichangas z kurczakiem. Rozpoznałbym właściwie, że to znacznie poważniejsza i o wiele bardziej bolesna przypadłość.

Tej nocy po raz pierwszy śniła mi się Grace Town.

## ROZDZIAŁ 5

Kiedy następnego dnia rano zapukałem do otwartych drzwi gabinetu Hinka, ten uśmiechnął się i zaprosił mnie do środka.

– Świetna robota, Henry! Cieszę, że udało ci się namówić Town do objęcia stanowiska redaktora – powiedział. – To bardzo miłe z twojej strony. Biedaczka tyle przeszła.

– Znaczący, zgodziła się?

– Przyszła do mnie pół godziny temu, mówiąc, że przekonałeś ją do zmiany zdania. Nie wiem, co jej powiedziałaś, ale okazało się skuteczne.

Uniosłem brwi ze zdziwienia.

– Powiedziała, że przekonałem ją do zmiany zdania?

– Powinniście natychmiast zabrać się do pracy i zacząć planować pierwszy numer. Wiem, że grudzień wydaje się bardzo odległy, ale to wcale nie tak wiele czasu. Wczoraj na angielskim poważnie postraszyłem trzecioklasistów, więc powinni się do was zgłosić ochotnicy do pomocy.

Głównie uczniowie, którzy potrzebują punktów rekrutacyjnych na studia za dodatkową działalność, wobec czego nie gwarantuję, że wyprodukują cokolwiek, co da się przeczytać, ale zawsze to jakiś początek.

– Co miał pan na myśli, mówiąc, że tyle przeszła?

– No wiesz, zmiana szkoły w ostatniej klasie. To zawsze trudna sprawa. Szczegóły dotyczące logowania się masz zapisane na karteczce przyklejonej przed komputerem. Town już siedzi w redakcji. I Leung także. Jak rozumiem, już się znacie? – Hink obrzucił mnie tym samym spojrzeniem co ci wszyscy, którzy wiedzą, że to moje usta jako ostatnie dotknęły warg Loli, zanim nie zdezerterowała przed gatunkiem męskim.

– Taaa. – Odchrząknąłem, zamiast zrobić to, na co miałem ochotę, czyli zawołać: „Przecież ona od zawsze jest lesbijką! Nie wie pan, jak działają organizmy ludzkie?”. – Lola jest moją sąsiadką.

– Sąsiadką. A tak. Oczywiście. W takim razie nie muszę dawać ci wskazówek. Idź do redakcji, zaaklimatyzuj się, a na początku przyszłego tygodnia spotkamy się, żeby zacząć prace nad pierwszym numerem. – Hink wrócił do tego, czym się zajmował na ekranie komputera – cokolwiek to było (Terminy najbliższych walk? Haiku?) – zupełnie jakby wcale nie zaserwował mi takiej rewelacji na temat Grace.

Odwróciłem się i wymaszerowałem na odrętwiących nogach do małego pomieszczenia zajmowanego przez redakcję. To było akwarium. Ścianę biegnącą wzdłuż korytarza stanowiła szyba, a drzwi (również szklanych) nie dało się zamknąć na klucz, zapewne aby zapobiec dzikim stosunkom seksualnym nastolatków, do których mogłoby dochodzić na poszczególnych elementach umeblowania. Niestety, ta koncepcja upadła spektakularnie rok wcześniej, ponieważ ówczesny redaktor naczelny regularnie uprawiał ze swoją dziewczyną seks na sofie. Dzięki Bogu, teraz na kanapie leżał koc zakrywający podejrzone plamy, które wykwitły na tapicerce od ostatnich letnich wakacji.

Kiedy wszedłem do redakcji, Lola siedziała przy iMacu zarezerwowanym dla grafika, stopy obute w glany położyła na biurku i przeglądała stronę sklepu ASOS, liżąc lizaka. Grace zajęła miejsce przy małym biurczku przyciśniętym do szyby, z dala od biurka redaktora. Domyśliłem się, że mebel został tu wtłoczony tuż przed moim przyjściem po to, by zrobić miejsce dla nagłej zmiany zdania Grace Town.

– Hej – powiedziałem, wchodząc do pomieszczenia. Na widok Grace aż ścisnęło mnie w dołku z podekscytowania. Gdy na nią patrzyłem, czułem się dezorientowany, zupełnie jak podczas oglądania pokolorowanych fotografii z czasów wojny secesyjnej albo wielkiego kryzysu, kiedy po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że brali w nich udział ludzie z krwi i kości. Tyle że tutaj efekt był odwrócony, przed oczami bowiem miałem wersję w sepii – trudną do zrozumienia, podobną do ducha, pozbawioną koloru.

Grace kiwnęła głową i się nie odezwała.

– *Hola, hombre!* – zawołała Lola i machnęła lizakiem w moim kierunku, nie odrywając wzroku od ekranu.

Zająłem miejsce przy biurku redaktora naczelnego. Włączyłem komputer redaktora naczelnego. Zalogowałem się na konto redaktora naczelnego. Przez chwilę napawałem się uczuciem, że zapracowałem sobie na to przez ostatnie dwa lata.

Jednak Grace bardzo szybko wytrąciła mnie z transu, gdyż odwróciła się na krzesło i oznajmiła:

– Nic nie będę pisała, na tym polega umowa. Żadnych artykułów, żadnych komentarzy. Chcesz coś oznajmić, sam to napisz. Pomogę ci we wszystkim, ale nie wyprodukuję ani linijki.

Zerknąłem spode łba na Lolę, która usilnie starała się sprawiać wrażenie, jakby

całkowicie ignorowała naszą rozmowę. Teoria o rzuconej klątwie zaczęła nabierać znamion realizmu.

– Mnie to odpowiada. Zresztą sam też nie zamierzam zbyt wiele pisać. Hink powiedział, że powinni się do nas zgłosić ochotnicy z trzeciej klasy.

– Już z nim rozmawiałam. Będę zastępcą redaktora naczelnego. Ty pracowałeś przez lata na to stanowisko, więc to powinna być twoja broszka.

– Okej.

– Dobrze.

– Eee... myślę, że powinnaś przeczytać nasz statut, wskazówki dla redakcji oraz ogólne zasady tworzenia gazety. Są na dysku wspólnym. – Ja i Lola zapoznaliśmy się z nimi w zeszłym roku, kiedy wyraziliśmy chęć współtworzenia gazetki. – Dostałaś login?

– Tak. Hink mi dał tuż przed twoim przyjściem.

– Czyli możesz zaczynać.

– Konkretnie i bez owijania w bawełnę. To lubię. – Grace okręciła się na krześle, otworzyła wspólny dysk, znalazła dokumenty, o których mówiłem, i zabrała się do czytania.

Lola wykonała jeden powolny, nieprzypadkowy obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni na swoim krześle, patrząc przy tym na mnie szeroko otwartymi oczami i unosząc brwi, ale pokręciłem głową, więc westchnęła i wróciła do stronki ASOS.

Tego dnia nie miałem nic specjalnego do roboty, nie licząc planowania, więc uruchomiłem swoją listę utworów ze Spotify. Pierwsza rozbrzmiała piosenka *Hey Pixies*. „Been trying to meet you”, śpiewał Black Francis. Podkreśliłem nieco głośność i nuciłem razem z wokalistą, jednocześnie logując się do poczty (i dochodząc do wniosku, że powinienem jeszcze raz obejrzeć *Diabeł ubiera się u Prady*, skoro zostałem redaktorem, bo może znalazłbym tam cenne wskazówki). W pewnym momencie kątem oka dostrzegłem jakiś ruch, a kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem, że Grace Town powtarza bezgłośnie słowa. *If you go, I will surely die*, nuciła z roztargnieniem, przeglądając trzydzieści stron regulaminu obejmującego tematy, których nie wolno nam poruszać (odpadał seks, dragi oraz rock’n’roll, innymi słowy – nie mogliśmy pisać o niczym istotnym z punktu widzenia nastolatków).

– Znasz Pixies? – zapytałem ją po pierwszym refrenie.

Podniosła wzrok i spojrzała na mnie przez ramię, ale nie od razu mi odpowiedziała.

– Spotkałeś mnie w bardzo dziwnym momencie mojego życia – odparła w końcu.

Ponieważ milczałem, przechyliła nieco głowę w bok. – *Podziemny krąg*? Piosenka *Where Is My Mind*?

– Wiem. *Podziemny krąg* to jeden z moich ulubionych filmów.

– Moich też.

– Poważnie?

– Taaa. Dlaczego cię to dziwi?

– Większość dziewczyn... – zacząłem.

Lola gwałtownie uniosła rękę.

– Lepiej się dobrze zastanów, Henry Page’u, jakie będą twoje następne słowa – ostrzegła.

– Mało kiedy cokolwiek dobrego wynika ze zdania, które zaczyna się od „większość dziewczyn”.

– To prawda – zgodziła się Grace.

– Eee... Miałem zamiar powiedzieć, że wiele – nie większość – ale wiele dziewczyn, które znam, nie lubi *Podziemnego kręgu*.

– Ja lubię, ty szowinisto.

– Większość dziewczyn nie lubi inteligentnych filmów? – zapytała Grace. – Czy dziewczyny, które lubią *Podziemny krąg*, są jak unikatowe płatki śniegu i dlatego można uznać je

za lepsze od pozostałych przedstawicielek płci pięknej?

– Jezus, nie to miałem na myśli. Dziewczyny z naszej szkoły pewnie nigdy nawet nie widziały *Podziemnego kręgu*.

– Ja należę do płci żeńskiej i go oglądałam – odezwała się Lola.

– No proszę. W tym pomieszczeniu znajdują się dwie kobiety i sto procent z nich obejrzało film, o którym mówisz. Twoje statystyki dotyczące „większości dziewczyn” wymagają ponownej analizy.

– W takim razie już się lepiej nie będę odzywał – odparłem. – Bo jeszcze z moich ust wydobędą się kolejne patriarchalne stereotypy.

Grace uśmiechnęła się szeroko.

– Droczyliśmy się z tobą, Henry.

Nastąpiła chwila milczenia – jak się okazało, tego typu momenty miały stać się stałym elementem naszych rozmów – w której próbowałem usilnie podtrzymywać konwersację, by nie umarła śmiercią naturalną.

– Dlaczego właściwie zmieniłaś zdanie? – zapytałem szybko.

Patrzyła na mnie, a z jej twarzy zniknęły resztki uśmiechu.

– Nie wiem – powiedziała w końcu. Wtedy właśnie zadzwonił dzwonek obwieszcający początek pierwszej lekcji i – chociaż teoretycznie rzecz biorąc, nie musieliśmy wcale na nią iść, ponieważ była to godzina przeznaczona na pracę w redakcji – Grace Town wstała, spakowała się ruszyła do drzwi.

– Słyszałaś? – powiedziałem, kiedy wyszła. – Lubi Pixies i *Podziemny krąg*.

– Ja też lubię Pixies i *Podziemny krąg*, ciemna maso.

– Owszem, ale ty jesteś przebiegłą lesbijką, która wykrada chłopakom pierwsze pocałunki, po czym dwa tygodnie później przyznaje się do swojej orientacji, czym już na zawsze odbiera im męskość.

– Skoro już jesteśmy przy tym temacie, zapomniałam ci o czymś powiedzieć. Ostatnio Madison Carlson wypytywała mnie, jak fatalnie musisz całować, skoro odrzuciło mnie to dożywotnio od rodzaju męskiego.

– Mam nadzieję, że wyjaśniłaś jej uprzejmie, iż orientacja seksualna to rzecz wrodzona całując się ze mną, już byłaś homoseksualistką.

– Ależ skąd. Powiedziałam jej, że masz krzywego penisa i po tym, jak go zobaczyłam, uznałam, że więcej takich widoków nie zdzierzę.

– Wielkie dzięki.

– Nie ma za co. – Lola także podniosła się z miejsca i zaczęła się pakować. W drzwiach przystanęła na chwilę i popatrzyła na mnie, obracając głowę w kierunku, w którym zniknęła Grace Town. – Ona mi się podoba, Henry. Jest w niej... nie wiem, ale coś.

Skinąłem głową, ale nic nie powiedziałem. A ponieważ Lola była moją najlepszą przyjaciółką i znaliśmy się od dziecka, uśmiechnęła się. Bo choć nie padło między nami ani jedno słowo, dobrze wiedziała, co znaczy moje skinienie: że Grace także mnie się spodobała.

## ROZDZIAŁ 6

Tego samego dnia po ostatniej lekcji wyszedłem z klasy niemal równo z dzwonkiem i, wpychając po drodze książki do plecaka, prawie się zderzyłem czołowo z Grace. Dopiero później sobie uświadomiłem, że zapewne zapytała Lolę, gdzie mieści się moja szafka. Ja jej tego nie mówiłem, a jedyną osobą, z którą jeszcze rozmawiała, był Hink. On też nie mógł jednak tego wiedzieć.

- Henry – zagaiła.
- Cześć – powiedziałem powoli.
- Potrzebujesz transportu do domu?
- Może.
- Ale będziesz musiał znów prowadzić.
- Eee. Jasne.

Odwróciła się bez słowa i ruszyła przed siebie, nawet nie patrząc, czy za nią idę (oczywiście szedłem). Gdy dotarliśmy do boiska, przyspieszyła, przez co jej kulenie wydawało się wyrazistsze, a chód nieco dziwny. Od razu mi się skojarzył z Szalonookim Moodym. Co piąty krok podskakiwałem, żeby się z nią zrównać. Obejrzałem się w stronę przystanku, na którym Lola i Murray czekali (jak zwykle) na autobus jadący w kierunku mojego domu. Pomachałem im. Oboje unieśli jednocześnie prawe ręce i zasalutowali. Dzięki Bogu, Grace tego nie zauważyła.

Gdy wyszliśmy na ulicę, ciszę przerywał jedynie sporadyczny dźwięk przejeżdżającego samochodu oraz rytmiczny stukot laski Grace o chodnik.

– To co powiesz o sobie, Henry Page’u? – zapytała. W jej głosie znów pojawił się cień złości, którego nie rozumiałem. Zupełnie jakby Grace z jakiegoś powodu była mną rozczarowana. – Dawaj pikantne szczegóły.

– Ja... eee. – Ogarnęła mnie trema. – Lubię piña coladę i spacerować w deszczu? – rzuciłem bez większego przekonania.

– Nie dziwi cię to, że kiedy ktoś prosi cię o opisanie samego siebie, czujesz pustkę? Przecież to powinien być najłatwiejszy temat na świecie – w końcu masz mówić o kimś, kogo znasz najlepiej ze wszystkich.

– Może i tak. Chociaż to w sumie trochę tak, jakbyś zapytała: „jaka jest Europa” kogoś, kto spędził w niej trzy miesiące. No wiesz, temat jest trochę obszerny.

– To prawda. To może go zawężimy. Pozwól, że zadam ci pytanie.

– Okej.

– Będzie bardzo osobiste, więc jeśli nie chcesz odpowiadać, nie musisz.

– Eee... dobrze. – Przygotowałem się psychicznie na to, że zapyta mnie o moją orientację seksualną albo nienaturalne upodobanie do noszenia czarnej marynarki ojca nawet w upale – dwa pytania, które zwykle wzbudzały największą ciekawość nowo poznanych osób.

– Jaki jest twój ulubiony kolor?

Nie tego się spodziewałem.

– Eee...

Chyba nigdy nie miałem ulubionego koloru. A może miałem ich zbyt wiele, żeby móc je wymienić? Jeśli o mnie chodzi, wszystkie barwy miały równą rangę.

– Nie mam specjalnych preferencji kolorystycznych. A ty?

– Niebieski z sukienki Alicji w Krainie Czarów.

– Czyli lazuru?

– Skądże. Nie cierpię lazuru, bladego błękitu oraz barwy niebieskofioletowej, ale kolor sukienki Alicji jest po prostu idealny.

– Czy to oficjalna nazwa tego odcienia? Tak to się nazywa w palecie barw?

– Myślę, że można by jeszcze nazwać go kolorem samochodów vintage z lat pięćdziesiątych, ale skojarzenie z Alicją jest łatwiejsze. Ewentualnie toleruję też kolor chabrowy.

– Widzę, że masz to gruntownie przemyślane.

– Lubię mieć przygotowane odpowiedzi na wypadek, gdyby ludzie o mnie pytali. W końcu jeśli ja sama nie wiem, kim jestem, jak inni mają się tego dowiedzieć?

Zacząłem usilnie myśleć, próbując wydostać coś z próżni, którą stawał się mój umysł

zawsze, gdy Grace Town znajdowała się w promieniu trzech metrów.

– Zielony. To mój ulubiony kolor.

– Wyjątkowo nudne.

– Dobrze. Co powiesz na to: nieco przygaszony, lekko zgniły kolor oczu mojej siostry, kiedy wychodzi na słońce. Dokładnie ten sam odcień mają tęczęwki mojego siostrzeńca. To jest chyba mój ulubiony.

– Już lepiej.

– Zapytasz mnie o coś jeszcze?

– Nie. Nie sądzę.

– To była najdziwniejsza gra w dwadzieścia pytań, w jakiej kiedykolwiek uczestniczyłem.

– Bo to nie była gra w dwadzieścia pytań. Chciałam zapytać cię tylko o jedną rzecz.

Doszliśmy do domu Grace i powtórzyliśmy całą procedurę z poprzedniego dnia. Ja zaczęłam przed wejściem, a ona w tym czasie weszła po kluczyki. Usiadłem za kierownicą, odwoziłem się do domu, pożegnałem i patrzyłem, jak odchodzi w niewłaściwym kierunku, drogą, która prowadzi ją donikąd. Ledwo wszedłem do domu, poczułem się paskudnie w związku z tym, że nie zaprosiłem jej do środka. Ledwo zacząłem schodzić po schodach do piwnicy, uświadomiłem sobie, dlaczego to byłby zły pomysł.

– A niech mnie kangur kopnie. – Murray uderzył mnie w plecy, gdy tylko postawiłem nogę. – Skombinowałeś sobie fanke-desperatkę.

– Ona tylko podwiozła mnie do domu.

– O mój święty Boże – powiedziała Lola, kiedy rzuciłem plecak na podłogę i opadłem na sofę. – Coś tu się szykuje, Page, nie mam co do tego wątpliwości.

Murray wskoczył mi na kolana, a jego zboczony cielsko zmiądzżyło mi uda. Objął mnie za szyję i przycisnął czoło do mojego.

– Jesteś pewien, że nic między wami nie ma? Bo być może szpiegowaliśmy cię z za tego zapaskudzonego okna i widzieliśmy, jak wpatrywaliście się sobie głęboko w oczęta.

– Chyba obydwójce powinniście wrzucić na luz – odparłem, próbując – bezskutecznie – oderwać od siebie Murraya. – To szajbuska. Sądzę, że jest samotna i z nikim tu się jeszcze nie zaprzyjaźniła, więc się do mnie przyczepiła, ponieważ byłem dla niej miły.

– W tym sęk, że nie byłeś. – La zmarszczyła brwi. – Gonileś ją po boisku, wrzeszcząc obrzucając ją wulgaryzmami.

– To już konfabulacja.

– Zakochała się w jego niesamowitej żywiołowości – powiedział Muz i potrząsając włosami, przycisnął pięści do mojego serca. – Nie potrafiła się oprzeć jego nieposkromionemu apetytowi na życie.

– W niczym się nie zakochała. Chyba nawet za bardzo mnie nie lubi. Wiecznie patrzy na mnie z wściekłością, to mnie deprymuje.

– Zaproś ją do siebie w poniedziałek po szkole – zasugerowała Lola, gładząc się po brodzie. – Wprowadź ją do jaskini lwów. My to wszystko rozpracujemy.

– Pod warunkiem że Murray nie będzie się zachowywał jak zboczuć – odparłem, ponieważ mój przyjaciel ocierał się teraz włosami o moją twarz, kłatkę piersiową oraz ramiona.

– Czy ty możesz... Murray, do diabła! Złaż ze mnie!

– Oznaczam swoje terytorium – zaprotestował. – Nie mogę cię stracić!

– To właśnie dlatego jestem singlem – powiedziałem, patrząc wymownie na Lolę.

– Zapewniam cię, wcale nie dlatego – odparła, kręcąc głową.

Wobec czego usiadłem bezwładnie i pozwoliłem, żeby Murray namaścił mnie swoją tłustą grzywą – byłem przy tym pewien, że gdyby Grace zdawała sobie sprawę z dziwacznych

sytuacji, do których dochodziło w mojej piwnicy, zapewne związały w przeciwnym kierunku.

A to był wystarczający powód, żeby nigdy – przenigdy – jej tu nie zapraszać.

Wieczorem, kiedy ta moja zaprzyjaźniona hołota już sobie poszła, otworzyłem profil Grace na Facebooku i przez dziesięć minut trzymałem kursor nad przyciskiem „Dodaj znajomego”. W końcu zamknąłem oczy i kliknąłem. Serce waliło mi jak oszalałe na widok informacji „Zaproszenie zostało wysłane”, ale nie minęło parę sekund i otrzymałem wiadomość, że Grace Town przyjęła moje zaproszenie do grona znajomych. I że mogę pisać z nią na czacie.

Rzecz jasna prześledziłem uważnie jej profil, jednak nie znalazłem niczego, oprócz tych kilku dostępnych zdjęć. Jej historia okazała się pusta: żadnych wiadomości, zmian statusu, żadnych ważnych wydarzeń czy otagowanych zdjęć. Nie licząc 2879 znajomych (jak można znać aż tyle osób?), Grace Town była wirtualnym duchem.

Rano, kiedy wyszła z redakcji, rozesłałem maile do różnych agencji piarowych w mieście, by się dowiedzieć, czy którakolwiek z nich wyraziłaby zgodę, żeby paru beznadziejnych dziennikarzy-trzecioklasistów z „Westland Post”, jak nazwano naszą gazetkę na początku jej istnienia w latach osiemdziesiątych, przeprowadziło wywiady z beznadziejnymi zespołami, które te agencje reprezentowały. Uznałem, że to całkiem dobry pretekst do rozpoczęcia rozmowy.

HENRY PAGE:

Pomyślałem, że dam Ci znać, co działałem. Udało mi się umówić nas na wywiad z Plastic Stapler's Revenge w przyszłym tygodniu.

GRACE TOWN:

Ekscytująca. Zawsze pragnęłam poznać najskrytsze myśli mściwych przyborów biurowych<sup>[4]</sup>. Kiedy?

Nie jestem pewien. Ale nasi ochotnicy powinni zacząć powoli wychodzić ze swoich nor. Przewiduję, że zgłoszą się do nas dokładnie dwie niepiśmienne osoby oraz zdziczały kot, który mieszka na stryszku nad gabinetem dyrektora Valentine. Dowiem się, czy ktokolwiek z nich sprosta zadaniu.

Cudownie. Zbierz podwładnych. Przekaż im, że mają wypełniać nasze polecenia. (Mimo wszystko stawiam na kota).

Podoba mi się, że mamy podwładnych.

Myślisz, że tak właśnie czuje się Kim Dzong Un?

To wszystko stanowi element procesu prania mózgu.

Budujemy armię.

Najpierw Westland High, a potem reszta świata.

Pijcie Kool-Aid, moi podwładni! Jest pyszny!

Fakt.

A tak w ogóle, co słyhać? Odnalazłaś się już w nowym miejscu?



Ludzie są mili?

Ciężko Ci było zostawiać East River czy miałaś mieszane uczucia?

Większość moich przyjaciół już skończyła szkołę, dzięki czemu było mi łatwiej stamtąd odejść. Ale i tak trochę tęsknię.

Ludzie z East River cieszą się szczególną reputacją, jeśli chodzi o uwielbienie dobrej zabawy. Czy to nie czwartoklasiści od Was zostali aresztowani w zeszłym roku za skonstruowanie zmotoryzowanego stołu piknikowego, a następnie poruszanie się nim po terenie szkoły?

Jestem zmuszona powiedzieć... #YOLO

Udam, że tego nie zauważyłem, ale żeby mi się to więcej nie powtórzyło.

Już nigdy. Obiecuję.

Bardzo dobrze. Cieszę się, że to ustaliliśmy.

\*pomysł na artykuł na temat YOLO\*

Słuchaj, jeśli masz ochotę napisać, dawaj śmiało.

Nie, nie. Jest dobrze tak, jak jest.

Na tym zakończyła się nasza rozmowa. Grace była jeszcze *online* przez następną godzinę, ale nie miałem pojęcia, co napisać, więc milczałem.

Oczywiście istniały rozmaite sposoby gromadzenia informacji na temat ludzi z innych szkół, jeśli ktoś miał taką potrzebę. Na przykład niejaka Madison Carlson prowadziła międzyszkolną wymianę informacji i towarów na tak dużą i skomplikowaną skalę, że platforma Silk Road<sup>[5]</sup> mogłaby się wstydzić. Chłopak Madison chodził do East River, co dawało jej niczym nieograniczony dostęp do życia elity tamtej szkoły (w tym miejscu postanowiłem, że muszę koniecznie zaproponować jej prowadzenie rubryki plotkarskiej w naszej gazecie). Tyle że informacje od Madison miały swoją cenę. Wystarczyłoby, abym szepnął tylko, że interesuje mnie coś z przeszłości Grace Town, a następnego dnia cała szkoła dowiedziałaby się, że fascynuje mnie Grace. Tak więc chwilowo musiałem zadowolić się niewiedzą.

## ROZDZIAŁ 7

W poniedziałek po lekcjach Grace już na mnie czekała obok mojej szafki. Chyba nigdy się nie dowiem, jak udawało się jej tak szybko wymykać z ostatnich zajęć, ale począwszy od tamtego dnia zawsze to robiła.

– Podwieźć cię? – zapytała, a ton jej głosu oraz mina zdradzały (deprymująco?), że nie jest uszczęśliwiona moim widokiem, jakby miała nadzieję, że się jednak nie pojawię.

– Pewnie – odparłem ostrożnie.

Tym samym narodził się zwyczaj, który miał ukształtować nasze relacje. Razem szliśmy do jej domu, po drodze Grace złorzeczyła na wszystkie samochody, które na nas trąbiły. Potem zostawiała mnie na zarośniętym trawniku przed budynkiem, a sama szła po kluczyki. Rzuciła mi je i kazała siadać za kierownicą. W aucie albo wpatrywała się przed siebie z kamienną twarzą milcząca, albo zadawała mi pytania w rodzaju:

– Jaka jest twoja ulubiona piosenka?

Na co ja mówiłem coś w rodzaju:

– Dlaczego te pytania muszą być takie trudne? A ona wyjaśniała:

– Ponieważ próbujesz właśnie znaleźć piosenkę, która będzie jednocześnie zajebista i powszechnie akceptowana. Co oznacza, że powinna pochodzić sprzed co najmniej dwudziestu lat, bo wszystko nowsze jest uważane za dziadowski pop.

– Teraz, skoro wiem, że mnie osądzasz, już w ogóle nic nie wymyślę.

– Na tym właśnie polega poznawanie drugiego człowieka. Na osądzaniu.

– I teraz właśnie też to robisz?

– Zawsze to robię. Słuchaj, podaj mi tytuł piosenki, przy której coś czujesz.

– Dobrze. *Someday* The Strokes – odparłem, przypominając sobie, jak zasnąłem, słuchając ulubionego zespołu Grace.

– Ryzykowny wybór. Zdecydowanie młodszy kawałek niż dwadzieścia lat, ale na tyle indie, że może ci się upiec.

– A twoja ulubiona? *Stairway To Heaven*? *Smells Like Teen Spirit*? Domyślam się, że coś równie niesamowitego i klasycznego?

– *She Will Be Loved* Maroon 5.

– To... spodziewałem się czegoś innego.

– Cóż mogę powiedzieć? Za każdym razem, gdy ją słyszę, przypomina mi się, jak byłam szczęśliwa.

O matko. Jeśli to miała być jej definicja radosnej piosenki, wolałem nie wiedzieć, czego słucha, gdy jest smutna. Marszów pogrzebowych?

– Gdzie ją usłyszałaś? Puszczają ją jeszcze w radiu? Czy ktoś w ogóle jeszcze słucha radia?

– Ha, ha.

– Czyli nie piosenka The Strokes?

– To znaczy?

– The Strokes? Chyba też jesteś ich wielką fanką? – Grace marszczyła czoło, jakby nie rozumiała. – Masz naklejki na samochodzie. Na breloku. I z tyłu komórki.

– A tak. The Strokes. Tak. Przyjaźniłam się z kimś, kto ich uwielbiał. Ciągle słuchał ich kawałków.

– Twój przyjaciel lubił ten zespół tak bardzo, że ty okleiłaś sobie samochód?

– Tak się składa, że to jego stare auto.

– A telefon?  
– Kiedyś należał do niego.  
– Okej.  
– Wejdiesz? – zaproponowałem pod wpływem impulsu, kiedy wysiedliśmy z samochodu.  
– Dlaczego?  
– Eee, no nie wiem. Moglibyśmy pogadać i tak dalej. No wiesz, jeśli masz ochotę.  
– Popołudniami zawsze gdzieś chodzę.  
– Jasne. Zauważyłem. W takim razie do jutra.  
Grace westchnęła.  
– Spotkajmy się w tym miejscu, kiedy już zajdzie słońce.  
– Dlaczego?  
– Nie chciałeś pogadać?  
– A tak. Oczywiście.  
– Więc się spotkajmy. Dzisiaj wieczorem, po zachodzie słońca. Tutaj. Okej?  
– Czy będziemy robić coś nielegalnego, czy... Bo wiesz, to podkreślanie, że po zachodzie słońca, brzmi dość diabolicznie.  
Grace zdobyła się na ten swój zmęczony uśmiech.  
– Do zobaczenia wieczorem, Henry Page'u. – To powiedziawszy, odwróciła się, pokuśtykała przed siebie i zniknęła za zakrętem.

Z pewnych powodów nie powiedziałem moim piwnicznym przyjaciółom o spotkaniu z Grace. Cokolwiek nas łączyło, wydawało się bardzo delikatne i kruche, nic z rzeczy, które można omawiać w grupie i rozkładać na czynniki pierwsze. W głębi duszy chyba byłem święcie przekonany, że z tego nic nie wyniknie. Wołałem nie ryzykować upokorzenia, jakie by mnie niechybnie czekało, gdybym powiedział Loli i Muzowi, że prawie zakochałem się w dziewczynie, ale ona nie odwzajemniła mojej sympatii. Udałem, że źle się czuję, więc niechętnie wrócili do własnych domów zjeść własny obiad, zamiast pasożytować na mnie, jak to zwykle bywało. A kiedy już sobie poszli, zostało mi tylko powiedzieć rodzicom, że wychodzę.

Wiem, że nastolatki z zasady powinni nienawidzić swoich rodziców albo przynajmniej uważać ich za niezbyt fajnych osobników, ale ja zbyt podziwiałem moich, żeby poddać się takim uczuciom. Moi rodzice byli bohaterami jednej z tych disnejowskich historii o miłości od pierwszego wejrzenia. Poznali się w KFC (no dobra, to akurat mało disnejowskie) po lekcjach, ledwo skończyli podstawówkę. Tata, arogancki chłoptasek, jak sądzę, natychmiast poprosił mamę o rękę (a zamiast pierścionka podarował jej kawałek kurczaka, co absolutnie nie mieści się w kanonach disnejowskich).

Pewnie czytaliście podobne historie – o ludziach, którzy dawno temu oświadczyli się już na pierwszej randce. Ta jednak jest stuprocentowo autentyczna. I jak się okazało, brzemienne w skutki. Co prawda pobrali się dopiero po jedenastu latach, ale od tamtego dnia żadne z nich nie poszło na randkę z nikim innym. Ślub wzięli w Indiach, w Boże Narodzenie, zaraz po ukończeniu studiów. Mieli na sobie stroje kąpielowe i byli pomalowani henną. Mam zdjęcie z Polaroida, na którym karmią słońce owocami mango. A więc to przykład niesamowitej miłości. A do tego stanowi niezbity dowód na istnienie tajnej receptury pułkownika Sandersa<sup>[6]</sup>. Jednak najbardziej w tym wszystkim podobała mi się wcale nie ta ich tak idealna, że aż przesłodzona miłość rodem z powieści Nicholasa Sparksa, ale to, jacy byli. Widywałem już zaślepionych hormonami nastolatków, którzy wcale nie wydawali się aż tak zakochani w sobie jak moi rodzice. Ale zamiast wywoływać we mnie obrzydzenie – jak to powinno być – bardzo mi się to podobało.

Kiedy Suds była mała, moi rodzice byli hipisami – artystka i stolarz mieszkający w opuszczonym magazynie. Może piekło, jakim okazało się wychowywanie mojej siostry, pozbawiło ich resztek oporu, w każdym razie wobec mnie byli zawsze niezwykle otwarci i luzacy.

Kiedy więc moja mama (Daphne, tak na marginesie) wróciła do domu z galerii, oznajmiłem:

– Matko, wychodzę dzisiaj wieczorem i nie wiem dokładnie, o której wrócę i dokąd właściwie idę. Nie mam też stuprocentowej pewności, ale być może moje wyjście będzie obejmowało działania naruszające prawo. Czy masz coś przeciwko temu?

Na co odparła:

– Szykuje się przygoda, co? Wspaniale. Już się zaczynałam o ciebie martwić. Kiedy Sadie była w twoim wieku, miała za sobą już trzy aresztowania, i zobacz, na kogo wyrosła.

– Dzięki, mam. Wiedziałem, że mogę liczyć na twoje wsparcie.

– We wszystkim, nie licząc morderstwa oraz stosowania nielegalnych substancji wymagających podania dożylnego.

– To się znakomicie składa, ponieważ miałem zapytać, czy nie chciałabyś zainwestować w przenośne laboratorium do produkcji metamfetaminy, nad którym pracuję od kilku miesięcy.

– Oczywiście, że tak, skarbie. Przygotuj arkusz kalkulacyjny, a ja zerknę na wyliczenia. Czy trzeba ci zapewnić pilny transport powrotny w ramach ucieczki od tych być może naruszających prawo działań?

– Jeszcze nie wiem. Będę w kontakcie, ale nie powinienem wrócić zbyt późno. Nie chcę, żebyście na mnie czekali do nocy.

– Gdybym nie odbierała, poproś policję, żeby cię odwiozła. A my udamy, że dajemy ci szlaban na miesiąc.

– Dzięki, mam.

Pocałowała mnie w czubek głowy.

– A tak poważnie, nie łam żadnego prawa. I zadzwoń, jeśli będę ci potrzebna.

– Nie ma sprawy.

Popołudnie mijало zbyt powoli, a potem, ostatnie minuty poprzedzające zachód słońca – o wiele za szybko. Nie wiedzieć kiedy zrobiło się ciemno i szedłem do wyjścia, krzycząc „na razie” do rodziców, gorączkowo zastanawiając się, jak mogę zacząć rozmowę z Grace, o co ją zapytać, żeby podtrzymać konwersację. W jej obecności zawsze ogarniała mnie trema, mój umysł stawał się przepastną próżnią, w której trudno było znaleźć cokolwiek, żeby uratować honor.

Samochodu Grace nie było pod domem, zniknął tak samo jak poprzednio. Stanąłem przy skrzynce, trzęsąc się na zaskakująco zimnym wietrze. Upłynęło dobrych pięć minut, zanim kątem oka dojrzałem w oddali jakiś ruch. Na końcu ulicy stała niewielka, ciemna postać i kiwała na mnie w mroku. Z tej odległości nie widziałem twarzy, jedynie zarys zaskakująco szerokich ramion. To nie był kształt, za którym człowiek miałby ochotę podążać w ciemności. Ponieważ się nie ruszyłem, Grace skinęła na mnie ponownie, tym razem przesadnym gestem – całą ręką i jeszcze laską. Podbiegłem, zasuwając zamek kurtki. Grace miała na sobie typowy dla siebie chłopięcy strój, w tym kurtkę futbolówkę tak wielką, że mogłaby ją nosić zamiast sukienki. Czyżby pojechała po nią do domu, a potem przyszła tu pieszo?

– Masz swoją sieciówkę? – zawołała, kiedy znalazłem się odpowiednio blisko. Żadnego „cześć”. Nigdy nie mówiła mi „cześć”.

– Niestety, nie przy sobie.

– Nie szkodzi. Będiesz dzisiaj moim utrzymankiem. Zasponsoruję ci przejazd.

- A dokąd jedziemy?
- Zobaczysz.
- Wszystko w porządku, o ile nie wyjedziemy poza nasz stan i tym podobne.
- Zobaczysz.

potem, zamiast ruszyć moją ulicą, Grace się odwróciła i zaczęła wchodzić w wysoką trawę, gdzie się kończył asfalt.

- Chyba żartujesz – powiedziałem. – Tam jest rów. To odpływ dla wody deszczowej.
- Idziemy na skróty – odparła, zagłębiając się w ciemność.
- A z twoją nogą wszystko będzie dobrze? – krzyknąłem. Nie miałem pojęcia, co będzie bardziej poprawne politycznie: wspomnienie, że zauważyłem, iż kuleje, czy udawanie, że nie mam o tym pojęcia. – Tu jest bardzo nierówno!
- Idziemy skrótem!

Zaczęła odgarniać trawę laską niczym podróżnik przedzierający się z maczetą przez dżunglę. Szedłem ścieżką, którą wycięła w zieleni, trzymając się na tyle blisko, żeby ją złapać w razie upadku. Ale chociaż kulą teraz bardziej niż zwykle, nawet się nie potknęła.

Przesuwaliśmy się wzdłuż rowu przez dziesięć minut, rozmawiając o gazecie, aż w końcu wyszliśmy na główną szosę niedaleko przystanku. Usiedliśmy pod latarnią, czekając na transport. Chyba w głębi duszy spodziewałem się, że to będzie autokar Greyhound, który zawiezie nas na drugi koniec kraju, ale wsiedliśmy do autobusu jadącego do miasta. Grace zapłaciła za mój bilet, tak jak obiecała, a potem zajęliśmy miejsca przeznaczone dla niepełnosprawnych. Jak to powiedziała (tu cytuję), „to jedyny plus bycia kaleką”.

Miasto nocą wyglądało zjawiskowo. Uwielbiam góry, lasy i przejrzyste rzeki, ale jest coś takiego w milionach świecących się świateł nocnego miasta, co do mnie przemawia. Może po prostu przywodzą mi na myśl galaktykę?

Gdy wysiedliśmy z autobusu, Grace poprowadziła mnie do najbliższego sklepu spożywczego.

- Potrzebne nam przekąski – oznajmiła. – Ja stawiam.
- Jesteś dla mnie zbyt dobra. Dogadaj mi tak dalej, a rzeczywiście zostanę twoim utrzymankiem.

Wybrałem sobie M&M-sy oraz colę. Grace wzięła paczkę chipsów o smaku octu i soli (co – wiem, że to brzmi dziwnie – całkiem do niej pasowało), napój vitaminwater i bochenek taniego chleba. A potem ruszyliśmy pieszo. Szliśmy tak długo, że już zacząłem podejrzewać, iż na tym będzie właśnie polegało nasze spotkanie, że nie mamy żadnego celu. Grace nie pozwoliła mi jednak zjeść niczego, co kupiliśmy, mimo moich gorączkowych protestów.

końcu przystanęła przed wysokim żelaznym ogrodzeniem, po którego drugiej stronie rósł gęsty żywopłot.

- Tadam – powiedziała.
- To... ogrodzenie. Bardzo ładne, nie przeczę. Podoba mi się wykonanie. Co nie zmienia faktu, że to tylko ogrodzenie.
- Nas interesuje to, co się kryje za nim.
- A mianowicie?
- Bardzo się cieszę, że zadałeś to pytanie. Za tym płotem znajduje się jedna z najpilniej strzeżonych tajemnic tego miasta. Czy wiesz, że zanim zbudowano metro, przez centrum miasta jeździła ciuchcia parowa?
- Nie miałem pojęcia, ale teraz, kiedy o tym wspominasz, wydaje mi się to całkiem sensownym rozwiązaniem.
- Za tym ogrodzeniem mieści się ostatni w tym mieście dworzec kolejki parowej. Jest

zamknięty od kilkudziesięciu lat.

– W takim razie po co tu przyszedliśmy?

Grace położyła sobie chleb u stóp, chwyciła laskę prawą ręką, jakby to był oszczep, z kamienną twarzą przerzuciła na drugą stronę.

– Oj. Muszę po nią iść – powiedziała, po czym weszła na ogrodzenie zdrową nogą i podniosła się na rękach.

– Co ty robisz?

– Zamierzam wtargnąć na teren prywatny, to chyba oczywiste. Chodź.

– A jeśli ktoś zadzwoni na policję?

– Powiem im, że cię tu ściągnęłam podstępem i uwiodłam, żebyś wszedł w konflikt z prawem.

– Jasne. To ich przekona.

– Henry, masz lśniące włosy, dołeczki w policzkach i ubierasz się jak Aileen Wuornos<sup>[7]</sup>.

– Grace przerwała dla zaczerpnięcia oddechu. – Gliny ci uwierzą. Nigdy wcześniej nie złamałeś prawa?

– Raz czy dwa razy przeszedłem przez ulicę w niedozwolonym miejscu.

– Ale z ciebie twardziel.

– A także brałem udział co najmniej w trzech incydentach obejmujących alkoholizowanie się nieletnich.

Grace sapnęła i się skrzywiła z bólu, przenosząc ciężar ciała na chorą nogę, ale znalazła się na samej górze. Poznałem, że robiła to już wcześniej.

– Henry.

– Naprawdę chciałbym się dostać na studia.

– Wejdz na ogrodzenie.

– Wiesz, że udało mi się przeżyć siedemnaście lat bez doświadczania tak zwanej presji rówieśników? Rodzice ostrzegali mnie przed nią w podstawówce, ale nigdy się nie spotkałem czymś takim. Już nawet zaczynałem wierzyć, że to mit.

– Henry Page. Wejdz. Na. Płot.

– Poza tym uważam, że nazwa dokładnie oddaje w czym rzecz. W tej chwili czuję ogromną presję wywieraną przez rówieśniczkę.

– Henry, rzuć mi ten cholerny chleb i ruszaj tyłek!

– Bardzo dobrze! – Przerzuciłem bochenek, a potem chwyciłem za żelazne pręty i się podciągnąłem, co okazało się trudne, bo straciłem czucie w nogach, zapewne – jak sądziłem – na skutek nadchodzącego ataku paniki. – O Boże! Boże! – powtarzałem, pnąc się do góry. Grace zniknęła za żywopłotem. – Aresztują mnie. Nigdy nie pójdę na studia. Zostanę przestępcą. Rodzice mnie zabiją.

Gdy dotarłem na szczyt ogrodzenia, szybko do mnie dotarło, że zejście w dół nie będzie wcale łatwe, więc przełożyłem nogę przez żywopłot i się sturlałem. Nie był to najlepszy pomysł. Uderzyłem o ziemię, i to mocno, straciłem równowagę, po czym wylądowałem na kolanach. Lodowaty śmiech Grace mogę opisać tylko jednym określeniem: gdaczący rechot, coś w rodzaju wrzaskliwego krakania, bardziej przystającego wronie niż istocie ludzkiej.

– Brzmisz jak czarny charakter z filmów Disneya – stwierdziłem, wstając. Otrzeptałem się, co ją jeszcze bardziej rozbawiło.

– Ostrzegam cię. Jeśli ja stracę cierpliwość, ty stracisz głowę!<sup>[\*2]</sup> – zawołała Grace.

– Gratuluję, Henry. Oficjalnie dokonałeś wkroczenia na cudzą posiadłość.

Rozejrzałem się. Nie licząc kilku ogołoconych z liści drzew – być może od dawna martwych – wokół nas roztaczało się właściwie puste pole.

– Gdzie jest ta tajemnicza stacja, o której wspominałaś?

Grace pokazała laską i ruszyła przed siebie.

– Trzeba zejść w dół zbocza.

I rzeczywiście. Jakieś dziesięć sekund później naszym oczom ukazał się niewielki budynek skąpany w żółtej poświacie, otoczony przez czerń nocy.

– Wygląda jak krypta – zauważyłem.

– Bo to jest krypta – przynajmniej w filozoficznym tego słowa znaczeniu. Stare budynki stają się kryptami, kiedy tracą użyteczność. Są świątyniami umarłego czasu.

– Dziwna jesteś, Grace Town.

– Wiem.

– Ale mnie to nie przeszkadza.

– Wiem.

Dotarliśmy do budynku i stanęliśmy przed wysoką bramą, o podobnie wyszukanej stylistyce jak ogrodzenie.

– Chodź. W tej chwili tylko chodzimy po cudzym terenie. Czas na włamanie do środka.

– Grace, nie! Proszę, to naprawdę... – zacząłem, ale pod dotykiem jej ręki brama się otworzyła. Grace przeszła na drugą stronę, odwróciła się i mrugnęła do mnie.

– Od lat stoi otworem.

Przeszliśmy krótkim, ciemnym tunelem i znaleźliśmy się na otwartym peronie – co mnie absolutnie zdziwiło – oświetlonym lampami sodowymi. Dworzec był w znacznie lepszym stanie, niż się spodziewałem. Nie został upstrzony graffiti, nie obrosły go rośliny.

– Jeśli chodzi o opuszczone budynki, muszę przyznać, że ten znajduje się w bardzo n i e o p u s z c z o n y m stanie – powiedziałem.

Nad naszymi głowami znajdowały się wysokie kopuły wykonane z matowego szkła, posadzka została wyłożona szachownicą czarnych i białych płytek, a ściany – szmaragdowozielonymi i sinoniebieskimi kafelkami.

– Jesteś pewna, że to nie jest plan filmowy po *Wielkim Gatsbym*? – zapytałem, chłonąc widok, który był naprawdę piękny.

– To zabytek, więc chociaż nie wpuszczają tu ludzi, nadal starają się o niego dbać. Chodź, nie widziałeś jeszcze najlepszego.

Grace uklękła przy drzwiach stacji, drewnianych, ozdobnych, pomalowanych na czerwono, i zaczęła grzebać w zamku wsuwką.

– Okej, teraz to już jest włamanie.

– To, co jest najlepsze w zabytkach – powiedziała Grace, a ja usłyszałem delikatne kliknięcie otwieranego zamka. – To oryginalne elementy. Zamki sprzed stu lat to zabawa dla dziecka.

– Zdajesz sobie sprawę, że jesteś odrobinę przerażająca?

Zignorowała mnie, włączyła latarkę w komórce i weszła w ciemność. Ruszyłem za nią serią pomieszczeń tonących w kompletnym mroku, zagłębialiśmy się coraz bardziej w czeluści starego dworca, aż dotarliśmy do spiralnych schodów z żelaza, które wbijały się w ziemię niczym korkociąg.

– Popatrz w górę – powiedziała, gdy zaczęliśmy schodzić. Nad naszymi głowami znajdowała się kolejna szklana kopuła, ale przez jeden z rozbitych paneli widać było mnóstwo jarzących się gwiazd – rzadkość w mieście.

Nie mogliśmy zejść na sam dół, ponieważ posadzka była zalana. Grace usiadła na przedostatnim stopniu, zdjęła buty i włożyła stopy do wody, a potem oderwała kawałek chleba i rzuciła przed siebie. Przez kilka sekund pływał na powierzchni, po czym rozległ się plusk

został wciągnięty pod wodę.

– Jezu, co to było? – zapytałem, cofając się w górę schodów.

– Wyluzuj, to tylko ryby. Chodź tutaj. Jeśli będziesz siedział spokojnie, podpłyną do ciebie.

Przypominało mi to do złudzenia scenę ze zgniatarką odpadów z *Gwiezdnych wojen*, ale skoro zaszedłem już tak daleko, zrobiłem, co mi kazano. Zszedłem na dół. Zdjąłem buty. Usiadłem obok niej, na tyle blisko, że kiedy się nie ruszaliśmy, nasze ubrania się stykały. Włożyłem stopy do zimnej wody. Siedziałem spokojnie w milczeniu. Przyglądałem się, jak Grace odrywa następne kawałki chleba i rzuca koło naszych stóp. Minęło kilka chwil i pojawiły się ryby, srebrne smugi wielkości mojej dłoni. Przeplływały nam między nogami, muskając kostki swoimi śliskimi ciałami. Grace dorzuciła chleba, pojawiło się ich jeszcze więcej, aż woda wokół nas ożyła srebrzystymi łuskami.

– To jest fantastyczne – powiedziałem, ale mnie uciszyła, żebym ich nie przestraszył. Zamilkłem, tylko przyglądałem się im, a także przyglądałem się jej, starając się nie myśleć, jak miękkie byłyby jej usta, gdybym je pocałował.

Kiedy skończył się chleb, Grace oparła się o schody, kładąc ręce za głową, więc zrobiłem to samo.

– Miałaś kiedyś dziewczynę? – zapytała. To pytanie wprawiło moje serce w szalony pęd.

– Eee... właściwie to nie.

– Dlaczego?

– Eee... bo... cholera, nie jestem dobry w tych całych zwierzeniach.

– Zauważyłam. Co jest tego powodem? Sądziłam, że świetnie potrafisz się wysłowić na piśmie.

– No właśnie. Na piśmie. Wrócę do domu i mogę ci napisać esej o tym, dlaczego nigdy nie miałem dziewczyny. I będzie to świetny tekst. Ale... jestem beznadziejny w opowiadaniu historii nie na papierze.

– Czyli wszystko musi mieć u ciebie wersję roboczą? Wszystko filtrujesz?

– W twoich ustach brzmi to przygnębiająco, ale tak. Chyba tak.

– To okropne. Kiedy wszystko najpierw prześwietlasz, tracisz naturalność, prawdę o tym, kim jesteś.

– Pewnie masz rację. Przynajmniej jeśli interesuje cię naturalność. Mam trudności ze znalezieniem odpowiednich słów, jeśli ich nie zapiszę.

– To może spróbujesz?

– Jak?

– Zaprezentuj mi niepoprawioną wersję roboczą wyjaśnienia, dlaczego nigdy nie miałeś dziewczyny. Wyrzuć to z siebie.

– Ponieważ... istnieje tyle powodów. Bo mam siedemnaście lat. I nie przeszkadza mi moja samotność. Nawet ją lubię. Zawsze otaczali mnie rówieśnicy, którzy to wchodzili w nowe związki, to je kończyli, to były dramatyczne, toksyczne relacje, które do mnie nie przemawiają. Oczekuję tego, co łączy moich rodziców. Niezwykłej miłości.

– Zdajesz sobie sprawę, że w ten sposób mnóstwo fantastycznych rzeczy przechodzi ci koło nosa? Czasami człowiek nie ma pojęcia, że coś będzie niezwykle, dopóki takie się nie stanie.

– Tak. Znaczący... chyba.

– Skoro jesteś tego świadomy, to okej. Tak na marginesie, to był całkiem przyzwoity brudnopis. Możesz przemyśleć odpowiedź i wręczyć mi ją na piśmie, jeśli czujesz taką potrzebę.

– Będziemy w kontakcie. Być może wyślę ci esej na dniach.



– No dobrze, Henry Page'u. Zadałam ci trzy pytania. Magiczna liczba. Teraz twoja kolej na pytanie.

– O co mam cię zapytać?

– Nie sądzisz, że pytanie o to, o co masz mnie zapytać, nieco mija się z celem tej zabawy? Pytaj o to, co chciałbyś wiedzieć.

– Co ci się stało w nogę?

Grace zwróciła ku mnie swoją twarz, dzieliły nas jedynie centymetry. Na wargach czułem jej ciepły oddech.

– To akurat nudne pytanie.

– Dlaczego?

– Ponieważ odpowiedź nie ma żadnego związku ze mną jako istotą ludzką. To ja pytam cię o tak głębokie sprawy jak ulubiony kolor i utwór czy brak dziewczyny, a ty od razu rzucasz się na oczywiste fizyczne kwestie.

– Mogę zapytać o coś innego, jeśli wolisz.

Grace spojrzała w górę, na gwiazdy.

– Miałam wypadek jakieś trzy miesiące temu. Poważny. Siedmiokrotne dachowanie. Spędziłam w szpitalu miesiąc, zakładali mi druty, robili przeszczepy skóry na nodze. W zasadzie przez tydzień leżałam nieprzytomna, przez kolejny marzyłam o tym, żeby umrzeć i pozbyć się bólu. Potem mój stan się zaczął poprawiać. Od nowa nauczyłam się chodzić, ale mam mnóstwo brzydkich blizn. I nie, nie możesz ich zobaczyć. Czy wyczerpałam temat?

– Paskudna sprawa.

– Żebyś wiedział. Ale nic nie dzieje się bez powodu, bla, bla, bla. – Grace przewróciła oczami.

– Nie wierzysz w to, że wszystko ma swoją przyczynę? – zapytałam, na co prychnęła.

– Pomyśl, Henry. Pomyśl. Powiedz mi, że twoim zdaniem nasze życie jest naprawdę czymś więcej niż tylko idiotyczną kaskadą przypadkowych wyborów. Chmura pyłu i gazu tworzy naszą planetę, na skutek reakcji chemicznej powstaje życie, a potem nasi przodkowie jaskiniowcy żyją na tyle długo, by – zanim umrą okropną śmiercią – filetować siebie nawzajem. Wszechświat to wcale nie jest magiczne miejsce, jak ludzie sobie wyobrażają. Jest niesamowicie piękny, ale nie ma w nim magii, tylko czysta nauka.

Jeszcze przez chwilę wpatrywałem się w gwiazdy, rozmyślając głównie o życiu seksualnym jaskiniowców.

– A tak w ogóle, jak trafiłaś na to miejsce?

Grace usiadła, otworzyła paczkę chipsów i zaczęła jeść.

– Przyprowadził mnie tu kolega dawno, dawno temu, kiedy jeszcze byliśmy dziećmi. Oboje mieliśmy awanturnicze charaktery, włamując się tutaj, poczuliśmy się jak buntownicy. Lubiliśmy tu przychodzić i gadać długimi godzinami. Wracam tu za każdym razem, kiedy chcę sobie przypomnieć, jak nieistotna jestem w skali ogromnego wszechświata.

– Świetna rozrywka.

– Kosmos to najlepszy lek na smutek, jaki znam.

– Poczucie nieistotności nie wydaje się dobrym remedium na przygnębienie.

– A właśnie, że tak. Kiedy patrzę w niebo, uświadamiam sobie, że jestem zaledwie popiołem po dawno umarłych gwiazdach. Człowiek to zbiór atomów, które przez krótki czas tworzą określony układ, a potem znów się rozpadają. Moja maluczkosc przynosi mi pocieszenie.

– Obawiam się, że reszta społeczeństwa nie zgodzi się z tobą w tej kwestii. Powinnaś bać się zapomnienia, jak my wszyscy.

– Najlepsze we wszechświecie jest to, że trafimy do niepamięci.

– Nie przesadzaj, nikt nie chce być zapomniany.

Grace znów oparła się o stopnie i popatrzyła na niebo. Od razu przyszedł mi do głowy cytat: „Kochałem gwiazdy zbyt silnie, by obawiać się nocy”<sup>[8]</sup>. Zadrzałem lekko, spoglądając na swoją towarzyszkę.

– W sumie podoba mi się ta idea – stwierdziła. – Że kiedy umieramy, mimo bólu, strachu wstydu, których doświadczyliśmy w życiu, mimo złamanego serca, żalu i rozpacz, wszyscy staniemy się nicością. Świadomość, że na końcu zostaną wyzerowana, dodaje mi odwagi. Człowiek ma do dyspozycji krótki przeblask świadomości, z którym może robić, co tylko zechce, po czym zostaje zwrócony wszechświatowi. Nie jestem religijna, ale nawet ja rozumiem, że to odkupienie na wielką skalę. Zapomnienie nie wydaje się wcale przerażające, to coś najbliższego absolutnemu rozgrzeszeniu.

– Jezu. Nic dziwnego, że Hink chciał cię mieć w naszej gazecie.

– Widzisz? Z roboczych wersji płyną niekiedy same korzyści.

– Jestem pewien, że niesamowicie piszesz. Czemu przestałaś?

– No wiesz. Zwyczajowy banał. Stres pourazowy. Nic ciekawego.

Chciałem powiedzieć: „Jesteś niesamowita, dziwaczna jak nie wiem co, ale niesamowita”. Powiedziałem jednak coś innego:

– Z jakich grzechów musi się rozgrzeszać siedemnastoletnia dziewczyna?

– Zdziwiłbyś się. – Grace wyprostowała się, a na jej twarzy błąkał się psotny uśmiech.

– Chcesz poznać mroczny sekret z mojej przeszłości?

– O matko, wiedziałem. Zakopałaś tu czyjeś ciało, prawda? – zapytałem, gdy wstała. Podała mi rękę i podciągnęła. – Kto to był? Przypadkowy bezdomny? Nauczyciel z twojej dawnej szkoły? To dlatego się przeniosłaś?

Ruszyliśmy razem, powoli, nadal trzymając się za ręce. W połowie spiralnych schodów Grace przykucnęła i pokazała mi litery wyryte w metalu.

– Byłam kiedyś wandalą – wyjaśniła, po czym odsunęła rękę i moim oczom ukazał się koślawy napis: „G + D na zawsze”. – *Voilà!*

– Ty to zrobiłaś?

– Tak. Miałam wtedy jakieś dziesięć lat.

– Grace Town. Zupełnie nie wiem, co mam o tobie myśleć. A co oznacza D?

– Chłopaka.

– Twojego?

– Wtedy się trochę w nim podkochiwałam.

– Na zawsze. Nadal jesteście razem?

– Jak się okazuje, „zawsze” nie jest tak długie, jak mi się wydawało.

Przesunęła palcami po literach, zupełnie jakby była w transie, jak gdyby zapomniiała całkowicie o mojej obecności.

– Powinnam wracać do domu – powiedziała cicho. – Dzięki za towarzystwo. Często tu przychodzę, ale to nie to samo, kiedy jest się samemu.

– Polecam się na przyszłość. Możemy tu przychodzić, kiedy tylko będziesz chciała.

– To do jutra.

– Wszystko w porządku, Grace?

– Tak. To tylko... dawne wspomnienia. Moja mama mieszka w mieście. Chyba będę dzisiaj u niej nocować. Dasz radę wrócić autobusem?

– Matko święta, Grace Town! Jak ja wrócę sam do domu?

– Rozumiem, że to była odpowiedź twierdząca?

Zaczęła się wspinać na górę, ale przystanęła na trzecim stopniu i na mnie spojrzała.

- Cieszę się, że cię poznałam, Henry.
- I ja się cieszę, że poznałem c i e b i e, Grace.

Stałem w miejscu i patrzyłem, jak odchodzi, światło jej komórki stawało się coraz bledsze, aż w końcu pochłonęła ją ciemność i nie zostało po niej nic, nawet dźwięk. Tkwiłem tu sam wśród czarnej nocy.

Opadła mnie mgławica różnych uczuć. Zwykle bez problemu rozpoznawałem własne emocje: radość, smutek, złość, wstyd. Łatwe do sklasyfikowania i określenia. To jednak było dla mnie zupełną nowością. Coś jak pajęczyna myśli rozgałęziająca się we wszystkich kierunkach, tyle że żadna z nich nie miała większego sensu. Było to uczucie potężne, rozmiarów całej galaktyki, tak ogromne i pokręcone, że mój biedny umysł go nie ogarniał. Kiedy człowiek dowiaduje się, że Drogę Mleczną tworzy 400 miliardów gwiazd, myśli sobie: „O cholera, całkiem sporo”, ale jego mikroskopijny ludzki umysł nie może zrozumieć jej prawdziwych rozmiarów, ponieważ jest zbyt maluczki. Tak właśnie się czułem.

Dobrze wiedziałem, kiedy podobam się dziewczynom. A przynajmniej poznawałem, że ze mną flirtują. A jednak Grace Town ze mną nie flirtowała. I wcale jej się nie podobałem, a jeśli nawet, to wyrażała to w sposób, do którego nie byłem przyzwyczajony.

Z miejsca wyczuwałem też, kiedy to mnie spodobała się jakaś dziewczyna. Na punkcie Abigail Turner (z przedszkola) i Sophi Zhou (ze szkoły podstawowej) miałem obsesję. Byłem nimi zauroczony. Sytuacja z Grace wyglądała jednak inaczej. Nie byłem nawet pewien, czy ona mnie kręci. Nie znajdowałem w sobie palącego pożądania. Nie miałem ochoty zderzyć z niej ubrania i rzucić się do jej ust. Po prostu... mnie do niej ciągnęło. Chciałem być obok, krążyć wokół niej tak, jak Ziemia krąży wokół Słońca.

Nie bądź kretynem, Henry, napomniałem sam siebie. Włączyłem latarkę w komórce i ruszyłem po zardzewiałych schodach ku nocnemu niebu, rozmyślając o Ikarze i hybrisie, i o tym, jak adekwatna to była metafora (pękałem wręcz z dumy, że mi przyszła do głowy). – Nie zakochuj się w tej dziewczynie.

Kiedy wróciłem do domu (mama mnie odebrała, cudowna kobieta), otworzyłem notatnik w komórce i zapisałem:

Wersja robocza numer dwa:

Ponieważ nigdy wcześniej nie spotkałem dziewczyny, którą chciałbym zaprosić do swojego życia.

Ale teraz spotkałem Ciebie.

I dla Ciebie zrobiłbym wyjątek.

## ROZDZIAŁ 8

– MPDG – powiedziała Lola we wtorek po szkole. Leżała do góry nogami na mojej sofie, buty opierała na zagłówku, głowa zwisała jej z siedzenia, i grała bez większego zaangażowania w FIFA. – Widzę tu poważny przypadek MPDG.

– Empe co? – zdziwił się Murray.

– Manic Pixie Dream Girl<sup>19]</sup>. Zobacz sam, zabiera Henry’ego na wyprawę do opuszczonego dworca kolejowego pełnego ryb, a potem rozmawia z nim o wszechświecie. Prawdziwi ludzie tego nie robią.

– A ona zrobiła – odpowiadam. – I muszę przyznać, że było świetnie.

– O nie, nie ma w tym nic świetnego – zaproponowała Lola. – MPDG to bardzo niebezpieczne terytorium.

– Chwila – odezwał się Murray. – Jak to możliwe, że te ryby żyją pod ziemią?

Odkąd o nich wspomniałem, gładził się w zamyśleniu po swoim brzoskwiowym meszku na brodzie z wybitnie zdumionym wyrazem twarzy. Poprzedniego wieczoru umył chyba włosy (co zdarza się bardzo rzadko), ponieważ wróciły do swojego naturalnego stanu: lwiej grzywy o konsystencji waty cukrowej. Musiał pożyczyc od Loli wsuwki, by nie wpadały mu oczy.

– To jakiś zamknięty ekosystem czy jak? – ciągnął. – Jak one się tam dostały?

– Pewnie ta woda łączy się z jakimś pobliskim zbiornikiem – wyjaśniła La. – Ptaki lądują w wodzie z ikrą przyklejoną do nóg, coś w tym rodzaju.

– Myślisz, że nadają się do jedzenia? Może powinniśmy wybrać się na ryby? Henry, jakie to były gatunki? Pstrągi? Leszcze?

– Czy wy się możecie skupić? Stresuję się.

– Dlaczego? – zapytał Murray.

– Ona mi się chyba podoba. – Wypowiedzenie tego zdania nie przyszło mi z łatwością. Zwykle nie przyznaję się do takich rzeczy. Może – ponieważ to był mój ostatni rok w szkole średniej – potrzebowałem skandalu. Ale nie w rodzaju „zaraził się chorobą weneryczną od wspólnej dziewczyny, dzięki czemu zyskał przydomek: Ten z Trójkąta Rzęsistkowców”, raczej innego. Zawsze trzymałem się na uboczu nastoletnich dramatów, zawsze tylko słuchałem opowieści Loli i Murraya o miłości straconej oraz miłości znalezionej, ale nigdy w niczym nie uczestniczyłem.

Po raz pierwszy zapragnąłem tego doświadczyć. Po raz pierwszy pojawił się ktoś, kto mógł być tego wart.

– O matko – powiedziała Lola.

Murray otarł niewidoczną łzę.

– Tyle czasu czekałem na tę cudowną chwilę. Nasz mały chłopczyk wreszcie stał się mężczyzną.

– Co mam zrobić? – zapytałem.

– A ty jej się podobasz? No wiesz, wyczuwasz coś? – podsunęła Lola.

– Nie wiem. W końcu zabrała mnie do swojego tajnego jeziora i rozmawiała ze mną śmierci. Może w jej mniemaniu oznacza to, że na mnie leci?

– Niekoniecznie. Jeśli jest MPDG, zapewne zabiera tam wszystkich.

– Grace nie jest żadną Pixie Girl, okej? Gdyby tak było, nosiłaby letnie sukienki, grzywkę i jeździła na holenderce z bagietkami w koszyku, często się uśmiechając. Ona nie jest ekscentryczna, tylko zwyczajnie dziwna. Podejrzewam, że może mieć depresję.

– No już dobra, wyluzuj, Romeo. Nie chciałam cię urazić.

Nie zdradziłem Loli, o czym sobie pomyślałem: że Grace przyszła do szkoły w tym samym stroju, który miała poprzedniego dnia. Włosy tworzyły gniazdo na czubku głowy, a oczy miała czerwone i podpuchnięte po bezsennej nocy. Dziewczyny kłamiące na temat posiadania rodziny w mieście i sypiące sporadycznie na ulicy raczej nie pasują do wizerunku zwariowanej pannicy do pokochania.

– Słuchaj no. – Murray położył mi rękę na ramieniu. – Najważniejsze, żeby nie działać pochopnie. Masz tylko jedną szansę. Spieprzysz ją, i nic z tego. Daj sobie czas, znasz ją zaledwie od tygodnia. Oceń sytuację. Przyjrzyj się mowie jej ciała. Poznaj ją, zanim się na nią rzucisz.

– Jestem zdumiona. To najmądrzejsza rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałeś – stwierdziła La.

– Jak to u nas mawiają, nie ma sensu pchać widelcem gówna pod górkę w upalny dzień.

– To autentyczne powiedzenie australijskie czy sam je wymyśliłeś?

– To genetyczne – odparł, uśmiechając się szeroko. – Mamy to we krwi.

– I co jest grane z tym jej chodzeniem gdzieś popołudniami? – powiedziała Lola. – Co to niby znaczy?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mam pojęcia. Wysiada z samochodu, idzie ulicą i znika. Dwie, trzy godziny później znika też auto. Nie wiem, czy to ona nim odjeżdża, czy ktoś po nie przychodzi.

– To jakiś popieprzony sekret – zawyrokował Murray. – Grace Town to zagadka owinięta w tajemnicę i zamknięta w enigmie. – Ale możemy ją rozwiązać. Wiem, że żadna z nas Madison Carlson, jednak moglibyśmy spróbować.

– Moglibyśmy – potwierdziła Lola powoli. – Jechać za nią. Zobaczyć, dokąd idzie. Wybadać laskę.

– To trochę w stylu Christiana Greya, nie sądzicie? – zapytałem.

– Przecież nie będziesz wachał jej włosów, gdy śpi. Pojedziemy za nią przez pięć minut, sprawdzimy, dokąd chodzi. Może odwiedza swojego chłopaka czy coś w tym stylu. – Po sposobie, w jaki wymówił słowo „chłopaka”, domyśliłem się, że jego zdaniem na samo wspomnienie ewentualnego konkurenta, od razu się zgodzę. Nie mylił się.

– Cholera, siedemnaście lat bez presji rówieśników i nagle w ciągu dwóch dni doświadczam jej aż dwukrotnie. Dobrze. Pobawmy się w zboczonych stalkerów.

Muz klasnął w dłonie.

– A więc ustalone. Jutro po szkole będziemy czekali w samochodzie pod twoim domem rozpoczniemy naszą tajną operację.

– Tylko ja mam prawo jazdy – przypomniałem mu. – A zamierzam ukrywać się z tyłu, między siedzeniami. To kto z was, moje przygłupy, będzie prowadzić?

– Nie martw się. – Lola odblokowała komórkę. – Mam świetny pomysł.

– Ja pierniczę. Nie wierzę, że dałam się na to namówić – oświadczyła Sadie z fotela kierowcy, kiedy wgramoliłem się za siedzenia w jej SUV-ie. Lola i Murray już siedzieli przypięci pasami. – Jestem dwudziestodwujęciolatnią szanowaną neurochirurg, a pomagam mojemu nastoletniemu bratu, zakapiorowi jakich mało, śledzić kaleki obiekt jego uczuć. Co poszło nie tak w moim życiu?

– Co ty masz za buty? Kowbojki z ostrogami? – zapytałem Murraya, kiedy zamknął drzwi auta, a ja próbowałem ulokować się wygodnie u jego nóg – co było trudne, ponieważ jego obuwie właśnie przebijało mi nerki.

– Zwykle sportowe, wyluzuj. Nie dramatyzuj i usiądź obok mnie.

– W życiu! Muszę ukryć moją tożsamość. La, wołałabym, żebyś zajęła miejsce z tyłu, bo inaczej Grace może cię zobaczyć.

– I straciła okazję obejrzenia z bliska tej katastrofy? Nie ma mowy.

Obróciłem się, próbując – bezskutecznie – znaleźć miejsce, w którym nie będę się czuł jak filetowane mięso.

– Jezu, Sadie. Jedź wreszcie!

– Cierpliwości, Johnie Hinckleyu Jr<sup>[10]</sup> wersja 2.0. Śledzimy dziewczynę, która chodzi o lasce – oświadczyła moja siostra, odpalając auto, i pomału ruszyła.

Pogodziłem się z tym, że przez całą drogę będzie mi niewygodnie, i oparłem policzek o brudną podłogę.

– Przysięgam, że w najbliższym czasie nie zamierzam strzelać do prezydenta.

– Mów, co chcesz, ale jeśli zarezerwujesz lot do Waszyngtonu i zaczniesz oglądać filmy z Jodie Foster, nakablujemy na ciebie NSA.

– Co się dzieje? – zapytałem, gdy moja siostra pomału zatrzymała auto. – Widzicie ją?

– Taaa. Jest przed nami. Właśnie zerwała kwiaty spod czyjegoś domu. Co za MPDG! –

Niemal widziałem, jak Lola kręci głową. – Nie martw się, nie wygląda na to, żeby miała nam uciec.

– Bardziej obawiam się, że nas zobaczy, a nie że nam ucieknie.

– Jeśli nas nakryje, powiemy policji, że Sadie ma obsesję na jej punkcie i zmusiła nas do wejścia do auta, ponieważ chce nas wszystkich zamordować w satanistycznym rytuale.

– Ha, ha – powiedziała moja siostra. – Nienawidzę was, jesteście bandą dziwaków.

– Dokładnie coś takiego powiedziałby satanista. Czy regularnie odbywasz stosunki z szatanem, czy jedynie sporadycznie?

Sadie zwichrzyła włosy Loli, a ta zaśmiała się i odepchnęła jej rękę.

– Kurczę, idzie skrótem – rzucił Murray. – Dokąd prowadzi ta ścieżka?

– Po drugiej stronie jest tylko cmentarz – odparła

Sadie. Murray wbił mi rękę w żebra.

– Wiedziałem! Codziennie chodzi odwiedzać szkielety? Jestem pewien, że to coś z największych hitów literackich ostatnich czasów. Chcecie się założyć? Co obstawiacie? Jest wampirka? Duchem? A może współczesną zombie, zdolną do miłości?

– Stawiam dziesięć dolarów na to, że jest upadłym aniołem – powiedziała moja siostra. – To teraz najmodniejsze.

– Dobra stawiam wszystko na jedną kartę. Ile płacisz za syrenę, Muz? – zapytała Lola.

– Syreny nie żyją na cmentarzu, wariatko.

– Okej. Demoniczna syrena z piekła, która nawiedza cmentarne bagna wylewające przy każdym deszczu. Jaka jest stawka?

– Jedna stutysięczna do jednego.

– Świetnie. Daję dychę. Już czuję ten słodki zapach pieniędzy.

– A ty, Romeo? – Murray pochylił się nade mną. – Jak myślisz, kim jest twoja dziewczyna? Wiedźmą? Kosmitką? Wilkołakiem?... Drop bearem?

– Dro-czym? – zapytała La.

– To u nas prawdziwy problem. Aż się od nich roi w Sydney. Wszyscy smarują się za uszami pastą Vegemite, żeby nie dostać się w ich łapy. Paskudna tragedia, tyle niezłych ziomków i lasek przez nie straciliśmy.

Uniosłem głowę znad podłogi.

– Czy możecie się przymknąć i nie zapominać, że uczestniczymy właśnie w poważnej misji szpiegowskiej łamanej przez stalking? Suds, jedź do Beauchamp Road, złapiemy ją z drugiej strony.

– Już dawno to zrobiłam, kurczaczku – odparła Sadie, a ja poczułem, jak skręca w ulicę Cemetery Drive, nazwaną bardzo odpowiednio, choć zupełnie bez polotu.

– To jesteśmy – odezwała się Lola. – Martwe centrum miasta.

– Słyszałem, że ludzie się zabijają, żeby się tu dostać – powiedział Murray.

– Nic mi o tym nie wiadomo – rzuciłem. – Podobno tu są sami sztywniaci.

– Widzę ją. – Lola uderzyła mnie w ramię. – Wstawaj, Henry. Jest na tyle daleko, że nas nie zauważy.

Murray pociągnął mnie za kurtkę i – sapiąc i dysząc – w końcu usiadłem obok niego.

Grace znajdowała się przed nami, szła wzdłuż nagrobków, w lewej ręce trzymała pstrokaty bukiet kwiatów ogrodowych. Zdjęła wełnianą czapkę i rozpuściła włosy. Rozwiał je wiatr, a popołudniowe słońce zabarwiło je na kolor brudnego budyniu. Zatrzymała się nagle, wsunęła za ucho kosmyk włosów i uklękła przy grobie przybranym mnóstwem kwiatów w rozmaitym stadium rozkładu. A potem położyła się na ziemi, oparła głowę na ręce, zacisnęła palce na źdźbłach trawy i uniosła zgięte w kolanach nogi. Nawet z tej odległości widziałem,

że porusza ustami – mówiła albo śpiewała do kogoś niewidocznego, znajdującego się pod ziemią.

Przez chwilę siedzieliśmy jak sparaliżowani, oszołomieni widokiem niezwykle intymnej chwili, w której byliśmy intruzami. W końcu Sadie potrząsnęła głową i uruchomiła samochód.

– Nie powinniśmy byli tego oglądać, Henry – powiedziała. – To nie było przeznaczone dla naszych oczu.

Skinąłem głową.

– Wracajmy do domu, Suds.

Przez całe popołudnie siedziałem na parapecie od frontu, czytałem książkę, obserwowałem nadciągającą burzę i czekałem na rozwiązanie zagadki znikającego samochodu. Tuż po zachodzie słońca, kiedy niebo posiniało od burzy, przed naszym domem zatrzymało się auto. Patrzyłem przez szybę, jak od strony pasażera wysiada niski łysy mężczyzna i biegnie

w deszczu do hyundaia Grace. Otwierając drzwi, podniósł wzrok, zauważył, że na niego patrzę, więc uniósł rękę. W odpowiedzi podniosłem swoją. Mężczyzna skinął głową, wsiadł do samochodu, zawrócił i odjechał pośród ulewy, a reflektory przypominały w ciemności diabelskie ślepie.

## ROZDZIAŁ 9

Zdawałem sobie sprawę, że nie zdołałbym poruszyć tematu cmentarza w rozmowie z Grace, nie przyznając się przy tym, że ją śledziliśmy. Tak więc – jako człowiek rozsądny i zdrowy na umyśle – postanowiłem zapomnieć o tym, co widziałem. Uznałem, że skorzystam z rady mojego przyjaciela i postaram się poznać ją bliżej, co okazało się trudniejsze, niż można byłoby się spodziewać, ponieważ Grace Town była najdziwniejszą istotą ludzką na świecie.

W ciągu następnych tygodni niemal codziennie jedliśmy razem obiad, niekiedy z moimi przyjaciółmi, a czasem – gdy miałem wrażenie, że nie ma ochoty na towarzystwo innych osób – sami. Ten nowy zwyczaj narodził się mniej więcej tak samo jak jej odwożenie mnie do domu: dzień po incydencie na cmentarzu Grace stanęła ni stąd, ni z owąd przy naszym stoliku w stołówce i zapytała, czy może się przysiąść. „Wampirka”, powiedział bezgłośnie Murray, gdy Grace zajęła miejsce obok Loli, a ja kopnąłem go pod stołem.

Ponieważ cały czas miałem w głowie pogadankę Murraya na temat mowy ciała, starałem się zwracać uwagę na to, jak Grace zachowuje się w mojej obecności. Czulem, że coś mnie do niej przyciąga – pochylałem się nad stołem, przysuwałem nogi w jej stronę. Jednak ona nigdy nie kopiowała moich ruchów. Zawsze siedziała wyprostowana albo oparta o siedzenie, nogi miała skrzyżowane z dala ode mnie. Za każdym razem, gdy czulem, że wpadam w jej orbitę, zdradzony przez mowę własnego ciała, odsuwałem się, żeby się nie zdemaskować.

Proces tworzenia szkolnej gazetki wyglądał następująco: co roku wychodziły cztery numery, po jednym na początku każdego semestru. Aktualnie w obiegu znajdował się ostatni numer, nad którym pracował poprzedni redaktor, Kyle (wspomniany już profanator redakcyjnej sofy). Ostatni numer przygotowany pod przewodnictwem mnie i Grace miał się ukazać latem, już po naszym odejściu ze szkoły. To będzie nasz spadek, mądrość, którą przekazemy następnemu pokoleniu czwartoklasistów.

Oprócz artykułów poświęconych najważniejszym wydarzeniom z danego semestru każdy numer miał swój temat przewodni, zwykle wariant jednego z czterech przesłodzonych licealnych motywów: Przyjaźń! Podróże! Tolerancja! Harmonia!

Kyle, który przychodził do szkoły w pelerynie, a w redakcji powiesił maskę Guya Fawkesa<sup>[11]</sup>, próbował przesunąć narzucone granice i decydował się na takie abstrakcyjne tematy, jak „koła”, „czerwień” (tu wielokrotnie pojawiła się Taylor Swift), „osobliwości” czy

„wiednięcie”. Nauczycielom się to nie podobało, ponieważ życzyli sobie, by gazeta zawierała wyłącznie hardcorową propagandę w myśl zasady „nastoletnie lata to najlepszy okres w życiu człowieka”. Za to uczniowie uwielbiali odjechane tematy Kyle’a, wreszcie mogli bowiem poczytać o czymś innym niż „tworzenie relacji na całe życie” czy „triumfalny marsz w przyszłość”. Przez „uwielbienie” rozumiem, że co najmniej czterdzieści procent z nich zadało sobie trud i wzięło gazetę do ręki – ten, kto zdaje sobie sprawę z tego, jacy są nastolatki i jak bardzo mają w nosie wszystko, co wiąże się ze szkołą, zrozumie, że gazeta Kyle’a była niczym rozchodzący się na pniu bestseller.

poszukiwaniu Tematu Idealnego, który strąci Kyle’a z piedestału, musieliśmy naprawdę przyłożyć się do pracy. Hink dał nam wolną rękę, jeśli chodzi o zawartość („Dobre z was dzieciaki, ufam, że będziecie się trzymać regulaminu”, powiedział na naszym pierwszym i ostatnim wspólnym zebraniu, raczej nierozsądnie), ale to oznaczało, że musieliśmy odbywać z Grace regularne burze mózgow po lekcjach. Zwykle podjeżdżałem krzesłem do jej małego biurka, siadaliśmy obok siebie, ja piłem kawę albo red bulla (mieliśmy dostęp do pokoju nauczycielskiego, *yes, yes, yes!*), ona herbatę miętową i rzucaliśmy coraz bardziej beznadziejne propozycje. „Nowy początek”? „Świeży start”? „Jaki los jest nam pisany?” „Wieczna młodość”?

Podczas długich, leniwych popołudniowych spotkań w ciągu pierwszych dwóch tygodni zastanawiałem się często, czy ona też jest tak bardzo świadoma swojego ciała jak ja. Przypadkowych muśnięć ręki, gdy coś podnosiliśmy z biurka, każdego wybuchu dzikiego śmiechu, po którym kładliśmy sobie głowę na ramieniu. Czasami miałem wrażenie, że Grace inicjuje takie przypadkowe kontakty fizyczne, ale niekiedy zachowywała się jak marionetka, każdy jej ruch był celowy, przemyślany, byle tylko nasze ciała się nie zetknęły, bylebyśmy siedzieli odpowiednio daleko od siebie.

Zwykle nie miałem problemu z interpretowaniem zachowań ludzkich, jednak Grace była anomalią, czarnym punktem na moim radarze. Nie cierpię odniesień do *Zmierzchu*, ale nagle uświadomiłem sobie, skąd wzięło się zainteresowanie Edwarda taką nudziarą (nie żeby Grace była nudna, wręcz przeciwnie – była inteligentna i dowcipna, a jej czarny humor nie miał sobie równych). Uświadomiłem sobie, co tak przyciągało przystojnego krwiopijcę do Belli. Im mniej potrafiłem wyczytać z Grace – im mniej ją rozumiałem – tym bardziej byłem nią oczarowany. Musiałem, koniecznie musiałem zrozumieć, co dzieje się w tych pokręconych, mrocznych, przeżabawnych zakamarkach jej umysłu.

Czasami czułem się tak, jakbyśmy byli starymi, dobrymi przyjaciółmi, niekiedy jednak zakładała słuchawki i nie odzywała się ani do mnie, ani do Loli, nie licząc słów pożegnania. Czasem w ogóle się nie pojawiała. Pogodziłem się już, że nie wszystko idzie tak, jak bym sobie tego życzył, a tymczasem dawałem się coraz głębiej wessać w tornado, jakim była Grace Town.

czasie trwania tych lepszych dni, kiedy angażowała się w interakcje, zdołałem dowiedzieć się, że:

- Grace Town kiedyś biegała na bieżni (dla przyjemności, poważnie). A przynajmniej robiła to przed wypadkiem.
- Grace Town nie piła kawy.
- Grace Town spędzała czas wolny, czytając artykuły Wikipedii na temat seryjnych morderców i katastrof lotniczych.
- Grace Town obchodziła urodziny tydzień po Święcie Dziękczynienia.
- Grace Town lubiła *Breaking Bad*, *Gwiezdne wojny* oraz *Grę o tron*, ale nie cierpiała *Star Treka* i *Doktora Who* (co prawie – prawie – wykluczyło naszą znajomość).

Chodziliśmy razem tylko na jedne zajęcia (teatralne) i byłem pewien, że ich nie zaliczy, ponieważ nigdy nie wstawała ze swojego krzesła z tyłu sali, a profesor Beady nie angażowała jej



nigdy do niczego. Chociaż to był ostatni rok nauki i wszyscy robili w gacie ze strachu przed rekrutacją na studia, wynikami egzaminów i ocenami na świadectwie, moje pierwsze tygodnie minęły bezproblemowo. Wiedziałem, że dostanę A od nauczycieli, z którymi już wcześniej miałem lekcje (Beady, Hink, señor Sanchez od hiszpańskiego), ale pozostali byli zupełnie nowi, więc musiałem nieźle się namęczyć, żeby zapewnić sobie przyzwoite stopnie, większość z nich bowiem – chociaż upłynęło już ponad dziesięć lat! – była uprzedzona do nazwiska Page.

Początek roku szkolnego zawsze wyglądał tak samo. Nauczyciele pracujący w Westland na tyle długo, że mieli przyjemność poznać moją siostrę, reagowali identycznie podczas pierwszego sprawdzania obecności. Wyczytywali moje nazwisko. Rozpoznawali je. Podnosili głowę i patrzyli na mnie z przerażeniem. Zauważali, jak bardzo jestem podobny do Sadie, i upewniali się tym samym, że rzeczywiście jesteśmy rodzeństwem. Mama wcale nie przesadzała, mówiąc, że w moim wieku Suds miała za sobą trzy aresztowania. Ale jeszcze częściej niż w konflikty z prawem popadała w kłopoty z nauczycielami. Pięć razy zostawała (nieoficjalnie) usuwana ze szkoły i musiała ponownie się zapisywać (między innymi) za: sprzedaż papierosów, kradzież kamery, podpalenie szkolnej kuchni do zajęć z gospodarstwa domowego (utrzymywała, że to był autentyczny wypadek przy pracy), skuteczne pędzenie bimbru w kantorku chemicznym i wreszcie udaną hodowlę marihuany (przez trzy lata) w szklarni biologicznej. Zapewne nic dziwnego, że ostatecznie została naukowcem – jako nastolatka poświęcała mnóstwo czasu na „projekty naukowe”, tyle że nielegalne.

Dlaczego ciągle pozwalano jej wracać do szkoły? Ponieważ Sadie Page była genialna – i to pod każdym względem. Sądzę, że Westland nie zaryzykował utraty jedynej szansy na doczekanie się absolwenta, który zdobył Nagrodę Nobla, chociaż Sadie dawała im nieźle do wiwatu. Dyrektor Valentine miała słabość do mniej destrukcyjnych wyczynów mojej siostry (legenda głosi, że po skonfiskowaniu bimbru Sadie, zabrała go do domu i po zakończeniu każdego roku szkolnego pozwala sobie na szklaneczkę), zwłaszcza że Suds dostawała oceny, które nie były bardzo dobre – były oszalamiające. Na jej kartach informacyjnych oprócz takich słów, jak „utrapienie” i „odstępstwo od normy”, pojawiały się również określenia w rodzaju „geniusz matematyczny” czy „niepokojąca inteligencja”. Jak więc widać, nazwisko Page niosło w sobie reputację potwornego geniusza, a ja nie byłem ani jednym, ani drugim. To oznaczało, że musiałem zabierać się naprawdę ostro do pracy, by udowodnić, że a) nie jestem młodocianym przestępcą i b) moja inteligencja plasuje się zaledwie nieco powyżej średniej.

Wcześniej tego nienawidziłem, teraz miałem wymówkę, by spędzać jak najwięcej czasu na nauce, co oczywiście wymagało towarzystwa, które – rzecz jasna – obejmowało Grace.

W ostatnim tygodniu września w czasie większości przerw obiadowych szliśmy razem do McDonalda, żeby „się uczyć”, co oznaczało najczęściej idiotyczne rozbieranie na części dzieł literackich („W *Folwarku zwierzęcym* najbardziej podoba mi się to, że nie ma tam żadnego bzdurnego symbolizmu. To prosta, porządna opowieść o zwierzętach, które nienawidzą ludzi”<sup>[\*3]</sup> – powiedziałem kiedyś, parafrazując słowa Rona Swansona z *Parks and Recreation*, co wzbudziło salwę śmiechu i skończyło się na głowie opartej na moim ramieniu) i jeszcze głębsze zadania matematyczne („Jaką masz odpowiedź w zadaniu szóstym?”, zapytałem. Grace zerknęła do książki. „Fioletowe, ponieważ kosmici nie noszą kapeluszy”<sup>[12]</sup>).

Te pierwsze tygodnie pracy nad naszą gazetą okazały się najlepsze. Było coś magicznego w naszej trójce zamkniętej w akwarium redakcyjnym. Nie przepracowywaliśmy się, ale to nie było istotne, gdyż gazeta miała się ukazać dopiero za kilka miesięcy. Liście zaczynały zmieniać kolor, w środku dnia słońce jeszcze mocno przygrzewało, a to znaczyło, że mamy jeszcze mnóstwo czasu. Mnóstwo czasu na czekanie, aż do głowy przyjdzie nam TEMAT IDEALNY. Wiedzieliśmy, że gdy już się pojawi, będzie boski, a my zostaniemy tak pochłonięci jego

niesamowitością, że w podskokach opracujemy cały numer. Poradziliśmy więc naszym podwładnym (ostatecznie zgłosiło się czworo ochotników, co stanowiło nowy rekord), by skupili się na pozostałej treści: wywiadach, reportażach ze szkolnych wydarzeń, fotorelacjach. My zaś prawie wcale nie pracowaliśmy, ponieważ – przynajmniej kiedy Grace miała dobry dzień – cieszyliśmy się po prostu swoim towarzystwem.

Pokazywaliśmy sobie nawzajem mnóstwo klipów na YouTube. Dziewczyny nigdy nie widziały, jak Liam Neeson zwraca się do Ricky’ego Gervaisa po radę odnośnie do „improvizowanych komedii”, więc obejrzelśmy ten filmik razem i to trzykrotnie, taki był śmieszny. Wymienialiśmy się memami. Dziesięć razy dziennie wysyłaliśmy sobie wiadomości na Snapchacie. Nie wiedzieć kiedy pojawiły się nasze własne żarty. Zdumiewało mnie, jak szybko inny człowiek może stać się kluczowym elementem twojego życia. Na początku października, zaledwie cztery krótkie tygodnie po naszym poznaniu, miałem z Grace własny język. Jeśli wymagały tego okoliczności, byliśmy w stanie porozumiewać się wyłącznie

za pomocą cytatów filmowych oraz GIF-ów. Przemyciliśmy do redakcji pistolety nerf<sup>[13]</sup> i przed lekcjami oraz po szkole urządzaliśmy minitwy. Wymienialiśmy się też książkami (moja: *Droga Cormaca McCarthy’ego*, jej: *84, Charing Cross Road* Helene Hanff), przerażeni, że ta druga osoba nie czytała jeszcze tak niesamowitego dzieła, będącego przykładem perfekcji literackiej.

Któregoś popołudnia w pierwszym tygodniu października Lola poczuła wyjątkową życzliwość wobec mnie i mojego zauroczenia, oznajmiła bowiem, że potrzebuje mnie i Grace do pozowania do komiksu, który przygotowywała na zajęcia plastyczne. O zmierzchu wyszliśmy we troje na puste boisko do piłki nożnej – Lola z zawieszonym na szyi aparatem – i zaczęliśmy robić coraz idiotyczniejsze zdjęcia. Nie były tak żywe, jak by sobie tego życzyła La – Grace nie była w stanie przyjąć pozy z *Dirty Dancing* ze względu na chorą nogę – ale i tak skończyło się na tym, że leżeliśmy wszyscy na trawie i śmialiśmy się do rozpuku.

– Nie wypłacisz się – powiedziała Lola następnego dnia przed lekcjami, mijając mnie pod szafkami, i przycisnęła mi do piersi zdjęcie. Zostało zrobione ukradkiem i wydrukowane w wersji czarno-białej. Miałem zamknięte oczy, pochyloną głowę, a na moich ustach błąkał się cień uśmiechu. Grace położyła mi rękę na ramieniu i patrzyła prosto w obiektyw, przyłapaną na śmiechu, od którego marszczył jej się nos. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby uśmiechała się tak szeroko. Nie wiedziałem, że potrafi.

Szybko ukryłem fotografię w podręczniku do biologii, pewien, że jeśli Grace ją u mnie zobaczy, wystąpi o sądowy zakaz zbliżania się do siebie. Ale kiedy wszedłem po południu do redakcji, od razu zauważyłem, że coś się zmieniło. Potrzebowałem jednak kilku minut, żeby to zrozumieć. Na szybie nad swoim biurkiem Grace przykleiła nieduży prostokąt. Zdjęcie. Musiałem wstać ze swojego miejsca, żeby mu się przyjrzeć. Blondynka i ciemnowłosa chłopak w odcieniach szarości. Dziewczyna całuje go w policzek i lekko trzyma za brodę, a on uśmiecha się radośnie. Ale nie patykowaty, niezręczny młodzieniec i chłopczyca o nieumytych włosach. Loli udało się uchwycić coś, czego nigdy wcześniej w nas nie dostrzegłem.

Wygłądaliśmy jak postacie z filmu.

Byliśmy stuprocentowo żywi.

I absolutnie, niezaprzeczalnie piękni.

– Chyba powinienem mieć pseudonim – powiedziałem do Grace tego samego dnia. – Nie wiem, ale mam wrażenie, że teraz, kiedy jestem redaktorem naczelnym i w ogóle, nie wypada, żebym pisał pod własnym nazwiskiem. – Nadal jednak nie byliśmy zbyt produktywni. Wywiad z zespołem *The Plastic Stapler’s Revenge* przeprowadził niezwykle napalony na pracę dziennikarską chłopak z trzeciej klasy, niejaki Galaxy Nguyen (kiedy przyjechał do Stanów jako dziecko, pozwolono mu wybrać samemu imię – niezłe, co?), mieliśmy też parę artykułów

napisanych przez pozostałą trójkę naszych ochotników (zwykle na tematy związane z ich niepokojącymi pasjami, na przykład grą *Magic: The Gathering* albo kotami).

Nadal jednak nie było powodów do paniki.

– Przyjmuję wyzwanie znalezienia ci jakiegoś niesamowitego *nom de plume* – oświadczyła Grace, kłaniając się na siedząco. I w ten sposób piętnaście minut później zacząłem pisać mój pierwszy artykuł pod pseudonimem Randy Knupps (przekonałem Grace, że Randy Nips<sup>[14]</sup> nie będzie dobrym wyborem, Hink bowiem, chociaż był naiwniakiem, z pewnością by się do niego przyczepił). A potem moje serce wykonało gwałtowny taniec, ponieważ Grace powiedziała:

– Ja też zamierzam przyjąć pseudonim. Może pobawimy się w rodzinę? Ja będę Dusty Knupps, twoją knuppsową żoną, a Lola może być naszą córką, Candy Knupps.

– Rodzinna gazeta rodziny Knuppsów. Podoba mi się ten pomysł.

– Wiesz co? Jestem gotowa przenieść nasz związek na wyższy poziom.

– Tak? – zapytałem, a moje serce waliło teraz tak mocno, że nie byłem w stanie odróżnić jednego uderzenia od drugiego.

– Nadeszła pora, żebyśmy podarowali Loli braciszka albo siostrzyczkę. Adoptujmy może rybę.

Resztę dnia spędziliśmy na przygotowaniach do przyjęcia naszego adoptowanego wodnego dziecka. Na lekcji plastyki Lola ulepiła z gliny fantastyczny pałac, a ja poszedłem z Grace do sklepu zoologicznego, gdzie kupiliśmy akwarium i roślinkę, po czym sporządziliśmy umowę rodzicielską, zgodnie z którą nasze bezimienne jeszcze rybkie dziecko miało w dni powszednie mieszkać w redakcji, natomiast każde z nas zobowiązywało się do zabierania go do domu w co drugi weekend.

Wieczorem zakradliśmy się we trójkę na opuszczony dworzec i Grace wykorzystała swój talent rybiej zaklinaczki (innymi słowy, wrzuciła do wody mnóstwo chleba), żeby sprowadzić nam do stóp ławicę srebrzystych stworzeń.

– Jestem Grace z rodu Town, matka wodnych stworzeń wyposażonych w łuski i płetwy – oznajmiła, po czym włożyła do wody kupioną w sklepie siatkę i złapała niedużą, błyszczącą rybkę.

– Jak ją nazwiemy? – zapytałem, kiedy Grace przełożyła ją do plastikowego woreczka napełnionego wodą ze zbiornika.

– Wydaje mi się, że to on – oznajmiła Lola. Zabrała woreczek i zaczęła się przyglądać leniwie pływającej rybie. – Cudowny, egzotyczny samiec. Nazwijmy go Ricky Martin.

– Ricky Martin Knupps – poprawiłem. – Nie wykluczaj swojego brata z rodziny.

Niestety, na skutek tragicznych okoliczności Ricky Martin Knupps nie dożył do rana. Jak się okazało, glina użyta przez Lolę do budowy pałacu okazała się szkodliwa dla ryb i gdy następnego dnia weszliśmy do redakcji, nasze „dziecko” pływało brzuchem do góry.

– To moja wina – szepnąłem, kiedy Grace pokazała mi jego małe ciało. – Nad moją rodziną ciąży rybia kłątwa.

– Jest teraz z Tobym i Glorią – powiedziała Lola, kładąc mi rękę na ramieniu.

Aż do przerwy obiadowej Grace nosiła RMK w plastikowym pudełku ukrytym w plecaku, po czym urządziliśmy mu skromny, ale bardzo uroczysty pogrzeb pod trybunami, a składając go do maleńkiego grobu, nuciliśmy *Living in the Moment*. Do dzisiaj grób jest oznaczony haczykiem do wędki (tak, wiem – fatalnie to o nas świadczy).

Wyszorowaliśmy akwarium, wyrzuciliśmy zabójczy pałac, a na jego miejscu umieściliśmy roślinki oraz bezpieczne dla ryb figurki Ewoków, i w końcu przynieśliśmy do domu nasze kolejne dziecko, Ricky’ego Martina Knuppsa II, którego również złowiliśmy

w zbiorniku na dawnym dworcu.

– Ma twoje oczy – oznajmiła Grace, kiedy siedzieliśmy w redakcji i przyglądaliśmy się, jak pływa w swoim nowym, nietoksycznym domu.

– Ma twoje płetwy i skrzela – odparłem, a zabawność całej tej sytuacji oraz nagły napływ adrenaliny dodały mi odwagi, więc chwyciłem ją za rękę, tak jak to mogliby zrobić rodzice nowo narodzonego dziecka, jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem.

– Jesteście cholernie stuknięci – powiedziała La.

– Będziesz świetnym ojcem dla Ricky’ego Martina Knuppsa II – powiedziała Grace, nadal trzymając palce splecione z moimi. W tamtej chwili zacząłem się zastanawiać, czy to możliwe, by człowiek stał się supernową – miałem bowiem wrażenie, jakby moje atomy odrywały się od siebie, wydzielając falę uderzeniową ciepła i światła. – Ale lepiej mu nie wspominać o pierwszym RMK.

Po tym dniu uznałem, że nieświadoma mowa ciała to jedna wielka ściema, pewnie wymyślona przez jakiegoś szalonego psychoanalityka, nieżyjącego już od półwiecza (tak, tak – o tobie mówię, Freud!). Grace nigdy nie dała po sobie poznać, że mnie lubi, nigdy nie prosiła, żebyśmy coś razem zrobili, jak wtedy, gdy po raz pierwszy odwiedziliśmy opuszczony dworzec kolejowy. Ale codziennie odwoziła mnie do domu po lekcjach, a w weekendy ciągle do siebie esemesowaliśmy, chociaż nigdy się spotykaliśmy.

Mowa ciała musiała więc być ściemą. I nieważne, że nigdy nieświadomie nie przysuwała nóg w moją stronę, bo za to świadomie trzymała mnie za rękę, gdy obserwowaliśmy, jak rybka pływa w akwarium, i to dłużej, niż to było konieczne, a jej kciuk przesuwiał się po mojej skórze.

Tak naprawdę liczyły się tylko pseudonimy dziennikarskie oraz adoptowane rybki, a w świecie Randy’ego Knuppsa Grace była moją żoną i matką naszego fantastycznego wodnego syna, Ricky’ego Martina Knuppsa II.

## ROZDZIAŁ 10

Decyzja, by skorzystać z usług Madison Carlson, superdetektywa i międzyszkolnego przemytnika plotek, pojawiła się we wtorek w drugim tygodniu października, po tym jak Murray przez dziewięć dni nie miał żadnego kontaktu ze swoją byłą dziewczyną i wygrywał na gitarze (bardzo kiepsko zresztą) *Wonderwall*, stojąc pod jej domem. Niestety, w efekcie doszło nie do pogodzenia się pary, ale do kilku telefonów na policję, a następnie niezbyt szybkiej ucieczki na nogach przez całe osiedle.

Sugar Gandhi, wielka miłość Murraya (zerwała z nim pod koniec trzeciej klasy), w rzeczywistości nazywała się Seeta Ganguly, ale albo Muz kompletnie nie zrozumiał jej nazwiska, albo z góry założył, że czegoś takiego nie będzie nawet próbował wymówić. Tak czy inaczej, od razu zaczął ją nazywać Sugar Gandhi (byłem w 99 procentach pewien, że to bardzo rasistowskie, ale kiedy Sugar Gandhi usłyszała, jak ją nazywamy, uparła się, że tak właśnie mamy do niej mówić – więc to chyba okej?), a my poszliśmy w jego ślady. Ich związek nie trwał długo – pięć miesięcy, podczas których Murray uczył się, jak przyrządzać biryani oraz pierożki samosa, i dość regularnie pisał jej na fejsie, że „jesteś superlaską, poważnie”.

I, jak to zwykle bywa w przypadku związków między nastolatkami, ich wielka historia miłosna dobiegła końca. Seeta oznajmiła Murrayowi, że jej rodzice pragną, by spotykała się z jakimś „porządnym hinduskim chłopcem” (co było wyszukaniem kłamstwem zainspirowanym filmem *Podkręć jak Beckham*, spreparowanym po to, by nie urazić uczuć Murraya).

Od tamtego czasu Murray cały czas próbował odzyskać jej uczucia, tyle że w tym celu potrzebował informacji. I w tym miejscu na scenę wkracza Madison Carlson.

Ze wszystkich dziewczyn w naszym liceum Madison była najbardziej przerażająca, najbardziej jasnowłosa, o najbardziej kobiecych kształtach – to dziewczyna, której samo istnienie sprawiało, że człowiek czuł się jak gówno, ponieważ dziewczyny takie jak ona i faceci tacy jak ja należeli do zupełnie innych gromad świata zwierząt. Na swoim koncie instagramowym miała absurdalną liczbę zwolenników, projektanci ciągle wysyłali jej darmowe produkty, co miesiąc latała do Nowego Jorku, żeby robić zdjęcia modowe i spotykać się z Bardzo Ważnymi Osobistościami. Plotki głosiły, że zarobiła już więcej pieniędzy niż jej rodzice i od razu zamierzała opłacić sobie całe studia.

– Eee... – zaczęłam, podchodząc do jej szafki we wtorek rano.

– Cześć – odpowiedziała, patrząc na mnie dziwnie, co pewnie było do przewidzenia, zważywszy na moje jakże uprzejme powitanie.

– Chryste, Henry. W tym tempie niczego nie osiągniesz – odezwał się Murray, po czym odepchnął mnie łokciem, chwycił Madison za rękę i pokłonił się głęboko. – Panno Carlson, wracam do ciebie jak bumerang.

– Czego chcesz?

– Tajnych informacji. Z East River. Cena nie gra roli, przez co chcę powiedzieć, że posiadamy łącznie osiem dolarów i siedemdziesiąt pięć centów i z wielką radością zaprosimy cię na powiększoną porcję dowolnego dania w wybranym przez ciebie lokalu typu fast food.

– Interesują cię plotki? Nie jesteśmy już w gimnazjum, Murray. Już się nie bawię w takie rzeczy.

– Mads. Koleżanko moja. Nadal spotykasz się z tym ciemięgą, który tam chodzi – co osobiście uważam za megażenadę – a to oznacza, że wiesz to i owo. Seeta Ganguly. Czwarta klasa. Dowiedz się czegoś na temat jej życia uczuciowego. Twoje wynagrodzenie... – W tym momencie Murray wsunął jej coś do kieszeni spodni. – ...będzie niezwykle hojne.

Madison wyjęła złożoną kartkę i przyjrzała jej się uważnie.

- To nieważny kupon promocyjny do Pizza Hut.
- Tam, skąd pochodzę, mamy tego mnóstwo. – Murray nachylił się i szepnął jej do ucha:

– Jutro po południu randka przy twojej szafce. Znasz adres. Aha, gdyby ktoś pytał – nawet nas tu nie było.

Muz ruszył tyłem w stronę tłumu i próbował zrobić sztuczkę rozplynięcia się w powietrzu *à la* Jason Bourne, ale oboje widzieliśmy, jak znika w dziewczęcej toalecie.

- On nie jest zabawny – powiedziała Madison. – Możesz mu przekazać, że wcale nie jest zabawny?
- Przykro mi, że musiałś tego doświadczyć.
- Zapytam o Seetę. I powiedz Murrayowi, że zerwałam z Seanem jakieś dwa miesiące temu.
- Nie ma sprawy. Aha... eee... może jeszcze mogłabyś... Grace Town? Murray chciałby wiedzieć, dlaczego odeszła z East River.
- Powiadasz, że Murray chciałby wiedzieć?
- To szalenie ciekawski człowiek.
- Zobaczę, co się da zrobić – odparła, zamykając szafkę.

Mniej więcej dwadzieścia cztery godziny później (Madison Carlson była bardzo rzetelna, jeśli chodzi o plotki) znów staliśmy przy jej szafce.

- Czy rozmawiałaś z Seetą? – zapytał Murray. – Znalazła już sobie kogoś? Kogo mam zabić?
- Podczas rozmowy wspomniała jedynie o szajbniętym australijskim ekschłopaku, ze względu na którego jej tata musiał wzywać policję, ale poza tym nie ma nikogo.
- Milhouse’owi wszystko się udaje!<sup>[\*4]</sup>
- Pójdiesz do więzienia, Murray. Twoja obsesja wcale nie jest romantyczna, tylko niepokojąca.
- Ej, to jej stary zadzwonił na policję, a nie ona. Ona przysłała mi wiadomość, że chce pogadać, ale zaraz potem rodzice skonfiskowali jej komórkę.
- To bez znaczenia.
- A Grace? – zapytałem.
- Daj jej spokój, Henry. Uwierz mi, nie chcesz się w coś takiego mieszać.
- Ejże, Mads – powiedział Murray. – Nie idź we frazesy. Zdajesz sobie chyba sprawę, że twoja niechęć do ujawniania informacji jedynie rozbudzi naszą ciekawość? Popchnij na ten wątek nieco do przodu i zdradź nam, co tam się kroi.
- Wiem tylko, że jej rodzina jest nieźle popieprzona, a kilka miesięcy temu zdarzył się podobno jakiś wypadek. To wszystko, tak?
- Za fatygę – powiedział Murray, wręczając Madison kolejny kupon do Pizza Hut.
- Ooo, ten jest jeszcze ważny.
- Żebyś nie mówiła, że nic miłego nie czeka cię z mojej strony.

Madison westchnęła, podniosła wzrok znad kuponu na mnie, po czym zaraz go opuściła.

- Absolutnie nie idź na bieżnię w East River we wtorek około dziewiątej wieczorem. Nic kompletnie tam nie zobaczysz.
- Bieżnia East River. Wtorek dziewiąta wieczór. Dzięki – powiedziałem. – Słuchaj, skoro już rozmawiamy... Nie miałabyś ochoty pisać dla naszej gazety? Potrzebujemy czegoś w rodzaju działu plotek.
- Wolalabym zająć się krytyką filmową albo czymś w tym stylu.
- Tak? A co byś chciała recenzować?

– Może współczesną klasykę filmową? *Podziemny krąg, Incepcja, Matrix, Pulp Fiction*.  
Coś dobrego.

Zmrużyłem oczy.

– Lola cię napuściła?

– Na co? Nie rozumiem.

– Eee... nieważne. Byłoby bosko. Ale bez pośpiechu, idziemy do druku dopiero  
grudniu. Wielkie dzięki.

– No. Dzięki, stara. – Murray poklepał ją po plecach.

– Nienawidzę was – powiedziała, ale patrzyła na Murraya sekundę za długo i odniosłem  
wrażenie, że wcale go nie nienawidzi – ani trochę, ani na jotę, ani przez chwilę<sup>[\*5]</sup>.

W środę w nocy dostałem pierwszą osobistą wiadomość od Grace – napisaną z własnej  
woli i nie dotyczącą naszej gazety. Wskoczyła mi na ekranie komórki, gdy wracałem koło  
północy autobusem od Murraya.

GRACE TOWN:

Jak tam Simba? Stanął twarzą w twarz ze swoimi demonami i uratował sytuację?

Poprzedniego wieczoru wybrałem się z Sadie i Ryanem obejrzeć musical *Król Lew*.  
Wspomniałem o tym Grace zaledwie raz, i to przelotnie, jakiś tydzień wcześniej. To był bardzo  
zabawny wieczór. Po musicalu zrobiliśmy sobie zdjęcia z postacią Rafikiego, a potem  
poszliśmy do znajdującej się niedaleko teatru lodziarni, w której robią lody z ciekłego azotu.

– Zobacz, Henli. Zobacz! – powiedział Ryan, kiedy sprzedawczyni podała mu  
tekturową miseczkę z lodami miętowymi – większą od jego głowy. – Życie jest wspaniałe –  
dodał bardzo poważnie, przyglądając się swojemu deserowi. Zwijąłem się z Sadie ze śmiechu.

HENRY PAGE:

Było nieźle! Ale dodali różne piosenki i inne rzeczy, więc co chwilę myślałem: no dobra,  
następny kawalek. A potem Skaza próbował bzykać się z Nałą i to zniszczyło mi  
wspomnienia z dzieciństwa.

O matko. Chyba obeszłabym się bez tej informacji.

No właśnie. A do tego drobne zmiany. Np. Timon i Pumba w damskich ciuszkach tańczący  
charlestona zamiast tańca hula. Po co to wszystko? I jeszcze Zazu nie śpiewa o tym, że  
zbierze cały kram kokosów.

Skandal. Powiedz, proszę, że Rafiki pozostał jednak niezłym gościem.

O tak. Był cool.

Poważnie tak napisałeś?

Mam Ci przypomnieć #YOLO?

Wygrałeś tę rundę, Page.

Lola przed chwilą do mnie napisała z informacją, że jest bardzo zadowolona z nas jako  
modeli. Musimy koniecznie zamieścić to w CV.

Oczywiście.

Wydaje mi się, że nawet zrobiła w jednym zdjęciu taki myk: wyciąć Henry'ego, wkleić Grace trzy razy.

Lola ma niesamowicie dobry gust.

Czasami się zastanawiam, czy są w życiu rzeczy ważniejsze niż świetny wygląd<sup>[\*6]</sup>.

Następnym razem musisz wypróbować swoje stalowe spojrzenie<sup>[\*7]</sup>.

No właśnie.

(spogląda na paginację)

Co to ma być? Gazeta dla mrówek?

HA.

Ludzie w autobusie dziwnie na mnie patrzą. Pewnie myślą, że jestem szaleńcem, bo głośno się śmieję.

Ale wcale mi to nie przeszkadza.

PS Dyrektorka weszła dzisiaj do redakcji. Ta kobieta budzi grozę. Musiałem udawać, że już wybraliśmy motyw przewodni. Powiedziałem jej, że trzymamy go na razie w tajemnicy, bo taki jest zajebisty. Musimy szybko coś ustalić.

Jak długo siedziałeś w redakcji? Sorry, że nie było mnie dzisiaj w szkole.

Wracam właśnie do domu. Czas terazniejszy. Ale większość popołudnia spędziłem u Murraya, poprawiając tekst Galaxy'ego o rozczarowującej konsystencji kurczaka podawanego w szkolnej stołówce. Prawdziwie pasjonujący artykuł.

Blee.

Nagle czuję głębokie współczucie dla Mirandy Priestly. (Być może oglądałem Diabeł ubiera się u Prady w zeszły weekend).

Jak to możliwe, że kiedyś jedna osoba wydawała całą gazetę?

Amfetamina?

To wiele wyjaśnia.

Powinniśmy zorganizować sobie speedball na dzień, w którym pójdzie do druku.



Z tego, co słyszałam o Kyle'u, nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że został po nim zapas w redakcji.

Jestem pewien, że na tych wizytówkach, które dał nam Hink, został jeszcze jakiś osad.  
Może powinniśmy je lizać?

Spójrz na to subtelne, przyżółkłe tło. Tę gustowną toporność. O matko, widzę nawet znak wodny!

Klasa biznesowa. Jedyne sposoby na latanie.

Może zamiast pakować się w twarde narkotyki, moglibyśmy zostać wymęczonymi alkoholikami? To bardziej odpowiednie dla pisarzy. Uważam, że musimy zacząć pić w redakcji.  
Sprawmy sobie minilodówkę i napełnijmy ją piwem.

Możemy ją wepchnąć Loli pod biurko. Jest drobna. Może nawet nie zauważy.

„Przykro mi, nie możesz tu siedzieć. To miejsce dla piwa”.

W tym roku nie mamy graficzki. Wymieniliśmy ją na piwo.

#Piwo zamiast ludzi.

To brzmi jak slogan wyborczy.

Hillary Clinton 2016: piwo zamiast ludzi.

Tylko ona mogłaby wymyślić coś takiego.

Prosto i konkretnie.

Głosowałbym na to.

Ja też. Miłych snów. Jutro wracamy razem?

Jasne. Do jutra, mała.

A potem, w czwartek, niczym spływający z niebios cud, pojawiła się informacja o Tej Imprezie (I tak samo jak to było w przypadku I wojny światowej, dopiero w późniejszym czasie zyskała miano Tej Imprezy. Wcześniej Ta Impreza [oraz I wojna światowa] była znana jako „ impreza u Heslina” [oraz „wielka wojna”]). W każdym razie impreza u Heslina *vel* Ta Impreza narodziła się jako plotka, która ewoluowała do głównego tematu rozmów w stołówce, a następnie przerodziła się w pełnoprawne wydarzenie, kiedy niecałe dwadzieścia cztery godziny po pojawieniu się pierwszych pogłosek James Heslin ogłosił ją oficjalnie na Facebooku. Zaprosił wszystkich uczniów klas czwartych, a także połowę trzecioklasistów (naturalnie tę seksowną, żeńską). Muszę przyznać, że my z czwartych klas, mimo okazyjnych indywidualnych utarczek, raczej dobrze się ze sobą dogadywaliśmy. Może byliśmy pod tym względem nienormalni, a może

to filmy przedstawiające życie w szkole średniej nas okłamywały, w każdym razie „sportowcy” trzymali się czasem z „kujonami”, a większość osób była miła dla większości osób przez większość czasu.

Tak czy inaczej, do końca dnia wszyscy rozmawiali już tylko o Tej Imprezie, która miała się odbyć w piątkowy wieczór. Oczywiście Lola i Murray się na nią wybierali. Dziewczyna Loli, Georgia, postanowiła przyjechać ze swojego miasta, żeby z nią iść. W normalnych okolicznościach nie byłam imprezowym zwierzem, no ale ta impreza? Ta Impreza?

Z całego serca pragnąłem, żeby Grace Town na nią poszła, chciałem siedzieć z nią przez całą noc, czując w piersi wibrowanie muzyki – z dala od cichego akwarium, jakim była nasza redakcja, i z dala od cichego chłopięcego wnętrza jej samochodu.

Otworzyłem Notatki na komórce i pod „wersją roboczą numer dwa” zapisałem: Wersja robocza numer trzy:

Ponieważ nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że w człowieku można się zakochać tak samo jak w piosence. Że melodia może początkowo nic dla ciebie nie znaczyć, brzmieć zupełnie obco, ale zaraz potem przerodzić się w symfonię wyżłobioną w twojej skórze. Być hymnem pajęczynie twoich żył. Harmonią wyszytą na podszewce twojej duszy.

## ROZDZIAŁ II

– Idę na Tę Imprezę – oznajmiłem w piątek rano przez lekcjami (Patrząc retrospektywnie, muszę przyznać, że zapewne użyłem wtedy określenia „impreza Heslina”, ale to nieistotna dygresja). Grace podniosła wzrok znad ekranu komputera, na którym przeglądała właśnie Tumblr – jak zwykle.

– Jesteś zdecydowany? – zapytała.

– Jestem zdecydowany – potwierdziłem. Odłożyłem plecak, włączyłem kompa i przyglądałem się Grace, która odwróciła się do monitora. To był moment objawienia. Teraz miało się okazać, czy jej się podobam, czy nie. Albo czuła do mnie to samo, co ja do niej, albo nie. Minęła jedna minuta, po niej druga, i kiedy już myślałem, że będę musiał iść sam na jakąś głównianą imprezę – bo teraz, kiedy ogłosiłem, że idę, nie mogłem po prostu zrezygnować – Grace odparła, nie patrząc na mnie:

– Ja chyba też pójdę.

Wtedy już wiedziałem. Podobałem się jej. Podobałem się pięknej, tajemniczej, poharatanej przez los i absolutnie, stuprocentowo dziwnej Grace Town. Niejasna mowa ciała i brak flirtu nic nie znaczyły, ponieważ Grace wybierała się na imprezę, a imprezy oznaczały alkohol oraz słabo oświetlone pomieszczenia, a ja łudziłem się, że po drinku język jej się rozwiąże i będziemy mogli pogadać o cmentarzu, wypadku i w ogóle wszystkim. Nie patrzyła na mnie, więc przyglądałem jej się bezkarnie.

– Super – powiedziałem najbardziej niedbałym tonem, jaki byłem w stanie z siebie wydobyć.

– Będziesz pił?

Nie miałem zbyt dużego doświadczenia w tej kwestii. Tak naprawdę tylko raz się upiłem, w wieku szesnastu lat. Murray zmusił mnie do wspólnego spożycia tequili, żeby zweryfikować prawdziwość teorii głoszącej „jedna tequila, dwie tequile, trzy tequile, podłoga”. W czasie tamtego wieczoru przekonałem się, że to wyjątkowo nieprecyzyjny algorytm. W rzeczywistości wyglądało mniej więcej tak: jedna tequila, dwie tequile, trzy tequile, zwymiotuj sam na siebie, płacz, kiedy ojciec wstawia cię pod prysznic, jeszcze trochę zwymiotuj, rozplącz się po raz kolejny, poproś mamę, żeby przygotowała ci „łososiowe jajka”, cokolwiek to znaczy, daj się

położyć mamie do łóżka, uznaj, że należy uciec spod totalitarnego reżimu rodziców, podczas ucieczki zwymiotuj w ogrodzie, daj się położyć z powrotem do łóżka tacie i dopiero wtedy podłoga.

Jak widać nic tak eleganckiego i schludnego, jak głosiła teoria trzech tequili.

– Może wypiję jednego czy dwa drinki – odparłem, ponieważ przeczuwałem, że Grace będzie miała ochotę na alkohol, a ja chciałem jej w tym towarzyszyć, przyglądać się, jak sący napój, obserwować, jak się zmienia pod jego wpływem. Chciałem się przekonać, jaka jest, gdy się upije. Zła? Zapewne tak. Kokietująca? Zapewne nie. Smutna? Z całą pewnością.

– Załatwię alkohol – powiedziała, ja znów odparłem „Super”, a wtedy zadzwonił dzwonek, Grace się spakowała i wyszła bez słowa.

Jedno było pewne: zaledwie pięć krótkich tygodni po tym, jak się poznaliśmy, nie byłem w stanie myśleć o niczym innym, tylko o Grace Town.

\*

Zanim dokulaliśmy się do piątkowego popołudnia, jesień pojawiła się już w pełnym rozkwicie. Słońce świeciło jak przez mgłę, odbijało się w złotych i pomarańczowych liściach opadających z drzew za każdym razem, gdy zawiął wiatr. Wszystko mieliśmy przygotowane na imprezę: alkohol, adres (rodzice Heslina wyjechali na weekend z miasta – jakże banalne, ale co tam).

Zostało tylko poinformowanie moich rodziców o planach na wieczór. Poszło to mniej więcej tak:

JA: Tato, zamierzam dzisiaj oddać się nielegalnemu spożyciu alkoholu przez nieletnią osobę.

TATA: Wielkie nieba, Henry. Czas najwyższy. Mam cię gdzieś zawieźć?

Ktoś uznał, że to będzie świetny pomysł, a przy okazji idealny obrzęd przejścia, jeśli zaczniemy pić na boisku sportowym i dopiero potem przeniesiemy się do Heslina. Kiedy zjawiłem się pod szkołą w okolicy zachodu słońca, nieco chwiejni uczestnicy tegoż obrządku zdążyli już opróżnić pół wanny ponczu. Mówiąc „wanna”, mam na myśli autentyczne wyposażenie łazienki, które ktoś kupił bądź skądś ukradł, a następnie napełnił miksturą składającą się z taniej wódki, jeszcze tańszego wina oraz „napojów owocowych” (licealistów nie stać na prawdziwe soki).

Grace też już tam była, siedziała po turecku pod drzewem rosnącym na skraju boiska, laskę położyła sobie na kolanach. Przed nią stały dwie plastikowe butelki, jedna pusta, druga wypełniona do połowy dziwnie żółtawą cieczą.

– Henrik – powiedziała na mój widok. Nie potrafię sobie przypomnieć, w którym momencie obdarzyliśmy siebie nawzajem niemiecko-rosyjskimi przydomkami, ale tak właśnie zrobiliśmy i obojgu nam się to bardzo podobało.

– Dobry wieczór, Grakov – przywitałem się.

– Pozyskałam dla ciebie narzędzie upojenia. – Podała mi pustą butelkę i wskazała skinieniem głowy na wannę z ponczem, który Murray nabierał właśnie gołymi rękoma, demonstrując w ten sposób bezpieczne techniki picia wody z pełnych krokodyli australijskich jeziorek zwanych *billabong*. W czasie spotkań towarzyskich mój przyjaciel starał się wkładać jak najwięcej elementów garderoby należącej do kategorii „odzież na safari”, żeby przywołać wspomnienie Steve’a Irwina oraz poprzeć hipotezę, że jest prawdziwym mieszkańcem buszu. Tego dnia związał sobie włosy w niechlujny kok, a na szyję założył wielki kiel na rzemyku. Niektóre dziewczyny były naprawdę pod wrażeniem.

– Czyli mówiąc „załatwię alkohol”, w rzeczywistości chciałaś powiedzieć „przeszukam kosz na śmieci i znajdę zużytą butelkę”? Czuję się zawiedziony.

– Dwie zużyte butelki, przyjacielu. Cały dzień zabrało mi ich znalezienie. A poza tym mam coś takiego – dodała, wyciągając ze stanika srebrną piersiówkę (szczęśliwa piersiówka). – Idź i przynieś napój wysokowy.

Poncz wyglądał już lekko nieświeżo. Parę owadów spotkał tragiczny, acz poetycki koniec jego odmętach, że nie wspomnę o kawałku drewna, które Muz wrzucił w chorobliwie żółty płyn, co miało udawać jego gadziego przeciwnika. Zupełnie się tym jednak nie przejąłem. Zanurzyłem butelkę i czekałem, aż znikną bąbelki. A potem wziąłem dwa potężne hausty – wypijając niemal połowę zawartości – i znowu zanurzyłem naczynie w wannie. Co prawda nie miałem ochoty na powtórkę z rozrywki, „łososiowe jaja” i te sprawy, ale zamierzałem się nieco rozluźnić.

Lola przybiegła w podskokach w momencie, w którym zakręcałem nakrętkę na butelce bimbru – a wraz z nią jej dziewczyna Georgia.

– Dotknij mnie, Henry Page’u – powiedziała Georgia, po czym chwyciła moją wolną rękę i przyłożyła sobie do policzka. To było jej typowe powitanie i w zasadzie to wszystko, co należy wiedzieć o Georgii McCracken, nie licząc faktu, że a) była rudzielcem kieszonkowych rozmiarów i miała niesamowicie piegowatą bladą twarz, a przy tym b) mówiła z cieniem akcentu irlandzkiego, chociaż nigdy nie mieszkała w Irlandii.

– Hej, G – odparłem i przytuliłem ją lekko, była bowiem tak drobna, że bałem się złamać jej kręgosłup. – Jak traktuje cię małomiasteczkowe życie?

– Oglądaj *Swamp People*<sup>[15]</sup>. To dokument na temat mojej egzystencji.

– Fuj.

– O matko. Zapowiada się interesująca noc – odezwała się Lola, upijając wielki łyk ponczu i skinęła głową w stronę czegoś za moimi plecami. Odwróciłem się i zobaczyłem Murraya, który rozmawiał z hinduską dziewczyną o wyjątkowo znudzonej minie, a co więcej, trzymał ją za ręce. Sugar Gandhi. – Ten chłopak nie wie, kiedy przestać.

– Cholera – odparłem. – Niech ktoś nastawi budzik na załamanie nerwowe o pierwszej w nocy. La, teraz chyba wypada twoja kolej na udzielenie wsparcia? Ja robiłem to ostatnio.

– O kurwa – powiedziała, co znaczyło, że dobrze o tym wie. Upiła kolejny wielki łyk ze swojej butelki, splótła palce z palcami Georgii i dodała: – Czas na interwencję, zanim znów zaczniesz śpiewać jej bollywoodzkie piosenki.

– Dlaczego? Nie ma nic bardziej romantycznego niż odrobina przypadkowego rasizmu – powiedziała Georgia, ale Lola pociągnęła ją za sobą w stronę Sugar Gandhi. Która, tak na marginesie, patrzyła na mnie wściekle, jakbym to ja był odpowiedzialny za zachowanie Murraya. Wzruszyłem ramionami, przybrałem przepaszającą minę i wróciłem do Grace. Zanim usiadłem obok niej, w mojej butelce brakowało już jednej czwartej zawartości ponczu, a dziwne, ale znajome ciepło upojenia zaczynało się rozlewać od mojej klatki piersiowej ku udom.

– To będzie dobra noc – stwierdziłem. Oparłem się o drzewo, stykając się z nią ramieniem. Słowa musowały na czubku mojego języka, usta wydawały się o rozmiar za małe jak na moją twarz.

Gdy dotarliśmy do Heslina, byłem już całkiem pijany, nie pamiętam więc, jak się tam dostaliśmy i kto niósł wannę (z Murrayem w środku). Nie pamiętam też dokładnie, jak to się stało, że znalazłem się obok Grace na werandzie w ogrodzie Heslina. Przypominam sobie natomiast zabawę w gorące krzesła. Wiem, że ktoś poszedł do łazienki, ktoś też wstał, żeby przynieść drinka, ktoś zajął komuś miejsce, aż w końcu nikt nie siedział tam, gdzie wcześniej, a Grace Town znalazła się tuż obok mnie. Blisko. Tak blisko, że dotykaliśmy się nogami. Wypiła już co najmniej półtorej butelki ponczu, była bardziej rozluźniona i serdeczna niż kiedykolwiek. Śmiała się z dowcipów. Uśmiechała się do mnie. Włączała się do rozmów. Nawet kiedy nikt nic

nie mówił, a ona nie zdawała sobie sprawy, że ktokolwiek na nią patrzy, w jej oczach można było dostrzec isierki. Siedziała wyprostowana. Mowa ciała, której jej zupełnie brakowało na trzeźwo, występowała teraz na kilogramy. Chociaż była raczej niezadbana i nieuczesa, wyglądała naprawdę ślicznie.

Ludzie zauważali ją bardziej niż zwykle. Dostrzegali jej urodę. Odczuwali obecność. I chociaż brzmi to naprawdę beznadziejnie, po alkoholu wreszcie wydawała się żywa.

Kiedy urządzaliśmy burzę mózgów w redakcji, zawsze siedzieliśmy razem. Przypadkowy kontakt fizyczny był nieunikniony, ale na trzeźwo Grace od razu się odsuwała. Siadała za blisko, jakby pragnęła mojego dotyku, a kiedy do niego dochodziło, nagle zmieniała zdanie. Tamtego wieczoru było jednak inaczej.

Przypadkowe dotknięcia zdarzały się coraz częściej, aż w końcu zacząłem opowiadać jakąś historię, a ona roześmiała się i powiedziała:

– Przestań, przynosisz wstyd samemu sobie!

Zakryła mi usta dłonią, próbując mnie uciszyć, a wtedy udałem, że z nią walczę. Trzymałem ją w pasie, ona położyła rękę na moim kolanie, nasze ciała stykały się bardziej, niż było to konieczne.

– Henry! Nasza piosenka! – zawołała, gdy rozległy się dźwięki coveru *Someday*. Byłem zaskoczony, że pamięta, jak ją lubię. I jeszcze bardziej zdumiony, że nazwała ją „naszą piosenką”. Nie moja. N a s z a. Splotła swoje palce z moimi, pociągnęła mnie i poprowadziła na zatłoczony prowizoryczny parkiet (czyli drewnianą podłogę w salonie Heslina), a potem zaczęła poruszać się w absolutnie nietypowy dla siebie sposób. Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Pod złotym światłem rzucanym przez wiszący nad nami żyrandol nastąpiło przesunięcie czasoprzestrzeni, otworzył się portal, a ja ujrzałem nagle dziewczynę, jaką była kiedyś, zanim ją poznałem. Dziewczynę z profilu na fejsie.

Podczas tańca zdjęła za dużą koszulę flanelową i przewiązała sobie w pasie, zostając jedynie w dzinsach i białym topie. Pozbawiona tych wszystkich warstw, ukazała się wreszcie prawdziwa ona: szczupła, koścista, cudowna. Było coś ostrego w zarysie jej ramion, obojczyków i szczęki, jakby nie dojadła. A zapadnięte policzki, podkrążone oczy i samodzielnie obcięte włosy nadawały jej wieczny wygląd ćpunka.

Ale jej ruchy! O Jezu, jak ona się ruszała! To, jak zamykała oczy, przygryzała wargę, jakby czuła pulsującą w żyłach muzykę.

– Henrik, nie tańczysz – upomniała mnie. Znów chwyciła moją rękę i potrząsnęła, jakby ten sposób chciała napędzić mnie rytmem. Nie potrafiłem tańczyć, ale byłem z nią, pijany, a ona wydawała się tak niesamowicie śliczna i tak bardzo pragnąłem ją pocałować po raz pierwszy podczas „naszej piosenki”. Więc przyciągnąłem ją do siebie, a kiedy wznoszący się rytm nagle opadł i znajdujący się dookoła ludzie aż krzyknęli z radości, zacząłem z nią tańczyć. Cały czas mnie dotykała, znajdowała powody, by muskać palcami moją skórę. Wystarczyło tylko znaleźć w sobie odwagę, pochylić się i dotknąć wargami jej ust. Potrzebna była chwila niesamowitej odwagi.

– Henry! Grace! – zawołał znajomy głos i zaraz potem Lola uściśnęła nas oboje i zatańczyła między nami z Georgią u boku. Byłem gotów ją zamordować. Piosenka się skończyła, rozbrzmiała następna, tańczyliśmy wszyscy razem, podskakując w jej rytm, rozpaczając nad straconą okazją.

Trzy utwory później Grace chwyciła mnie za rękę.

– Muszę się napić – powiedziała.

– Pójdziemy z tobą – odparła Lola.

Rzuciłem jej wymowne spojrzenie, mówiące „przy najbliższej sposobności uduszę cię

na śmierć”, ale nie zwróciła na nie uwagi, więc zacisnąłem zęby i wyszedłem za dziewczynami do ogrodu. To, co zostało z ponczu, miało teraz podejrzanie brązowy kolor i pływał w nim but Murraya. (Widziałem go tylko raz, odkąd zjawiliśmy się u Hesnina, nie wiedzieć czemu, miał na sobie kostium pirata i pił z niezwykle wysokiego kieliszka za pomocą słomki. Niech Bóg ma go w swojej opiece).

Grace nadal miała wódkę w torebce, więc rozdzieliliśmy ją na cztery osoby, dolaliśmy to, co było pod ręką (napój Barq’s Red Creme Soda), i usiedliśmy w ciemnym ogrodzie.

– Właściwie to muszę iść do łazienki – powiedziała Grace, podając mi swój kubek.

– Ja też – odezwała się Georgia.

Ledwo tylko znalazły się poza zasięgiem słuchu, odwróciłem się do Loli.

– Nie chcę być nieuprzejmy, ale na wszystkie świętości tego świata zaklinam cię: musicie natychmiast się stąd zmyć. Coś się szykuje.

– Zauważyłam trzymanie się za rączki.

– To po cholere przyłazłaś?

– Bo ona jest pijana i ty też, wobec czego sądzę, że to bardzo zły pomysł.

– Lola.

– Dowiedziałeś się, dlaczego codziennie chodzi na cmentarz? Bo ja, im częściej o tym myślę, tym bardziej skłaniam się ku opinii, że to totalnie popieprzone.

– Lola.

– Zakochujesz się w niej, Henry? W Grace, którą znamy? Czy może w dziewczynie ze zdjęć na fejsie? Pamiętaj, że ona już nią nie jest, nawet jeśli bardzo byś tego chciał.

– Lola.

– Świetnie! Ale kiedy wyrwie ci serce gołymi rękoma, nie licz na to, że udostępnię ci ramię, żebyś mógł się wypłakać.

– Owszem, udostępnisz. Po to właśnie są przyjaciele. – To powiedziawszy, skinąłem głową w stronę Murraya i Sugar Gandhi, którzy nadal zawzięcie się kłócili w głębi ogrodu. Murray w dalszym ciągu miał na sobie strój pirata.

– Mój Boże. – Lola pokręciła głową. – Faceci.

Kiedy wróciły obiekty naszego romantycznego zainteresowania, La się podniosła pocałowała Georgię w policzek.

– Chodź, skarbie. Musimy przypudrować noski.

końcu zostaliśmy sami. Tylko my. My i wszechświat. Grace pociągnęła mnie za rękę przez chwilę szliśmy przez tłum, czekając, aż alkohol znów zacznie krążyć nam w żyłach, aż wróci cudowne otumanienie, w którym tkwiłmy jeszcze pół godziny temu.

Nie pamiętam, kto kogo prowadził, czy może oboje wpadliśmy na ten sam pomysł, w każdym razie nagle znaleźliśmy się w ciemnym korytarzu biegnącym wzdłuż domu. Oparłem się o ścianę, żeby odzyskać równowagę, i zanim dotarło do mnie, co tak naprawdę się dzieje, Grace dopadła do mnie, jej usta przywarły do moich warg, palce wplotła w moje włosy. Moją pierwszą myślą było: „Cholera. Nawet nie wiem, jaka leci piosenka”, ale zaraz przestało mieć to jakiegokolwiek znaczenie, ponieważ Grace Town całowała mnie i było dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem. Tygodnie upływające pod znakiem „Czy aby na pewno jej się podobam?” nagle się rozplynęły, bo to musiała być prawda, po prostu musiała.

Drink chlupotał mi w rękę, ale nie chciałem przerywać pocałunku, więc objąłem ją wolną ręką w talii, żeby nie rozlać go jej na plecy. Poruszaliśmy się jak idealnie dopasowane do siebie kształty. Pragnąłem ją podnieść, chciałem, żeby objęła mnie nogami w pasie, ale byłem świadomy tego, że wokół są ludzie, a raczej nie zaliczałem się do tych, którzy bez oporów macają się w miejscu publicznym.

Pocałunek trwał dwie piosenki, żadnej z nich nie znałem, a potem Grace oderwała się ode mnie, przygryzła dolną wargę i spojrzała na mnie tak, jakby chciała mi coś powiedzieć. Położyła mi ręce na piersi i w końcu się odezwała:

- Powinnam wracać do domu.
- Jeśli chcesz, mogę cię odprowadzić.
- Okej.

Zabrałem nasze plecaki i kurtki z pokoju młodszej siostry Heslina (na drzwiach widniała kartka z napisem: „Żadnego seksu w moim pokoju, cholerni barbarzyńcy”). Grace zadzwoniła do domu poinformować rodziców, że wracamy pieszo, jakby chciała dać wszystkim wyraźnie do zrozumienia, że kiedy znajdziemy się na miejscu, nie wejść do środka. Co mi nawet odpowiadało, ponieważ nigdy wcześniej nie uprawiałem seksu, a uznałem, że po pijaku nie będę zbyt przekonujący, prawiczek czy nie prawiczek. Odprowadziłem ją więc zimą nocą, nie dotykając jej, nie trzymając za rękę, tylko wymyślaliśmy bzdurne tematy do naszej gazety („duch szkoły”, „dotychczasowa opowieść”, „zostaw ślad”), jakbyśmy wcześniej się w ogóle nie całowali.

Gdy dotarliśmy do jej domu, pomachała mi na pożegnanie, powiedziała, że zobaczymy się w poniedziałek, i to było tyle.

Ponieważ krew krążąca mi w żyłach napęczała mnie odwagą, napisałem do niej SMS-a, idąc w stronę domu Murraya, który znajdował się bliżej i łatwiej się było do niego włamać.

HENRY PAGE:

Okej, Dusty Knupps. Pewnie to już jest oczywiste, ale chciałem Ci powiedzieć, że jesteś cudowna.

GRACE TOWN:

Miło to słyszeć. Nie goniłabym za Tobą, gdybym nie myślała tego samego o Tobie.

To miłe, Knupps, bardzo miłe. Będziemy w weekend w kontakcie w kwestii tego i owego.

Ha, ha. Miło będzie Cię usłyszeć w kwestii tego i owego.

Wspaniale. Dopilnuję, żebyś miała najświeższe wiadomości. Żegnaj, pani Knupps. To była wielka przyjemność.

W rzeczy samej, panie Knupps.

W rzeczy samej.

– Muz – szepnąłem, gdy stanąłem pod oknem mojego przyjaciela i zacząłem stukać w szybę. Ponieważ nikt mi nie odpowiedział, uniosłem szybę, podciągnąłem się i wszedłem do środka. Uwalilem się ubrany na łóżko Murraya, rozmyślając o Grace Town i o tym, że jeśli ludzie rzeczywiście są zlepkiem fragmentów wszechświata, jej duszę tworzą gwiazdny pył oraz chaos.

## ROZDZIAŁ 12

Nasi rodzice już dawno się przyzwyczaili do tego, że gdy wchodzą rano do naszych pokoi, nie znajdują w nich własnych dzieci, tylko cudze. Tata Murraya, Baz (skrót od Sebastiana,

nie od Barry'ego – co tłumaczył wszystkim, przedstawiając się), obudził mnie zapachem kawy i bekonu. Oprzytomniałem z wrażeniem, że mózg mi się zerwał z uwięzi. Gdy ja się ruszałem, on też się ruszał, objął mi się o wnętrze czaszki niczym wściekła meduza. I tak samo parzył. Zniosłem swoją obolałą głowę do jadalni, gdzie przy stole siedziały już mama Murraya oraz jego trzy młodsze siostry.

– Dzień dobry, Henry – zaśpiewały chórem i zaczęły chichotać. Wszystkie były kopią Murraya, te same blond loki i niebieskie oczy (tyle że nie miały nastoletniego wąsika, rzecz jasna).

– Ciii, diabelski pomioście – odparłem, siadając na krześle, po czym oparłem delikatnie głowę o drewniany blat stołu. To je jeszcze bardziej rozbawiło. – Dlaczego słońce tak jasno świeci? – zapytałem, bo wydawało się dochodzić z każdego miejsca, przesywało moje nasączone wódką i ponczem żyły, paliło jak żywy ogień. – Może Drakula nie był wcale wampirem, tylko nałogowym alkoholikiem z wiecznym kacem.

– Bardzo ciekawa teoria, chętnie bym o niej poczytał – oświadczył tata Muza.

– Nie wiesz przypadkiem, gdzie może być nasz syn? – zapytała Sonya, jego mama. Nie odrywając głowy od stołu, zerknąłem na telefon. Dostałem trzy wiadomości:

LOLA LEUNG:

Cholera, jak w zegarku.

Do wiadomości dołączyła zdjęcie bardzo pijanego Murraya, który leżał półprzytomny i zapłakany na podłodze w kuchni Loli i tulił do siebie coś, co wyglądało jak pluszowy kangur.

LOLA LEUNG:

(Kangura dołożyłam dla lepszego efektu, ale nie zamierzam tego mówić, gdy pokażę mu zdjęcie).

O 4.03 nad ranem napisał do mnie sam Murray:

MUZ FINCH:

Zwiąłem przed despotyzmem Loli. Twój tata wpuścił mnie do domu. Za chwilę odbędę po pijaku seks na zgodę – w Twoim łóżku. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Zamknąłem oczy i jęknąłem.

– Pieprzony australijski gnojek!

– Henry. – Pan Finch wskazał głową na swoje córki. – Słownictwo.

– Przepraszam. Murray jest u mnie.

– Zabawa w gorące łóżka?

– Jak zwykle. Pierwotnie zasnął u Loli. Być może na podłodze w kuchni. Być może kangurem. Wasz syn to szubrawiec.

– I dlatego właśnie pozwalamy mu się z wami spotykać. Ponieważ w rozmowie stosujecie takie słowa jak „szubrawiec” – powiedziała mama mojego przyjaciela. Zmierziła mi włosy i naląła soku pomarańczowego.

Zjedliśmy razem śniadanie w zbyt jaskrawym słońcu, a potem dziewczynki zaciągnęły mnie do siebie, żeby obejrzeć film *Ostatni Władca Wiatru*, czekając aż moi rodzice przywiozą Murraya. Pozwoliłem jego siostrą pomalować mi paznokcie srebrnym brokatem, pod warunkiem że będą mi ukradkiem przynosić smakołyki z kuchni. Próbowaly zrobić mi warkoczyki, ale żadna nie była zbyt dobra w plecionkach, więc dały za wygraną.

W końcu przyjechali moi rodzice, żeby wymienić się dziećmi. Murray wszedł bosy, w stroju pirata. Niósł pustą blachę do pieczenia, na szyi miał kartkę z napisem: „Darmowe



przytulanki i ciastka”.

Nie pytałem. Nie musiałem.

Moi rodzice postanowili zostać na kawę, więc przez następną godzinę leżałem w łóżku Muza, co chwilę odpływając w sen, a tymczasem on sprzątał i opowiadał mi, jak się kochał z Sugar Gandhi w moim łóżku (dwa razy!). Nie byłem z tego powodu zbyt zadowolony, ale mi uświadomił, że miałem nieświeżą pościel, która dawno powinna wylądować w praniu, co było prawdą. Powiedziałem mu o Grace, o pocałunku, o SMS-ie, który mi później przysłała. „Nie goniłabym za Tobą, gdybym nie myślała tego samego o Tobie”. O tym, że gdy byłem przekonany o jej obojętności wobec mnie, ona w rzeczywistości leciała na mnie na swój dziwny, niewidoczny sposób. Zwykle nie rozmawialiśmy na takie tematy, bo zwykle takie tematy mnie nie dotyczyły, ale muszę przyznać, że mi się to podobało. Miło było się pozwierać – dla odmiany.

– Popatrz na nas – dwóch zakochanych głupców – powiedział Muz, opadając na łóżko obok mnie. Objął mnie nogą i, jak miał w zwyczaju, wsadził nos w moją szyję niczym kudłaty pies.

Nie byłem pewien tego zakochania, ale z całą pewnością nie mylił się co do głupców.

## ROZDZIAŁ 13

I nie było już niczego.

Nie mam pojęcia, czego się właściwie spodziewałem. Zdawałem sobie sprawę, że jeden pocałunek po pijaku nie oznacza jeszcze, iż Grace odda mi swoje ciało i duszę, ale sądziłem, że będziemy bardziej otwarci w kwestii naszych uczuć. Że skoro już wiedziałem, iż jej się podobam, łatwiej będzie wydobyć ją ze skorupy, jeśli zacznie się w niej chować; łatwiej będzie z nią przebywać wtedy, gdy zacznie udawać, że jest jedyną osobą na świecie, łatwiej przyjdą nam przypadkowe muśnięcia skóry, po których nie zeszywnieje tak, jakby prąd przeszył jej rdzeń kręgowy. Sądziłem, że po takich pocałunkach wszystko jakoś się ułoży. Oczywiście, myliłem się.

Tydzień po imprezie wyglądał mniej więcej tak:

### SOBOTA

Kiedy wróciłem wczesnym popołudniem od Muza, wysłałem Grace wiadomość (ale najpierw ściągnąłem pościel z łóżka i wepchnąłem do pralki – w rękawiczkach i masce chirurgicznej).

### HENRY PAGE:

Obudziłem się, czując się jak martwy chomik. Słyszałem, że Heslin dostał szlaban. Biedaczek. Co tam u Grakov? Masz ochotę spotkać się w weekend?

### GRACE TOWN:

Ja się czuję całkiem dobrze. Dam Ci znać w kwestii weekendu. Miłego dnia.

### NIEDZIELA

Mimo obietnicy Grace Town nie odezwała się w sprawie weekendu. Wiem, ponieważ większość z tych czterdziestu ośmiu godzin spędziłem, czekając na wiadomość. Nic mi nie przysłała, więc w niedzielę o dwudziestej poszedłem spać. Zasnąłem dopiero wtedy, gdy niebo zaczęło różowieć na wschodzie, co było widać przez piwniczne okna.

### PONIEDZIAŁEK

Grace Town weszła rano do redakcji, skinęła mi głową, zgarnęła stos papierów z biurka i wyszła. W tamtym momencie miałem już prawie pewność, że Ten Pocałunek (bo taką nazwę miał przyjąć) był jedynie halucynacją wywołaną lekkim zatruciem metanolem z ponczu. Przez cały dzień myślałem tylko o tym, że kiedy wreszcie skończą się lekcje, będę mógł wrócić do domu, przejrzeć wykaz szkół, które przyjmują uczniów w środku roku szkolnego.

Niestety, musiałem zostać po lekcjach, żeby dokończyć (czytaj: rozpocząć) pisanie pierwszej pracy dla Hinka, nadrobić zaległości z matmy, po raz pierwszy otworzyć podręcznik do hiszpańskiego i zacząć myśleć o wyborze studiów. To dlatego siedziałem w bibliotece, kiedy przyszła wiadomość od Grace, a moje serce aż fiknęło koziołka. Jak się okazało, było znacznie gorzej, niż się spodziewałem.

### GRACE TOWN:

Masz ochotę grać w czwartki wieczorem w futbol dotykowy? Hink zbiera uczniów i nauczycieli, żeby grać rekreacyjnie „dla zdrowia” i chce wiedzieć, czy się piszesz. Chyba wszyscy (czyli wszyscy nauczyciele) się zgłosili. Ja nie będę grała, ale przyjdę wam pokibicować.

Spodziewałem się czegoś w rodzaju „Piątkowy wieczór był pomyłką” albo „Nie chcę, żeby było niezręcznie”, ale coś takiego? To zakrawało na torturę. Owszem, gra z nauczycielami

rekreacyjny futbol dotykowy miała swoje plusy:

Grace Town, ma się rozumieć. Obowiązkowe mecze oznaczały więcej czasu spędzonego obowiązkowo razem, poza lekcjami, redakcją i samochodem Grace.

2. Szansa udowodnienia nauczycielom, zwłaszcza tym, którzy nadal tkwili w przekonaniu, że jestem Sadie Page w spodniach, iż nie cechuje mnie ani przebiegłość godna przestępcy, ani psychotyczny geniusz.

Z drugiej jednak strony istniał też jeden minus, i to potężny:

Sport.

Plusy prawie przeważały. Na samą myśl, że Grace będzie świadkiem moich nieudanych prób osiągnięcia koordynacji wzrokowo-ruchowej, aż się cały kulilem, jednak nie mogłem zrezygnować z okazji przebywania w jej towarzystwie. Tak więc napisałem:

HENRY PAGE:

Podejrzewam, że mógłbym to wykorzystać jako szansę zbliżenia się na metr do pana Hotchkissa. Na lekcji każe mi siedzieć z tyłu sali, ale na boisku już się przede mną nie ukryje!

Nie wiesz może, o której będą grać? I jak Ci mija poniedziałek?

Mecze będą rozgrywane co czwartek o 16.00. Dzisiaj było okej. Pomogłam Loli zaprojektować układ graficzny do tekstów, które już mamy. Naprawdę zamieścimy 10 tysięcy słów na temat turniejów Magic: The Gathering?

O, a może to będzie główny temat numeru?

Przykro mi, że nie mogłem Wam pomóc. Musiałem zająć się zaległościami.

Nie mówiłem Wam, że tydzień temu wybrałem Magic: The Gathering na motyw przewodni? To arcydzieło literackie stanie się magnum opus naszej szkolnej prasy.

(Chociaż może powinniśmy skrócić artykuł do 9000 słów).

Co dzisiaj porabiasz?

Właśnie wyszłam z redakcji i spotykam się z dziewczynami z East River, z którymi kiedyś biegałam. Być może będę musiała wypić piwo albo nawet trzy, zanim podejmę próbę uporania się ze składnią Galaxy'ego.

Być może lodówka z piwem, którą zasugerowałem, nie byłaby wcale takim dobrym pomysłem. Zanim skończę szkołę, zostanę alkoholikiem, poważnie.

Wszyscy najlepsi pisarze to alkoholicy! Hemingway byłby z Ciebie dumny. No a drink przed meczem? Nie na darmo mawiają, że wódka dodaje odwagi.

Picie przed meczem to 95% mojej strategii.

A pozostałe 5%?

1% czystego, niczym niezmaconego talentu sportowego. 4% szczęścia.

To śmiała taktyka, Cotton. Sprawdźmy, czy się opłaci<sup>[\*8]</sup>.

Rzeczywiście. Za każdym prawie razem to działa. Efekt murowany<sup>[\*9]</sup>.

## WTOREK

W porze obiadowej poszliśmy do kafejki niedaleko centrum handlowego i staliśmy w kolejce, milcząc, ponieważ Grace miała zły dzień i od kilku godzin prawie się do mnie nie odzywała, a trudno nawiązać kontakt z kimś, kto jest zupełnie nieobecny duchem. Z głośników rozbrzmiała nagle piosenka *Can't Help Falling in Love* w wersji Elvise i musiałem zacisnąć usta, żeby się nie roześmiać, taki to był idiotyczny banał.

Gdy doszliśmy do lady, zamówiłem herbatę. Grace nic nie chciała dla siebie, ale uparła się, żeby za mnie zapłacić, na co jej pozwoliłem. Podobało mi się to, w końcu ludzie nie fundują gorących napojów byle komu, prawda?

W tej chwili, w której Elvis śpiewał: *Take my hand, take my whole life*<sup>[16]</sup>, herbata była czymś więcej niż tylko garścią liści zanurzonych we wrzątku. Stanowiła symbol, znak, że po kilku dniach bez niczego, Grace nadal jest mną zainteresowana, nawet jeśli nie potrafi tego wyrazić.

– A tak konkretnie, to który element twojego stroju pomoże nam wtopić się w tło, podczas gdy będziemy ją śledzić? – zapytałem.

Był wtorkowy wieczór, tydzień po tym, jak Madison Carlson przekazała nam tajne informacje. Jechaliśmy w stronę szkoły średniej East River. Murray siedział obok mnie na fotelu pasażera, miał na sobie trencz i fedorę, w ustach trzymał niezapalone cygaro.

– Deszcz walił niczym kule armatnie – powiedział Murray, kontynuując swoją narrację, opisującą bieżące wydarzenia, z akcentem amerykańskim z lat pięćdziesiątych. W rzeczywistości wcale nie padało. – Odwróciłem się do tego dzieciaka – to powiedziawszy, odwrócił się do mnie – i zapytałem: „Mam nadzieję, że wiesz, w co się pakujesz”. To był dobry chłopak. Metr osiemdziesiąt skóry i kości, głowa mocno osadzona na karku. Nie miałem sumienia mówić mu, że dama jego serca jest niczym biernie palenie: piękna, ale śmiertelna.

– W biernym paleniu nie ma nic pięknego.

– Dzieciak rzucił jakiś głupi komentarz, ale go zignorowałem. „Dojeżdżamy do East River”, rzekłem, gdy skręciliśmy i naszym oczom ukazały się gryzące światła szkolnego budynku. „Zaparkuj tutaj, w przeciwnym razie zobaczą nas szybciej niż koala zdąży zleźć z drzewa”.

– Naprawdę, jeśli się nie przymkniesz i nie zdejmiesz tego kretyńskiego kapelusza, zostawię cię w samochodzie.

– Nie byłem w stanie dłużej znosić marudzenia dzieciaka, musiałem zapalić, i to natychmiast. – Murray potarł zapałkę i już miał podpalić cygaro – w samochodzie mojej mamy! Trzasnąłem go przez łeb.

– Auu! Cholera, no dobrze! – zawołał i zgasił zapałkę. Zdjął wreszcie kapelusz, zostawił cygaro w aucie i ruszyliśmy w kierunku białych świateł nad bieżnią. Wiatr się wzmógł, niósł ze sobą rześki zapach jesieni. Pod naszymi stopami szeleściły liście. Latarnie uliczne rozświetlały ciemność, ale na ulicach panowała cisza i spokój. Wsunąłem rękę do kieszeni, zastanawiając się, po jakie licho Madison Carlson nas tu przysłała.

Doszliśmy do bieżni, jednak trybuny były puste. Zatrzymaliśmy się w mroku. Muz trącił mnie w żebra i pokazał palcem przed siebie:

– Tam – powiedział, co było zupełnie zbyteczne, ponieważ na tle neonowego światła

widać było tylko jedną postać.

Grace miała na sobie typowy dla siebie strój, za duży, chłopięcy, ale było w niej coś innego niż zwykle. Włosy związała w kitkę, twarz miała różową, oblaną potem. Pochylała się z rękoma na kolanach i ciężko dyszała. Po chwili wstała i pokuśtykała – bez laski – do linii startu. Przyklęknęła. Wzięła wdech. Pobieгла, kulejąc chaotycznie, a grymas na jej twarzy pogłębiał się za każdym razem, gdy uderzała chorą nogą o czerwony tartan.

– Co ona robi? – zapytał Muz.

Może dlatego, że zwykle była taka blada i krucha, choć nie delikatna, raczej twarda – nie wyobrażałem sobie, iż może być zdolna do wysiłku fizycznego. Przebiegła sprintem około trzech metrów, zatrzymała się, krzyknęła i szarpnęła za włosy. A potem podniosła laskę rzuconą z boku bieżni i zaczęła uderzać się nią w chorą nogę. W końcu opadła na ziemię, szlochając. Nic dziwnego, że jej kulawizna nie ustępowała.

– Ja pierdzielę. – Murray wyjął z kieszeni płaszcz drugie cygaro. Nie powstrzymałem go, gdy je tym razem zapalał. Zaciągnął się powoli, głęboko, jakby naprawdę był detektywem-twardzielem z powieści kryminalnej. – Palenie bierne – modelowy przykład – powiedział z amerykańskim akcentem, wypuszczając z ust szare kłęby dymu. – Nie chciałem nic mówić dzieciakowi, ale kiedy tak na nią patrzył, pomyślałem sobie, że im bardziej będzie ją wdychał, tym gorzej się poczuje.

#### ŚRODA

– Zaproś ją na randkę – powiedział Muz następnego dnia po szkole. Uznaliśmy, że nie powiemy Loli o tym, co zobaczyliśmy na bieżni, ponieważ: a) zwróci naszą uwagę na to, co oczywiste – że Grace ma problemy emocjonalne i dlatego należy się od niej trzymać z daleka, a przy tym znajdzie bardzo rozsądne powody, dla których powinienem dać sobie z nią spokój, a także b) mieliśmy wystarczające wyrzuty sumienia w związku z naszym podglądaniem. Wspomnienie tego widoku dręczyło mnie, przyklejało się do mnie, jakbym przeszedł przez pajęczynę. Dlatego też próbowałem je tłumaczyć, tak samo jak wcześniej myśli o cmentarzu.

– Nigdy nie dorwiesz się jej do majtek, jeśli będziesz się tak cackał. Przestań być taką cipą.

– Murray! – warknęła Lola. – Rozmawialiśmy przecież, żebyś nie stosował tego określenia.

– Kurde. Masz rację. – Muz wydawał się naprawdę skruszony. Zostawił Call of Duty odwrócił się na sofie w stronę łóżka, na którym leżałem z Lolą. – Wagina to fantastyczna sprawa i w żaden sposób nie chciałem insynuować, iż żeńskie ograny rozrodcze są słabe. Użyłem tego sformułowania w znaczeniu potocznym, ale zdaję sobie sprawę, że mogło zostać uznane za obraźliwe. Dlatego też powstrzymam się przed stosowaniem tego typu epitetów w przyszłości.

– Dziękuję.

– W końcu wielkie gesty na coś się zdają. Dzięki temu pieprzyłem się z Sugar Gandhi.

– Sugar Gandhi prawie ci dała fangę w nos, kiedy zacząłeś szlochać u Heslina. – Lola pokręciła głową i zwróciła się do mnie: – Henry, musisz jej powiedzieć, co czujesz. Żadnych zaszyfrowanych przekazów. Chcesz czegoś, to mów. Wyślij jej wiadomość, teraz, zaraz. Coś w stylu: Podobało mi się całowanie z tobą, byłoby świetnie to powtórzyć. Co ty na to?

– Czy ty w ogóle wiesz, czego byś od niej chciał? – zapytał Murray. – Chcesz wchodzić w związek teraz, kiedy za rok i tak wyjedziesz na studia? Czy chodzi ci tylko o ruchanko?

– Jak zwykle porażasz swoją elokwencją, mój kangurzy przyjacielu – odparłem.

Problem polegał na tym, że doskonale wiedziałem, czego od niej oczekuję. Pewnie, że chciałem się z nią przespać. Chciałem, żeby została moją dziewczyną. Za kilka lat chciałem się z nią ożenić. A kiedy będziemy starzy, chciałem pić z nią herbatę miętową i na tarasie starego

domu na wsi czytać *Harry'ego Pottera* naszym wnukom, przyglądając się, jak nadchodzi letnia burza. Czy naprawdę oczekiwałem zbyt wiele?

– Może jest mi pisana samotność aż do śmierci – stwierdziłem. Wyjąłem telefon, otworzyłem aplikację notatek i zacząłem pisać.

Wersja robocza numer cztery:

Ponieważ lubienie kogoś wydawało mi się zawracaniem głowy. Mózg się przegrzewa, trybiki ścierają się o siebie nawzajem, aż spala się całkowicie olej twoich myśli. Pożar rozprzestrzenia się ku klatce piersiowej, zwęgla ci płuca i zamienia serce w rozżarzony popiół. A kiedy już myślisz, że płomienie strawiły wszystko, zostawiając jedynie szkielet, zbłąkana iskra niszczy nie tylko twoje ciało, ale całe twoje życie.

– Matko święta, Henry! – Lola przewróciła oczami, czytając mi przez ramię. – Bardzo dramatycznie.

– Przestań, kobieto. Nie masz pojęcia, na czym polegają moje wewnętrzne rozterki.

Później napisałem wiadomość do Grace, wykorzystując jedyną wymówkę, jaka przyszła mi do głowy, żeby zacząć rozmowę.

HENRY PAGE:

Jutro jest pierwszy mecz? Czy mam być przygotowany na skopanie paru tyłków?

GRACE TOWN:

Tak, o 16.00. Możesz już zacząć się nakręcać. Daj z siebie wszystko.

Dam z siebie wszystko. Chyba. Być może.

Twoja pewność siebie jest taka zaraźliwa.

A co powiesz na coś takiego: I uderzę z wielką pomstą i zapalczywością na tych, którzy braci mych z drużyny pobić i zniszczyć próbują. I poznacie, że imię me Randy Knupps, gdy uczynię pomstę moją nad wami<sup>[\*10]</sup>. Lepiej? Lepiej.

Jak dobrze, że jest pan w mojej drużynie, panie Winnfield<sup>[\*11]</sup>.

Jeszcze raz powiesz „drużyna” i ci jaja odstrzelę!<sup>[\*12]</sup>

CZWARTEK

Popołudnie minęło zbyt szybko, jak to zwykle bywa wtedy, gdy czeka nas coś, na co nie mamy specjalnej ochoty. Po ostatniej lekcji poszedłem od razu do szatni i przebrałem się w te swoje nieliczne ciuchy, które od biedy można było nazwać „strojem sportowym”. Mniej więcej rok temu przekroczyłem metr osiemdziesiąt, ale moja waga jeszcze nie dogoniła wzrostu, mimo że wrzucałem w siebie tyle jedzenia, jakbym był kuchennym rozdrabniaczem odpadów.

W spodenkach i koszulce wyglądałem wyjątkowo chuderlawo, miałem nadzieję, że Grace nie odrzuci moje blade, patykowate ciało.

– To się nie może dobrze skończyć – westchnąłem. Żałowałem, że nie zmusiłem Muza, aby też się przyłączył, wtedy wszyscy byłiby tak oszołomieni jego tężyzną fizyczną, że może nikt by nie zauważył, jak się chowam pod trybunami.

– Szalenie twarzowo, Henrik – powiedziała Grace, gdy mnie ujrzała w stroju sportowym. Znów wyraźniej kuśtykała, niczym czarny charakter ze starego filmu o Jamesie Bondzie. Krzywiła się też przy każdym kroku. („Rehabilitant daje mi wycisk”, wyjaśniła dzień wcześniej.

Skinąłem głową i udawałem, że nie widzę, z jaką łatwością przychodzą jej kłamstwa).

– Jesteś podła – odparłem.

Nauczyciele organizowali cotygodniowe spotkania, rozgrywając przyjacielskie mecze z kadrą pedagogiczną innych szkół średnich, ale często zabierali ze sobą uczniów, żeby wzmocnić drużynę. Hink – który nigdy wcześniej nie grał, a najwidoczniej miał w sobie silnego ducha rywalizacji – uznał, że świeża krew będzie świetnym pomysłem, więc oprócz mnie i Grace zaprosił do drużyny także dwóch innych uczniów. Jednym była Suki Perkins-Mugnai, podobno geniusz futbolu dotykowego. Drugim – gość, który już chyba trzeci raz powtarzał czwartą klasę, a którego znałem pod ksywą „Buck”. Buck był niski i krępy i miał jeszcze rzadszy wąsik niż Murray. Podejrzewam, że dostał się do drużyny tylko dlatego, że wyglądał jak trzydziestoletni recydywista.

– Gotowi, drużyno? – zapytał Hink dziesięć minut później, gdy zebraliśmy się pod jego gabinetem. Miał na sobie sportowy strój i wyglądał dokładnie tak jak Kip Dynamite, gdy spotykał się na przystanku autobusowym z LaFawnduh. Bardzo staraliśmy się zachować poważne miny, widząc jego opaski i kolanówki. Przynajmniej zapowiadało się na to, że na boisku znajdą się gracze wyglądający jeszcze zabawniej ode mnie.

Hink zaprowadził nas na miejsce. Nauczyciele już się rozgrzewali, podawali sobie piłkę, rozciągali się.

– Ohyda – stwierdziła Suki. – Żaden uczeń szkoły średniej nie powinien oglądać swoich nauczycieli w takiej pozycji.

– Gdyby to był film – odparłem, krzywiąc się na widok naszej zbieraniny – bylibyśmy niedocenianym rywalem, drużyną, której zawodnicy pokonują swoje słabości i ostatecznie wygrywają cały turniej. Jak w *Zabawach z piłką*.

– Nie sądzę, żeby unikanie zbijaków miało się wam na coś przydać – zauważyła Grace. – Już po was.

– Ejże, jesteś człowiekiem małej wiary – odparłem, naśladowując skłony Hinka tak, by tego nie zauważył. Suki zaczęła się zwijać ze śmiechu.

– Za to sporego realizmu – powiedziała Grace i skinęła głową ku drugiej stronie boiska. – Bo to z nimi gracie.

Jak się okazało, scenariusz bardziej przypominał *Zabawy z piłką*, niż mogliśmy się spodziewać, tyle że bez happy endu. Zamiast zapisać nas do rozgrywek na poziomie początkującym albo chociaż średnio zaawansowanym, Hink upchnął nas w kategorii zaawansowanej – głównie (tylko) dlatego, że Suki Perkins-Mugnai już kiedyś grała w futbol dotykowy. Hink uznał, że to wystarczy.

Drużyna przeciwna składała się wyłącznie z wuefistów i najlepszych sportowców ze szkoły Rockwood High, który mieli niewielkie kontuzje – wszyscy wyglądali jak Gregor Góra, Która Jeździ z *Gry o tron*. Grali (i wygrywali) razem już tak długo, że nawet zainwestowali jednolite stroje, czarne koszulki z motywem czerwonego anatomicznego rysunku serca zgniatanego wielką dłonią.

Mecz wyglądał dokładnie tak, jak się spodziewałem. Grace siedziała na trybunach i machała pomponami przytwierdzonymi do laski. Kibicowała nam, podczas gdy Zgniatacze robili wszystko, by udowodnić słuszność nazwy swojej drużyny. (Nasza, dzięki Hinkowi, w dalszym ciągu nazywała się: Cześć, Mario, możemy zdecydować później i do ciebie oddzwonić?) Większość naszych rywali wcześniej albo nadal grywała w tradycyjny futbol amerykański i zamiast „dotyku” preferowała szarże.

Kiedy piłka po raz pierwszy poszybowała do Bucka, ten popatrzył na dziki tłum zmierzający w jego stronę, rzucił: „Ooo, na pewno nie”, odwrócił się i czmychnął. Już go więcej

nie zobaczyliśmy.

Staralem się w miarę możliwości nie dotykać piłki, zawsze podawałem ją do Suki, która jako jedyna osoba w naszej drużynie wiedziała, co robi. To jej zawdzięczaliśmy nasze jedyne dwa przyłożenia, które wywołały niezwykle wzburzenie wśród Zgniataczy, niepomnych faktu, że i tak już zrobili z nas miazgę.

Hink przypominał nowo narodzoną gazelę, która jeszcze nie opanowała do końca nauki chodzenia. Beady zwichnęła sobie kostkę w siódmej minucie gry. Nauczyciel matematyki, pan Hotchkiss, chyba jeszcze bardziej znienawidził mnie w czasie gry niż w lekcjach, czyli osiągnąłem skutek odwrotny do zamierzonego.

A kiedy rzeź zaczynała powoli dobiegać końca, a biedna Suki wyglądała na ledwo żywą, ponieważ cały czas ciągnęła naszą drużynę przeciwko bandzie rozszalałych bestii, przypadkowo w moje ręce trafiła piłka, a w pobliżu nie było nikogo, komu mógłbym ją podać.

Nagle horyzont przechylił się gwałtownie. W jednej chwili stałem na boisku, zastanawiając się gorączkowo, co mam zrobić, a następnej leżałem na ziemi i nie byłem w stanie oddychać.

– Sorry, to z rozpędu – powiedział olbrzym, który mnie przewrócił, po czym chwycił mnie za rękę i podniósł. Przypuszczam, że miał to być przyjacielski gest, ale ponieważ nadal nie odzyskałem tchu, byłem w stanie jedynie machnąć wolną rękę w jego kierunku. – Ale chyba powinniście przenieść się do poziomu średnio zaawansowanego. Albo początkującego.

Oczywiście gdy ruszyłem w stronę trybun, Grace zwijała się ze śmiechu. Byłem pewien, że mam złamane jakieś żebra. Patrzyłem na nią z ukosa, człapiąc przez boisko, ale nie było widać ani śladu szalonej, obcej mi dziewczyny z wtorkowej bieżni.

– Nigdy. Przenigdy. Więcej. – Tak brzmiały moje pierwsze słowa, kiedy już odzyskałem zdolność mówienia.

Po tym, jak Zgniatacze się z nami rozprawili, Hink zabrał nas wszystkich na obiad, żeby przeprosić za to, co ostatecznie okazało się niemalże rytualnym samobójstwem: szesnaście przyłożeń do dwóch. Sytuację rekompensował fakt, że przy obiedzie siedziałem obok Grace. Była w świetnym humorze, drażniła się ze mną, kpiła, że nie potrafię jeść sushi pałeczkami, zastanawiała się głośno, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczymy Bucka, czy postanowił pobawić się w Forresta Gumpa i w dalszym ciągu biegł.

Hotchkiss zauważył, że z matematyki nie idzie mi tak dobrze jak Sadie i jeśli chcę dostać dobrą ocenę, muszę zacząć oddawać zadania domowe. To było miłe. Może wreszcie dotarło do niego, że nie jestem tą samą osobą, która puszczała mu petardy pod biurkiem.

Na końcu przyrzekliśmy sobie, że dopóki żyjemy, nigdy już nie będziemy grać w futbol dotykowy. Uznałem jednak, że siniaki i drobne wstrząśnienie mózgu były warte czasu spędzonego z Grace w jej dobry dzień.

## PIĄTEK

Rano spotkaliśmy się w bibliotece, ja ze stosem kartek upchniętych pod pachą, Grace z termosem i dwiema delikatnymi filiżankami z ilustracjami z *Alicji w Krainie Czarów* i napisem na uszku: „Wypij mnie”. Lola straciła w końcu cierpliwość i zażądała, żebyśmy wybrali motyw przewodni, by mogła zacząć projektować okładkę i układ graficzny najważniejszych tekstów. Zrobiliśmy tyle, ile się dało z artykułami na temat *Magic: The Gathering*, fotorelacjami oraz entuzjastycznymi wiadomościami na temat cotygodniowych wydarzeń, które wyprodukował Galaxy Nguyen. Powoli trzeba było spinać posłady. Mijaliśmy w milczeniu kolejne regały, zagłębialiśmy się w czeluść biblioteki bardziej niż zwykle, zbyt śpiący, by prowadzić jakąkolwiek rozmowę.

Ponieważ na tyłach nie było żadnych stolików i krzeseł, usiedliśmy po turecku



na wykładzinie, kartki rozłożyliśmy na podłodze. Grace nalała nam herbaty – karmelowej z wanilią, jak mi powiedziała, ze zdecydowanie zbyt małą ilością kofeiny, by mnie postawić na nogi o tej niehumanitarnej godzinie – po czym zaczęła w milczeniu numerować małe kwadraciki, od 1 do 30, z których każdy odpowiadał jednej stronie tego, co ostatecznie miało stać się prawdziwą i skończoną gazetą. Kiedy to wszystko porozkładaliśmy przed sobą, stało się jasne, że to, co udało nam się do tej pory zgromadzić, stanowiło zaledwie jedną trzecią potrzebnego nam materiału, nawet gdybyśmy wliczyli dziewięć tysięcy słów tekstu o *Magic: The Gathering*.

Dupa błada.

Początkowo zajmowaliśmy się wyłącznie poważnymi sprawami. Siedzieliśmy z dala od siebie, Grace miała wyprostowane plecy i kamienną minę, bazgrała na kartce jakieś pomysły. „Może kontrowersyjny artykuł na temat edukacji seksualnej?” – zapisała. „Pełen frazesów reportaż z życia obiecującego szkolnego sportowca?”. Minęła godzina, zaczęliśmy się powoli budzić i wtedy zrozumiałem, że to będzie dobry dzień Grace. Przysunęła się do mnie. Oparła głowę na moim ramieniu, jakby to było coś absolutnie zwyczajnego, jakbyśmy już wcześniej siadywali w ten sposób setki razy.

Pamiętam, że pomyślałem sobie wtedy: „Jezu, jaka ona jest pogmatwana”. Bo taka właśnie była. Tydzień praktycznie bez niczego, a teraz jej (nienaturalnie) czyste i uczesane włosy opadały mi na plecy, łokieć opierał się o moje kolano, jej palce kreśliły małe kółka na moim buciu. Jej zapach, ciepły, uderzający do głowy, chociaż jednocześnie jakby stęchły, unosił się znad jej skóry i wypełniał mój umysł perspektywą szalonych możliwości. Miałem niemal wrażenie, jakbyśmy stanowili parę.

Po czymś takim nie było mowy o dalszej pracy. Nie wypuszczałem długopisu z ręki, ale nie dotknąłem nim kartki. Nie chciałem się ruszać, żeby Grace nie pomyślała, że mi niewygodnie. Oparłem więc głowę o jej głowę i oddychałem cicho, rytmicznie, podczas gdy ona notowała swoje uwagi, najwyraźniej nieświadoma naszej bliskości. Siedzieliśmy tak przez pewien czas, dopóki nie zadzwonił dzwonek, a wtedy wyprostowała się powoli i ziewnęła, jakby wytrącona ze snu.

Zupełnie zdezorientowało mnie jej spojrzenie: takie samo, jak to, które widziałem na jej twarzy po Tym Pocałunku. Spojrzała na mnie i zareagowała zdumieniem, niedowierzaniem wręcz, jakby spodziewała się na moim miejscu zobaczyć kogoś innego.

Jak miałem rozumieć to spojrzenie? Co mogło oznaczać? A może sobie je tylko wyobraziłem?

– Podwozimy cię dzisiaj? – zapytała, kiedy zapanowała nad wyrazem twarzy. Złożyła kartki i mi podała.

– Byłoby super.

Skinęła głową, wstała i wyszła, jak zwykle zupełnie obojętna.

Postanowiłem opuścić pierwsze dwie lekcje, bo uznałem, że to jest Dzień Sądu Ostatecznego. Nie byłem w stanie przetrwać kolejnego weekendu, nie wspominając o całym tygodniu, nie wiedząc, czy ona czuje do mnie to samo, co ja do niej. Wszedłem do naszej redakcji, zgasiłem wszystkie światła i usiadłem pod biurkiem, skulony, w pozycji embrionalnej. Napisałem do niej wiadomość, zgodnie z sugestią Loli, jednak wydała mi się zbyt słaba. Za mało fundamentalna. Gdyby jakimś cudem czekała nas wspólna przyszłość, wołałbym, żeby nasza historia zaczęła się od czegoś niezwykłego, a nie od wymiany zdań na komunikatorze.

Ostatecznie zdecydowałem się na odpowiednio Henry’owską prezentację PowerPoint, zatytułowaną „Dlaczego powinnaś ze mną chodzić”. Oparłem się na niezwykle wymownej prezentacji, którą widziałem kiedyś na Imgur. Zanim spotkałem Grace, nigdy nie przyszłoby mi do głowy coś podobnego, ale pomyślałem o rozmowie, którą odbyliśmy wtedy w nocy przy

jeziorku z rybami – rozmowie o kosmicznym odkupieniu. O słowach Grace mówiącej o odwadze i nicości czekającej nas na końcu. O robieniu wszystkiego, co możliwe, dopóki nasze atomy układają się w taki sposób, że powstaje świadomość. Tworząc tamtą prezentację, zrozumiałem chyba, dlaczego Grace nie miała nic przeciwko zapomnieniu. Dlaczego człowiek stawał się nieustraszony, gdy sobie uświadamiał, że na końcu wszechświat się za nami wstawi. Że czeka nas odkupienie wszystkich naszych idiotycznych przewinień. Absolutne oczyszczenie z grzechów.

I w ostatecznym rozrachunku nie miało znaczenia, czy powie „tak”, czy „nie”.

Tak więc przygotowałem moją prezentację, siedząc pod biurkiem, i ledwo zauważyłem, że Lola weszła do redakcji. Najwyraźniej jednak uznała, iż nie ma nic dziwnego w tym, że siedzę się skulony pod meblem, bo o nic nie pytała, a ja tworzyłem dalej, dopóki nie skończyłem. Aż skończyłem. Było sarkastycznie, idiotycznie i, jak miałem nadzieję, na tyle zabawnie, by się roześmiała.

**DLACZEGO POWINNAŚ ZE MNĄ CHODZIĆ**

Prezentacja informacyjna  
Henry Page

**ARGUMENTY NADRZĘDNE**


- Jesteś zainteresowana osobnikami płci męskiej (mam nadzieję – zdarzyło mi się pomylić w tej kwestii).
- Tak się składa, że jestem osobnikiem płci męskiej.
- Podobało mi się całowanie z Tobą. Tak bardzo, że chciałbym to robić regularnie.
- Jak kiedyś mądrze zauważyłaś: #YOLO

**KORZYŚCI PŁYNĄCE Z CHODZENIA ZE MNĄ**

- Prawidłowo wymawiam „GIF”.
- Maratony filmowe pod znakiem Gwiezdnych wojen z pizzą i lodami.
- Pozwalałbym, żebyś mnie całowała, kiedy tylko zechcesz.
- Mam takie referencje, że ho, ho.
- Nigdy nie skąpie guacamole w Taco Bell.
- Spotykałabyś się ze mną.
- Proszę.

**NA CO SIĘ PISZESZ**

Analiza procentowa Henry'ego Isaaca Page'a



- dowcip pierwsza klasa
- znajomość memów
- wspaniała osobowość
- skromność

**CHODZENIE ZE MNĄ – „ZA” I „PRZECIW”**

Potrafię upiec babeczki oraz minipizze.	Ale nie są zbyt smaczne.
Przygotuję romantyczne prezentacje w PowerPoint.	Co potencjalnie kwalifikuje się jako molestowanie seksualne.
Posiadam imponującą kolekcję kart Pokémona oraz gadżetów z Doktor Who.	Twoim rodzicom może się nie spodobać, że chodzę ze złym chłopakiem.
Nie zostawę Cię tak, jak Twój poprzedni chłopak (o za dupkę).	Co można zakwalifikować jako stalking.
Ricky Martin Kruppa II miałby bardzo słabe doświadczenia, gdybyśmy stali się oficjalną parą.	Koniec „przeciw”. „Za” wygrywa!

**ZAŚWIADCZENIE CELEBRYTY**

Jako że jestem absolutnie wiarygodny, możecie przyjąć moje zapewnienie, że Henry Page jest tak wyjątkowy i jedyń w swoim rodzaju jak płatek śniegu. *In Tyler we trust* – Ufamy Tylerowi.  
– słynny i wiarygodny narrator Tyler Durden

Czytałem to na okrągło i się zastanawiałem: Czy powinienem jej pokazać?  
Naprawdę chcę jej to pokazać?

I nagle Lola włączyła *Someday The Strokes*. Moją piosenkę dla Grace.

Naszą piosenkę.

- Nie wiedziałem, że lubisz The Strokes – powiedziałem.
  - Hm? – Lola okręciła się powoli na krześle. – Właściwie to ich nie znam, ale Grace słuchała ostatnio tego kawałka i mi się spodobał.
- „Pieprzyć to”, pomyślałem i zalogowałem się na Facebooka.

HENRY PAGE:

Grakov. Spotkajmy się w auli podczas ostatniej lekcji. Zwolnij się, powiedz, że musisz iść do redakcji. Mam Ci coś do pokazania.

GRACE TOWN:

Henrik. Cóż za diabelski plan. W takim razie do zobaczenia.

Zamrugałem kilka razy, wyłączyłem komputer i zostałem w redakcji do końca dnia. W którymś momencie obok przechodziła dyrektor Valentine, zauważyła, jak siedzę z czołem przyklejonym do blatu biurka.

- Page – powiedziała. – Czy ty nie powinienes teraz być na lekcji? Na co odparłem, nie podnosząc się:
  - Na skutek działania nastoletnich hormonów jestem zbyt kruchy emocjonalnie, żeby znaleźć się w tej chwili w kontekście edukacyjnym.
- Dyrektorka milczała przez kilka sekund, po czym odpowiedziała:
- No to siedź dalej.
- Więc siedziałem.

#### ROZDZIAŁ 14

„Będę musiał skończyć ze sobą”, pomyślałem, chodząc tam i z powrotem po auli. Nie widziałem innego wyjścia. Mój plan był ewidentnie kretyński, a ja nie wyobrażałem sobie życia po upokorzeniu, jakim będzie odrzucenie mojej propozycji, bez względu na to, czy istniało globalne odkupienie win, czy nie.

Grace się spóźniała, a ja wpadłem w panikę, sądząc, że w ogóle nie przyjdzie, co tak naprawdę nie byłoby wcale takim złym rozwiązaniem. Już miałem chyłkiem się wycofać, kiedy nagle otworzyły się drzwi do auli i Grace weszła do środka. Ruszyła między rzędami siedzeń, opierając się ciężko o laskę, i wydawała się taka drobna w tej wielkiej, pustej sali. Za nią ciągnął się długi cień. Przypominała mi miniaturową figurkę na makiecie.

- Co to będzie? – zapytała, kiedy zeskoczyłem ze sceny i podbiegłem do niej.
- Wielki gest, którego będę żałował za jakieś pięć minut.
- Och.

Weisnąłem przycisk uruchamiający projektor i na ekranie ukazał się tytułowy slajd.

– Jesteś niemożliwą istotą ludzką – stwierdziła Grace, ale bez złości, kpiąco. Po czym się uśmiechnęła, dokuśtykała do pierwszego rzędu ze mną u boku, odłożyła plecak i usiadła. – No to jedziemy z tym, jak twierdzisz, godnym pożałowania koksem.

Grace oglądała projekcję zza rozłożonych palców, jakby to był horror, i śmiejąc się, mówiła: „Wstydzę się za ciebie w tej chwili”. Zmieniałem slajdy, aż w końcu dotarłem do strony z „Za i przeciw”. Przyglądałem się, jak przesuwają wzrok z lewej strony na prawą, czytając, a na jej twarzy zakwita coraz szerszy uśmiech. Jednak gdy doszła do przedostatniego „za” (Nie zostawię cię tak, jak twój poprzedni chłopak), natychmiast zmartwiała.

- Wyłącz – rzuciła stanowczym, lodowatym głosem, ale nic nie zdążyłem zrobić, a już się

zerwała z miejsca, przerzuciła plecak przez ramię i ruszyła w stronę najbliższego wyjścia. To było jak powtórka z pierwszego dnia, kiedy gonilem ją po wyjściu z gabinetu Hinka: zabrałem szybko moje rzeczy i pobiegłem za nią. Znow pędziła gwałtownie przed siebie.

– Zaczekaj! – zawołałem, ale nie czekała, nie przystanęła, dopiero gdy się z nią zrównałem nieopodal przystanku autobusowego i położyłem jej rękę na ramieniu, nagle osunęła się na ziemię. Zupełnie jak Obi-Wan Kenobi w *Nowej nadziei* – jej ciało wydawało się znikać, została tylko kupka odzieży.

– Nie tak to sobie wyobrażałem – stwierdziłem. Usiadłem obok niej i przeczesalem włosy. Grace ni to się śmiała, ni to płakała, dźwięk stanowił coś pośredniego między chichotem szaleńca a hiperwentylacją.

– On siedział za kierownicą – wyszlochała. – Dom siedział za kierownicą. Ja prawie straciłem nogę, a on... on... – Nie była w stanie dokończyć, ale nie musiała. Moje wnętrzości się skurczyły, płuca i żołądek przyjęły wielkość monety. W dzieciństwie chorowałem na astmę. Teraz ogarnęło mnie podobne uczucie, ścisk w gardle, mostek zamieniający się w beton, każdy oddech wydzierany z trudem z płuc.

Nagle wszystko nabrało wstrząsającego sensu. Cmentarz. Ubrania. Samochód. Bieżnia. Opuszczony dworzec kolejowy. Matko święta, nawet The Strokes.

To nie jej muzyki słuchałem, tylko jego. N a s z a p i o s e n k a, ja pierdolę. W ogóle nie była nasza, należała do n i c h. Ogarnęła mnie nieprzemierzona chęć, by wyrzucić Juliana Casablancasa z mojego wnętrza.

Grace oparła głowę o moje ramię, bardziej dla utrzymania równowagi niż z innego powodu, jakby w przeciwnym razie mogła osunąć się na ziemię.

– Dlatego się przeniosłam. Chciałam zacząć od nowa, z dala od miejsc, w których bywaliśmy razem. Tak bardzo starałam się panować nad sobą, a potem ty się pojawiłeś. Nie planowałam, żeby się z tobą całować, nie planowałam, żeby... Nie chciałam tylko być dziewczyną z chłopakiem, który nie żyje, chciałam tylko... chciałam...

– Jezu. Grace. Nawet nie wiem, co powiedzieć.

Twarz mi płonęła żywym ogniem. Murray i Lola stali w kolejce na przystanku i przyglądali się nam z wyrazem niepokoju. Najbardziej na świecie pragnąłem wsiąść do autobusu, wrócić do domu i zacząć przegląd sposobów popełnienia samobójstwa. W tym momencie najlepsze wydawało mi się złożenie samego siebie w ofierze. Podniosłem rękę i dałem moim przyjaciółom znak, jednocześnie mówiąc bezgłośnie: „Zaczekajcie na mnie”.

Grace uniosła głowę z mojego ramienia, ale w dalszym ciągu oddychała z trudem.

– Rozumiem, że możesz nie chcieć... – zacząłem, a wtedy chwyciła mnie za kołnierzyk całowała tak, jakbym ja był tlenem, a ona topielcem. Pozwoliłem jej zabrać całe powietrze z moich ust, żeby się uratowała.

Zdałem sobie wtedy sprawę, że Grace Town jest kawałkiem szkła o ostrych brzegach, o który ciągle się będę kaleczył, jeśli postanowię się zaangażować. Że nasza wspólna droga będzie naznaczona smutkiem, żalobą i zazdrością.

Pomyślałem o wierszu Pabla Nerudy, który nadal nosiłem złożony w portfelu, po tym gdy mi go dała pierwszego dnia. Pomyślałem o kochaniu jej w tajemnicy, pomiędzy cieniem a duszą. Może tak właśnie powinienem był zrobić. Może moje uczucia do Grace Town należały do ciemności, może nigdy nie powinny zostać urzeczywistnione.

Tyle że nigdy wcześniej nie podobała mi się żadna dziewczyna, nie tak bardzo jak ona. I chociaż brzmi to egoistycznie, bałem się, że już nigdy żadna inna mi się nie spodoba. A jeśli nad moją rodziną ciąży zapomniana klątwa, zgodnie z którą syn pierworodny może się zakochiwać jedynie raz na siedemnaście lat? Starszy brat taty, wuj Michael, nigdy (z tego,

co było mi wiadome) z nikim się nie spotykał na poważnie. (Owszem, mieszkał razem ze swoim „współlokatorem” o imieniu Albert, który bywał na wielu spotkaniach rodzinnych, ale zbaczam z tematu). Jeśli iskra zainteresowania pojawia się co siedemnaście lat, następna dziewczyna spodoba mi się dopiero, gdy będę trzydziestoczteroletkiem. A jeśli tamten związek nie wypali, następnego mogę się spodziewać dopiero w wieku pięćdziesięciu jeden lat. Sporo czekania na pierwszą miłość.

Podobałem się Grace. Dobrze nam się razem pracowało. No i pragnąłem jej, Boże, jak ja jej pragnąłem. Tylko czy miałem zignorować głos rozsądku i zaangażować się w związek z kimś, kto ewidentnie tkwił nadal w głębokiej żalobie?

– Zostawcie miejsce dla Jezusa! – Z megafonu rozniósł się głos jednego z nauczycieli. (W naszej szkole obowiązywała zasada „zero miłości, zero agresywności”, mająca na celu ograniczenie bójek i ciąż wśród nieletnich. To oznaczało, że wszyscy uczniowie powinni zawsze znajdować się w odległości przynajmniej pół metra od siebie i absolutnie się nie dotykać). Grace oderwała się ode mnie i z trudem wstała na nogi. Wszyscy już siedzieli w autobusie, kierowca walił w klakson, a Murray krzyczał: „Pospiesz się, ty kretynie!”. Miałem nadzieję, że Grace zaproponuje mi podwiezienie do domu, dzięki czemu będziemy mogli pogadać, ale nie zrobiła tego.

– I tak cię chcę – powiedziałem, a potem odwróciłem się i pobiegłem do autobusu, trzęsąc się i wciągając powietrze przez usta tak, jak to robiłem jako dziecko, zanim zadziałał inhalator.

Autobus ruszył i wyminął Grace, która kuśtykała już w stronę ulicy. Palcami przeczesywała włosy, głowę miała spuszczoną, jakby usłyszała jakieś tragiczne wieści. A ja pomyślałem z ukłuciem rozpacz, że jeszcze nigdy w życiu nie widziałem nikogo tak smutnego jak ona.

## ROZDZIAŁ 15

W poniedziałek nie padło ani jedno słowo na temat tego, co wydarzyło się w piątek. Co więcej, wydaje mi się, że chyba nigdy nikt z nas nawet się o tym nie zająknął. W weekend postanowiłem, że nie będę się zastanawiał nad tym, co dalej, dopóki nie zobaczę się z Grace. Nadal nie miałem pewności, co powinienem zrobić, chociaż skłaniałem się bardziej ku idei „zostanmy po prostu przyjaciółmi”, ponieważ to wszystko było takie skomplikowane i niestabilne, a ja nie wiedziałem, czy sobie z tym poradzę.

Byłem już wystarczająco zajęty i zakręcony ostatnim rokiem nauki, prowadzeniem redakcji, wyborem uczelni (czytaj: jakiegokolwiek, która gotowa była mnie przyjąć) i utrzymywaniem szczątkowego życia towarzyskiego.

No i oczywiście wygooglałem tamten wypadek. Trochę czasu zajęło mi znalezienie artykułu, ponieważ nigdzie nie padło nazwisko Grace, a ja nie znałem danych jej chłopaka. A kiedy już znalazłem, wcale nie chciałem czytać. To było jak otrzymanie fatalnej oceny z wypracowania i wysłuchanie długiego komentarza na temat tego, co zawałem. Nic już nie mogłem zmienić, więc po co zaglądać?

A jednak przejrzałem tekst, zerknąłem na wypowiedzi różnych osób, starałem się nie czytać zbyt wnikliwie, każde słowo bowiem wbijało mi się w skórę jak drut kolczasty.

*Zajęcia w szkole średniej East River zostały zawieszono w środę po tym, jak uczeń klasy trzeciej zginął w wypadku, a jego koleżanka została poważnie ranna...*

Przeniosłem wzrok na następną akapit.

*Niewymieniana z nazwiska pasażerka samochodu, siedemnastolatka, która podobno była dziewczyną kierowcy, nadal pozostaje w stanie krytycznym, z poważnymi obrażeniami...*

Następny akapit.

*Samochód wpadł w poślizg i kilkakrotnie koziółkował, po czym uderzył w przydrożne drzewo...*

I następny.

*Przyjmuje się, że siedemnastoletni kierowca, Dominic Sawyer, zginął na miejscu, natomiast pasażerka została zabrana do...*

Następny.

*„Samochód nadaje się do kasacji – powiedział policjant. – Nic z niego nie...”*

Następny.

*Psychologowie szkolni zjawili się dzisiaj w East River, żeby udzielić wsparcia uczniom i...*

Następny.

*Jeffers powiedział nam, że Dominic Sawyer był „jednym z najcudowniejszych uczniów, jakich spotkał w swojej karierze nauczycielskiej. Wszechstronnie uzdolniony i...”*

Następny.

*Planowana uroczystość żałobna ku czci tego lubianego ucznia East River...*

Zamknąłem stronę.

Kiedy wchodziłem na popołudniowe zajęcia teatralne, już podjąłem decyzję, że nie możemy być razem. To się nie uda. Grace była zbyt rozbita. Zbyt dziwna. Nie sądziłem, że to się zmieni. Potrzebny był jej przyjaciel, a nie chłopak, i wiedziałem, że sprostam temu zadaniu. Potrafiłem być świetnym przyjacielem, a tego było jej teraz trzeba. Usiadłem więc na swoim zwykłym miejscu, blisko sceny, naprzeciwko drzwi, i czekałem aż się zjawi. Chyba nie było za późno, by zdławić w sobie to wszystko, prawda? Uczucie można stłamsić, jeśli się odpowiednio mocno postarać.

Grace jak zwykle się spóźniła, a pani Beady jak zwykle nic nie powiedziała.

Nic się w niej konkretnie nie zmieniło. Nadal była źle obcięta i nieuczesa. Nadal miała szarą cerę. W dalszym ciągu nosiła chłopięce – należące do jej zmarłego chłopaka, Doma – ubrania. I w dalszym ciągu kuląła w sposób daleki od atrakcyjnego. Ale ledwo tylko nasze spojrzenia się spotkały, a jej mina złagodniała na mój widok, zyskałem pewność.

Zyskałem pewność, że chcę spróbować.

Była w żałobie, załamana, a nasze relacje z całą pewnością miały zakończyć się katastrofą dla któregoś z nas albo nawet dla obojga. Ale przecież są rzeczy, o które warto walczyć, prawda?

## ROZDZIAŁ 16

Jestem tchórzem, więc ją o niego nie zapytałem. Może byłoby lepiej i dla mnie, i dla niej, gdybyśmy razem usiedli, a ona opowiedziała mi o nim, popłakała się, wyjaśniła, że regularnie odwiedza jego grób.

Rzecz jasna byłem ciekaw niektórych spraw. Jak długo ze sobą chodzili? Od jak dawna się znali? Czy spali ze sobą?

Czy go kochała?

Ale Grace nie należała do mnie. Nie była moją dziewczyną. Pocałowałem ją zaledwie dwa razy. Co więcej, prosiła mnie, żebym nikomu o nas nie mówił, żebyśmy się nie afiszowali, przynajmniej dopóki nie będzie pewna, czego tak naprawdę chce. Uważała, że nie jest mile widziane, kiedy człowiek spotyka się z kimś tak szybko po śmierci swojej drugiej połówki. Staralem się bardzo nie czuć żalu, że chce mnie trzymać w tajemnicy, no bo wiadomo.

Dlatego uznałem, że nie do mnie należy wypytywanie o jej chłopaka, a w głębi duszy chyba nawet wołałem tego wszystkiego nie wiedzieć. Grace, w której się zakochałem, to nie była dziewczyna w żalobie po śmierci innego, ale tajemnica, którą chciałem rozszyfrować. Niechby tak właśnie zostało.

Cała sztuka chodzenia ze sobą polegała na jakimś wspólnym zajęciu. Wyjścia do kina wydawały się drętwe i antyspołeczne, ale właśnie wchodził nowy film akcji z Liamem Neesonem, a mieliśmy przecież nasz własny żart związany z „komedią improwizacji”, więc w poniedziałek po południu postanowiłem napisać do niej i sprawdzić, jakie ma plany.

HENRY PAGE:

Jesteś dzisiaj zajęta?

GRACE TOWN:

Chwilowo nie. Co kombinujesz?

Myślałem, że może byśmy obejrżeli nowy film z Liamem Neesonem. Bez wątplenia pojawi się komedia improwizacji. Co prawda podejrzewam, że akcja będzie identyczna jak we wszystkich jego dotychczasowych filmach, ale mnie to pasuje.

Gdzie i o której?

Zwykle proponuję kino niedaleko mojego domu, ale jeśli będziesz korzystała z komunikacji autobusowej jak my z plebsu, łatwiej Ci będzie dotrzeć do Regala. 19.45.

Pewnie skończy się na autobusie. Ale jestem za. Liam Neeson kontra reszta świata. Stawiam jednak na niego.

Nikt nie powinien zadzierać z Neesonem. Spotkamy się na miejscu o 19.30?

Brzmi nieźle, Henriku. Do zobaczenia.

Kiedy przyjechałem, Grace czekała pod kinem, pochylona nad ekranem komórki, jak zwykle niechlujna.

– Hej – powiedziała, podnosząc wzrok. Czy powinienem był ją pocałować? Już się

wcześniej całowaliśmy, ale czy to oznaczało, że mogłem teraz całować ją, kiedy tylko chciałem? I czy wolno nam było oddawać się takim czułościom w miejscu publicznym, czy jednak złamałbym zasadę nieafiszowania się? – Henry Page – dodała. Dlaczego jeszcze jej nie pocałowałem? – Idziemy po bilety?

– Całkiem niezły plan.

Zazwyczaj, gdy Grace miała dobry dzień, rozmowy płynęły dość gładko. Owszem, nadal zdarzały się chwile niezręcznej ciszy, kiedy nie wiedziałem, co powiedzieć, ale ten wieczór wydawał się zupełnie inny niż poprzednie. Pojawiło się nowe napięcie, którego wcześniej nie wyczuwałem. W końcu to była prawdziwa randka (no chyba, nie?). Coś się między nami zmieniło. Oboje potwierdziliśmy, że się sobie podobamy, a to tylko skomplikowało sytuację.

Kiedy zgasty światła, próbowałem dojść do tego, czy powinienem trzymać ją za rękę. Kiedyś chwyciłem Lolę za rękę w kinie – podczas tygodnia, który zakończył się pocałunkiem określającym raz na zawsze jej orientację seksualną. Miałem nadzieję, że tym razem będzie jednak inaczej.

Dopiero kiedy skończyły się wszystkie zapowiedzi i reklamy, nasze palce się w końcu odnalazły, niczym magnesy przyciągające się bardzo powoli w ciemności.

Trzymaliśmy się za ręce przez cały film, Grace koniuszkami palców kreśliła kółka na mojej skórze. Od czasu do czasu unosiła moją dłoń do ust i całowała. Przez dwie godziny wpatrywałem się w ekran, ledwie zwracając uwagę, że Liam Neeson skopuje komuś tyłek. Gdyby ktoś zapytał mnie później, o czym był film, potrafiłbym najwyżej podać ogólny zarys fabuły.

Wyszliśmy z kina i ruszyliśmy w stronę przystanku. Ręce włożyliśmy do kieszeni, ponieważ zbliżał się listopad i było zbyt zimno, żeby trzymać je na wierzchu. A może wcale nie chodziło o ziąb? Tylko o to, że nasz związek (czy w ogóle mogłem nazwać to, co nas łączyło, związkiem?) miał pozostać tajemnicą. Mogliśmy się całować na ciemnej imprezie i trzymać za ręce w ciemnym kinie, ale tam, gdzie mogli nas zobaczyć ludzie, byliśmy jedynie przyjaciółmi.

– Liam Neeson – odezwała się Grace, bo zwolniliśmy przed przystankiem. – Niezły gość.

– Prawda?

– Najlepszy komik na świecie.

– Trochę szkoda, że wszystkie jego dowcipy dotyczą AIDS.

– No coś ty? AIDS to naczelny temat komediowy. O, jedzie twój autobus.

Cholera, już? Miałem nadzieję, że jej pojawi się pierwszy. A czekając na jego przyjazd, usiądziemy na niskim murku otaczającym miejski park, będziemy rozmawiać, śmiać się całować.

– Kurde. No nic. Na razie – powiedziałem. Gładko, Page. Jak gładko.

Pochyliłem się. Pocałowałem ją szybko. Na sekundę przycisnąłem czoło do jej czoła, z nadzieją, że ten drobny gest przekaże to, czego nie mogłem powiedzieć na głos: „Bardzo cię lubię”.

A potem się odwróciłem i odszedłem, niepewny, czy cokolwiek z tego, co zrobiłem w ciągu wieczoru, było właściwe. Reflektory autobusu rozbiły mrok, w którym tkwiłem przez ostatnich kilka godzin, i nagle cała sytuacja zaczęła mi się jawić w znacznie gorszym świetle. Przez całą drogę do domu wyglądałem przez okno, trzymałem telefon w zaciśniętej dłoni i zastanawiałem się, czy powinienem do niej napisać i powiedzieć, że było świetnie i bardzo ją lubię. Tyle że wydało mi się to takie tandetne. Jak cios poniżej pasa zadany jej chłopakowi, którego ciało nadal rozkładało się w grobie.

Zdałem sobie sprawę, że to nigdy nie będzie normalna historia miłosna, jeśli coś takiego



w ogóle istnieje. Nawet jeśli żadne z nas nie będzie chciało o nim rozmawiać, Dom na zawsze pozostanie między nami, duch, przed którym nie uciekniemy. Wyczuwałem jego obecność w kinie, wciśniętą między nas. Teraz też go czułem, miałem wrażenie, że jego na wpół rozłożone ciało siedzi na pustym miejscu naprzeciwko i mówi: „Chodzisz z moją dziewczyną, podczas gdy mnie gniją gałki oczne? To wredne z twojej strony”.

Ale przecież mogło być łatwiej. Być może Grace wróci z czasem do dawnej siebie. Znów będzie dziewczyną, której przebłyski czasem w niej widziałem.

Telefon zawibrował mi w dłoni.

GRACE TOWN:

Zainspirowana panem Neesonem, postanowiłam przyjąć ochotniczą pozycję tajnego szeryfa autobusowego. Jak dotąd nie zanotowano niczego podejrzanego. Będę meldować.

HENRY PAGE:

W dalszym ciągu uważam, że to byłby rewelacyjny zwrot akcji, gdyby terrorystą okazał się dzieciak.

Zgadzam się.

I nadal twierdzę, że Neeson powinien grać Qui-Gon Jinnę w każdym swoim następnym filmie.

O wiele łatwiej byłoby mi pełnić funkcję tajnego szeryfa autobusowego, gdybym mogła wykorzystać Moc.

Poczekaj, spróbuję. Kto wie?

I co?

Bez powodzenia.

Ja próbuję od lat. Ale kiedyś. W końcu.

Zawsze jest ciemna strona.

Nie jestem obiektywny w kwestii ciemnej strony. Kiedyś śniło mi się, że Bellatrix Lestrange jest moją dziewczyną, więc wiesz. Ale nie była dobrą dziewczyną. Za bardzo się zafiksowała na tym, by zabić Harry'ego Pottera. Ciągle się kłóciliśmy.

Jaki Ty jesteś biedny.

Potrzebowałem tylko odrobiny zainteresowania, ale nie, ona wiecznie spędzała czas z Voldemortem i Śmierciożercami, planując ludobójstwo i morderstwa dzieci.

Najwyraźniej kobieta miała problemy i potrzebowała pomocy, ale Ty byłeś zbyt skupiony na sobie, żeby to zauważyć. Henry Isaacu Page'u, rozczarowujesz mnie.

Może rzeczywiście powinienem był bardziej ją wspierać... Może mogłem od czasu

do czasu wspomnieć, jak świetnie jej idzie prześladowanie Mugoli. Jeśli jeszcze kiedykolwiek przyśni mi się ten sen, wykażę większe zainteresowanie jej hobby. Czyli mordowaniem nastoletnich chłopców i obsesją na punkcie Czarnych Panów. Może nawet moglibyśmy robić to razem? Para, która razem zabija, razem eksterminuje, świetnie się dogaduje.

W takim razie powodzenia. Chwila prawdy (ale nie znienawidzisz mnie, co?): Nigdy nie czytałam Harry'ego Pottera. Ani nie oglądałam filmów. Mam więc bardzo mgliste pojęcie, o czym mówisz.

ALE. ŻE. CO?

Niestety.

JAKIE TY MIAŁAŚ DZIECIŃSTWO? WYCHOWYWALI CIĘ NAZIŚCI?

Niezupełnie. Nigdy nie przepadałam za fantasy. Zdecydowanie wolę Gwiazdy Śmierci i AT-AT-y niż różdżki i zaklęcia.

Nie wiem... nie wiem, co do Ciebie teraz czuję...

Harry Potter to kluczowy czynnik?

Nadejdzie czas, w którym będziecie musieli wybierać między tym, co słuszne, a tym, co łatwe<sup>[\*13]</sup>, Grace. Czytanie Harry'ego Pottera jest słuszne.

To jakiś cytat, prawda? Kto to powiedział? Dumbledore?

JAK ŚMIESZ ZAJMOWAĆ JEGO MIEJSCE<sup>[\*14]</sup>.

Przestałam rozumieć, co piszesz.

Dotarłam do domu w rekordowo krótkim czasie!

To dobrze. Idę spać. Miałem zamiar wysłać Ci bardzo romantycznego GIF-a z filmu Legendy telewizji 2, ale musisz sobie na to zasłużyć, a dzisiaj straciłaś sporo punktów w związku z tą profanacją literacką, którą wykazałaś.

Bosko. Dzięki za kino. Do jutra.

Pa, pa.

## ROZDZIAŁ 17

Pierwsze, co zrobiłem rano, to napisałem do niej wiadomość:

HENRY PAGE:

Masz ochotę wpaść dzisiaj na kolację, Town? Zamierzam ubiegać się o Twoje względy za pomocą mojej biegłości kulinarnej.

GRACE TOWN:

Bosko, Page. Pozwolę Ci dla mnie gotować, chociaż wiedz, że nie umywasz się do zdolności kucharskich mojej mamy.

(To była odpowiedź twierdząca).

(Poza tym moja matka nie potrafi gotować).

Super. To do zobaczenia na zajęciach teatralnych.

Zastanawiałem się, czy nie dodać na końcu x oznaczającego całusy, ale nie byłem pewien, czy nasza znajomość wkroczyła już na ten poziom. Ostatecznie zniechęciła mnie myśl, że Grace nie odwzajemni mojego x. Zostałem w łóżku, na zmianę budząc się i zasypiając, aż w końcu mama wrzasnęła z góry: „Żyjesz, Henry?”, i musiałem zwlec się z wygodnej pościeli, i niechętnie się ubrać.

Tymczasem na górze moi rodzice robili to, co zwykle rano: mama już włożyła błękitną garsonkę i upięła jasne włosy, gotowa do kolejnego dnia pracy w galerii. Tata był owinięty absurdalnie puszystym białym szlafrokiem, na końcu nosa balansowały mu okulary w czarnych oprawkach. Rodzice siedzieli po przeciwległych końcach stołu, jak najdalej od siebie, i czytali wiadomości – każde na własnym iPadzie.

- Matko. Ojczy. Mam wiadomość do przekazania – ogłosiłem.
- Tata podniósł głowę znad artykułu o jednej z Kardashianek.
- Idziesz na wojnę? – zapytał. – Z którego wieku przemawiasz?
- No dobrze. Słuchajcie, starzy, szykuje się tweet na żywo. Lepiej?
- O Jezu. Wróćmy proszę do drugiej wojny światowej – powiedziała mama.
- O co chodzi, młody? – zapytał tata.
- Mogę dzisiaj ugotować coś na kolację?
- Skarbie, przecież jedyne, co potrafisz zrobić, to minipizze – zauważyła mama.
- Wiem. Dlatego właśnie zrobię pizzerki dla wszystkich, o ile kupicie składniki. Poza tym
- odchrząknąłem – przyjdzie pewna dziewczyna.
- Macie jakąś pracę grupową do przygotowania do szkoły? – zainteresowała się mama.
- Udziela ci korepetycji? – zapytał tata.
- Sprzedajesz jej coś?
- Zwabiłeś ją do nas pod fałszywym pretekstem?
- Myślisz, że jest zainteresowana naszym majątkiem?
- Zastosowałeś szantaż?
- To narkomanka?
- Przewróciłem oczami.
- Ha, ha, jesteście oboje szalenie zabawni.
- Też tak uważamy – powiedziała mama, a tata przybił jej piątkę. (No dobra, cofam to, co mówiłem o fajnych rodzicach).
- To kto to jest? – zapytał tata.
- Ma na imię Grace. I eee... razem wydajemy szkolną gazetę.
- Och, Henry. Nie słyszałeś nigdy tego powiedzenia: Nie sraj w talerz?
- Justin, to obrzydliwe – skrzywiła się mama.
- Nigdzie nie sram – odparłem.

– No cóż – ciągnął tata. – Podejrzewam, że to jest ten moment, w którym należy powiedzieć: „Żadnego seksu, dragów i rock’n’rolla pod naszym dachem”, ale wychowywaliście tutaj swoją siostrę, więc jestem pewien w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, że to wszystko już się zdarzyło.

– Rzeczywiście kiedyś znalazłem torebkę z białym proszkiem w paszczy łosia – odparłem, gładząc się po brodzie.

– Sam widzisz – powiedział.

Mama wstała, opróżniła talerz, pocałowała mnie w głowę i podeszła do zlewu.

– My kupimy składniki, ty zrobisz minipizze. I powiem „żadnego seksu, dragów rock’n’rolla pod naszym dachem”, nawet jeśli twój ojciec nie chce tego zrobić.

Poklepałem ją po plecach.

– To i tak mnie nie powstrzyma przed wciąganiem koki rozsypanej na ciele prostytutki jednocześnie słuchaniem Led Zeppelin, ale dobrze, przynajmniej próbowaliście. Mama pokręciła głową.

– Mój Boże, czasem się zastanawiam, w którym miejscu popełniliśmy błąd w waszym wychowaniu.

\*

Kiedy pojawiłem się w domu razem z Grace, rodzice właśnie rozpakowywali zakupy. Oboje mieli na sobie kostiumy ze *Star Treka*, uszy Wolkan i tak dalej.

– Nie – powiedziałem na ich widok. – Mój Boże, to nie dzieje się naprawdę.

Dzień już i tak był wystarczająco dziwny. Jak zwykle przeszliśmy pieszo do domu Grace, ale ledwo skręciliśmy w jej ulicę, wypuściła powoli powietrze z płuc i położyła mi dłoń na piersi. Znajdowaliśmy się jeszcze dość daleko, ale ona już wyczuła zaburzenie Mocy – niewielki samochód z karoserią w trzech różnych kolorach, zaparkowany obok jej hyundaia.

– Zostań tu – szepnęła.

– Kto to jest?

– Zostań tu, jeśli chcesz, żebym cię podwiozła.

Zabrzmiało to niemal prawie tak samo jak: „Zostań tu, jeśli chcesz, żebym ci darowała życie”.

Usiadłem więc na krawężniku i patrzyłem, jak Grace idzie, kulejąc, i znika w swoim smutnym szarym domu. Nie było jej długo, pewnie ze czterdzieści pięć minut, i już się zacząłem zastanawiać, czy mam dzwonić na policję, czy raczej wracać do siebie, kiedy jakaś kobieta w tlenionych włosach otworzyła z hukiem drzwi wejściowe i ruszyła przez trawnik. Chwilę później wycofała swój zdezelowany samochód tak szybko i gwałtownie, że uderzyła w stojący po drugiej stronie ulicy kosz na śmieci, a potem odjechała z piskiem opon.

– To była twoja mama? – zapytałem, gdy Grace wyłoniła się w końcu jakieś dziesięć minut później. Usta miała zaciśnięte w wąską linię, w ręku trzymała kluczyki.

– Nie. Tak. Nieważne.

– Jesteś do niej podobna.

– Jestem podobna do czterdziestopięcioletniej alkoholiczki łamanej przez miłośniczki amfy?

– O Boże, Grace. Ja nie...

– Wiem. Nie szkodzi. Jedź.

– Mieszkasz z ojcem?

Milczała.

– Nic o tobie nie wiem, a ty nie chcesz nawet odpowiedzieć na moje pytanie.

– Wiesz, jaka jest moja ulubiona piosenka i ulubiony kolor.

- Nie jesteśmy w przedszkolu. Chcę znać istotne fakty. Nawet te główniane.
- Tajemniczość jest piękniejsza.
- Nie chcę, żebyś była tajemnicza.
- Owszem, Henry. Chcesz.

Najbardziej zabolalo mnie chyba to, że miała rację. Ani ja, ani moi przyjaciele nie musieliśmy nigdy zmagać się z niestabilnymi rodzicami czy rozbitą rodziną. Lola, Murray i ja mieliśmy ogromne szczęście. Najbardziej dramatyczny konflikt rodzinny przeszła Lola w wieku jedenastu lat, kiedy uciekła z domu (niezbyt daleko, bo do mnie). Podczas cotygodniowych lekcji angielskiego organizowanych przez YMCA, mama Loli, Widelene, drobniutka kobieta haitańskiego pochodzenia, dumnie oznajmiła przed całą klasą, że łokieć nazywa się po angielsku „penis”, czego nauczyła ją jej córka. Lola miała spore kłopoty, gdy dowiedział się o tym jej tata. Schowaliśmy się więc pod łóżkiem, jedliśmy ciasteczka Reese’s i oglądaliśmy zdjęcia gołych cycków na laptopie Sadie. Teraz, gdy o tym pomyślę, dochodzę do wniosku, że znacznie szybciej powinienem się był domyślić, iż Lola jest zainteresowana paniami.

Przez całą drogę nie odzywaliśmy się do siebie, a teraz moi rodzice próbowali przynieść mi wstyd, a ja chciałem się na nich rozzłościć, ale żadne z nich nie było ani alkoholikiem, ani miłośnikiem amfy, a ja jakoś wcześniej nigdy tego nie doceniałem. Więc gdy mój tata powiedział: „Żyjcie długo i pomyślnie”<sup>[\*15]</sup>, po czym zasalutował po wolkańsku, zdobyłem się jedynie na słabe: „Proszę. Przestańcie” i uniosłem ręce na znak kapitulacji.

Usta Grace tworzyły wąską kreskę, to była jej próba uśmiechu, ale miała szklane oczy i dalekie spojrzenie zmęczonego bitwą generała, który ma już serdecznie dosyć wszystkiego. Jezu, zapowiadało się naprawdę cudownie.

Odchrząknąłem.

– Grace, rodzice. Rodzice, Grace.

Podczas gdy Grace witała się z moją mamą, tata powiedział:

– Łap, Henry. – A ponieważ rzecz jasna wyrobiłem sobie niesamowity refleks podczas tej jednej jedynej gry w futbol dotykowy, bez namysłu złapałem to, co rzucił. Co okazało się opakowaniem prezerwatyw. – Na wszelki wypadek. Nie chciałbym, żebyście musieli przechodzić przez piekło niechcianej ciąży tak jak my. Oczywiście mówię o ciąży z tobą. Sadie była planowana.

– Wiecie co? Mówię ludziom, że mam fajnych rodziców, a wy wiecznie sprawiacie, że w ich oczach wyglądam jak kłamca z urojeniami.

– Mówisz ludziom, że jesteśmy fajni? – zapytała mama. – No, no. Zabierz mnie stąd, Scotty!<sup>[\*16]</sup>

– Niepotrzebna nam jego akceptacja – odparł tata. – Przecież dobrze wiem, że jesteśmy najbardziej nielogicznymi Wolkanami w mieście.

– Jezus Maria. Grace, proszę cię, powoli się wycofuj. Byle z dala od nich.

– To nara – powiedział tata, a ja chwyciłem Grace za rękę i odciągnąłem od rodziców.

– Miło mi było państwa poznać – rzuciła przez ramię.

– Wcale nie było miło. Nie okłamuj ich.

– Żadnej kopulacji w tym domu, bardzo proszę! – zawołała za nami mama słodkim głosem, po czym dodała już ciszej: – Dlaczego nikt mi nie powiedział, że bycie rodzicem jest takie zabawne?

Wytknąłem jej język, gdy zamykałem za sobą drzwi od piwnicy.

– Przepraszam cię za rodziców.

– Nie przepraszaj. Nie za coś takiego.

– Chcesz pogadać o twojej mamie czy...? – zapytałem, gdy schodziłem po schodach,

pokonując stopnie pojedynczo, tak jak ona.

– Cóż za tupet – odparła, wyjmując mi z ręki prezerwatywy. – Pomyślałam sobie... może mogłabym u ciebie zostać w weekend po imprezie halloweenowej? – zapytała, potrząsając pudełkiem. – Wtedy mogą się przydać.

– Eee... eee...

– To jest ten moment, w którym powinieneś powiedzieć coś uroczego, żeby mnie uwieść.

– Czy gdybyś była marchewką, byłabyś dobrą marchewką?

Grace wybuchnęła śmiechem i cisnęła pudełkiem prezerwatyw przez cały pokój.

– Widzę, że się nie przydadzą.

Podniosłem je i położyłem na stoliku obok łóżka.

– Nie wykluczajmy żadnych scenariuszy – odparłem.

Grace usiadła z boku łóżka, przyciągnęła mnie do siebie i pocałowała.

– Mówię poważnie. W kwestii Halloween. Jeśli chcesz, żebym została, zostanę.

– Nie jestem zbyt dobry w te uwodzicielskie subtelności, więc pozwól, że zapytam z grubej rury: zakładam, że masz na myśli stosunek seksualny?

Przewróciła oczami.

– Tak, Henriku. Bingo.

– Okej. Mnie to pasuje.

– Świetnie.

– Jesteś... znaczy ty i... on? – Rzadko mówiłem o nim po imieniu. – Rozumiem, że nie jesteś...

– Nie, nie jestem dziewczcą.

– Okej. Tylko pytam.

– A ty już kiedyś...

– Ja jestem... znaczy... eee... Nie, nigdy nie parkowałem auta w garażu.

Roześmiała się głośno i ukryła twarz na mojej klatce piersiowej. O ludzie, szło mi wprost cudownie.

– Jeszcze trudniej przychodzi ci mówienie o seksie niż o sobie.

– Co mogę powiedzieć, jestem dżentelmenem.

– Raczej dziwakiem. Seks to podstawowa czynność fizjologiczna. Masz problem z rozmową o oddychaniu albo mruganiu?

– Funkcjonowanie mojego układu oddechowego to niezwykle intymna kwestia. Moment, dokąd się wybierasz? – Pociągnąłem ją za rękę, bo zaczęła wstawać.

– Nie skończyłam jeszcze oceniania twojego pokoju.

– Jak zwykle chodzi o ocenianie – odparłem.

Grace podniosła się i zaczęła obchodzić piwnicę powolnym krokiem.

– Rozglądając się po czymś pokoju można naprawdę wiele się dowiedzieć. Nie sądzisz? Pokój jest jak scena zbrodni. Tyle nieodkrytych wskazówek.

– A jak wygląda twój?

– Może kiedyś się przekonasz. A chwilowo pozwól, że zaangażuję moje umiejętności detektywistyczne rodem z *Kryminalnych zagadek Las Vegas* i dowiem się, kim tak naprawdę jesteś.

– No i? – zapytałem po kilku minutach słuchania, jak nuci melodię z czołówki tego serialu. – Kim jestem?

Odchrząknęła.

– Sądząc po wyposażeniu wnętrza oraz po sprzętach elektronicznych sprzed dziesiątek lat – odparła, po czym włożyła moje okulary przeciwsłoneczne, parodiując w całkiem udany sposób

Horatia Caine'a – wnioskuje, że to musi być kryjówka miłośnika teorii spiskowych. Zapewne wierzysz, że prezydent jest zmiennokształtnym reptilianinem.

– Gadasz bzdury. To rodzina królewska należy do jaszczuroludzi. Prezydent jest najzwyczajniejszym w świecie warlockiem.

– Nie, no jasne. Przepraszam. A to, co takiego? – zapytała, pokazując na małą zabytkową gablotkę, w której mój pradziadek trzymał swoją kolekcję absyntu i akcesoriów do jego spożywania, zanim zostały zakazane w Holandii. Wówczas mój pradziad zwinął swoje rzeczy przeniósł się z całą rodziną do Stanów.

Na górze gablotki przybito plaketkę w kształcie transparentu. „Matigheid is voor de dōden”, głosił napis. Umiar jest dobry dla umarłych. Johannes van de Vliert pozostał wierny swojej filozofii życiowej i zmarł w wieku czterdziestu siedmiu lat na marskość wątroby. To był mój absolutnie ulubiony przodek.

– Najlepsza rzecz w tym pomieszczeniu. Nie licząc ciebie, oczywiście.

– To gablotka... pełna śmieci...

– To nie śmieci! – Zerwałem się z łóżka i podszedłem do mebla pełnego skarbów, które gromadziłem od czasów szkoły podstawowej. – Grakov Town, ty okropny prostaku. To gabinet osobliwości. Te miseczki to moje ulubione przedmioty. Kiedy byłem w gimnazjum, przeczytałem w podręczniku od plastyki o technice zwanej Kintsukuroi. Słyszałaś o niej? – Grace pokręciła głową. – To stara japońska sztuka naprawiania potłuczonej ceramiki złoconą laką. Japończycy skleją wszystkie elementy, a potem pokrywają pajęczynę połączeń złotymi żyłkami. Robią tak, ponieważ wierzą, że czasem coś, co pękło, wydobywa swoje prawdziwe piękno.

Grace podniosła jedno ze sklejonych naczyń. Miałem ich łącznie jedenaście. Parę dostałem od Loli w ciągu wielu lat naszej znajomości, parę przywiozła mi mama z wypraw do Japonii, niektóre kupiłem na eBayu albo Crigslist za swoje kieszonkowe. W gablocie znajdowały się także inne przedmioty, wszystko w jakiś sposób zniszczone, skrzywione albo wypaczone. Srebrna bransoletka, którą Sadie dostała na prezent, a która miała koślawe połączenie. Puszka coli ze złym nadrukiem.

– Szkoda, że ludzi nie można tak posklejać złotem – odezwała się Grace, obracając miseczkę w rękę. Nie byłem pewien, czy mówi o sobie, czy o swojej mamie, czy może jeszcze o kimś innym. I raczej nie miałem się tego dowiedzieć, ponieważ Grace Town lubiła tajemnice. Nagle dotarło do niej, że nie został nawet ślad po wcześniejszej lekkiej atmosferze, przytłoczonej teraz czymś znacznie cięższym, więc odstawiła naczynie. – Zdajesz sobie sprawę, że to jest jedynie minimalnie mniej przerażające niż zbieranie laleczek Cabbage Patch Kids, prawda?

– Nic nie wiesz o świecie, moja droga. Kobiety uwielbiają Kintsukuroi.

Próbowała – bezskutecznie – się uśmiechnąć.

– Zrobimy kolację? – zapytała. – Umieram z głodu.

– Pewnie – odparłem. – Pewnie.

Pomogła mi przygotować pizzę. To znaczy, tak jakby mi pomogła. Kuchnia była dla niej zupełnie obcym miejscem, a Grace sprawiała wrażenie, jakby nigdy nie postawiła w niej nogi. Musiałem jej we wszystkim asystować. Pokroiłabyś pomidory? Jeśli chcesz, możesz zetrzeć ser. Po każdym zadaniu odsuwała się na bok, obserwowała mnie w milczeniu i czekała na dalsze instrukcje.

Gdy danie znalazło się w piekarniku, wróciliśmy do piwnicy i położyliśmy się na moim łóżku, jednak tak, żeby się nie dotykać. Wbiliśmy wzrok w sufit.

– Co chciałybyś z tego mieć? – zapytałem w przypływie nagłej odwagi. Byłem autentycznie ciekaw. Co chciałyby na tym zyskać? Czego oczekiwała ode mnie?

- Nie wiem – odparła, nie patrząc na mnie. – A ty?
- Wiesz, czego ja chcę.
- Nie jestem pewna, czy rzeczywiście wiem.
- Ciebie.

Uśmiechnęła się lekko, ale nie odpowiedziała: „A ja ciebie”.

Podczas kolacji zachowywała się dość dziwnie w towarzystwie moich rodziców, jakby uciekły z niej wszelkie przyjazne uczucia. Odzywała się tylko wtedy, gdy ktoś ją o coś zapytał, i nie śmiała się ani nie uśmiechała we właściwych momentach. Jadła niewiele, mówiła jeszcze mniej.

Gdy około dwudziestej trzeciej odprowadziłem ją w końcu do drzwi i patrzyłem, jak znikła w ciemności, kierując się w stronę cmentarza, niemal czułem ulgę, że wreszcie sobie poszła. Bałem się, że moi rodzice źle odbiorą pierwszą dziewczynę, którą przyprowadziłem do domu.

Wróciłem do środka. Rodzice byli w kuchni, razem wkładali naczynia do zmywarki. Usiadłem w milczeniu przy blacie, czekając na opinie, które – jak dobrze wiedziałem – miały się pojawić, czy tego chciałem, czy nie.

– Jest bardzo ponura i melancholijna – powiedziała mama po chwili. – Chociaż śliczna.

– Tak uważasz? – zapytałem, zaskoczony. Prędzej już określiłbym w ten sposób wampira, ale nie Grace. – Nie zauważyłem.

– Ładnie się uśmiecha, jeśli się uśmiecha. Dziwna dziewczyna.

– Dziwność to nieodłączny element piękna – odparł tata, obejmując mamę w talii. Mama pokiwała głową, ale się od niego odsunęła. Przyglądałem się im przez następne dziesięć minut, patrzyłem, jak się przemieszczają po kuchni, w ogóle się przy tym nie dotykając, jakby nic ich do siebie nie ciągnęło. Uświadomiłem sobie wtedy, że już dawno nie widziałem, żeby się całowali, trzymali za ręce albo odstawiali powolny taniec, gdy sądzili, że nikt ich nie widzi. Tak jak to było, gdy byłem dzieckiem.

Dawno, naprawdę bardzo dawno.

W ciągu kolejnych trzech dni niemal non stop widywałem się z Grace. Rano, przed lekcjami, spotykaliśmy się w redakcji, pracowaliśmy nad gazetką i nieustannie sobie dogryzaliśmy. Kupiliśmy zestaw do badmintona, a na biurkach trzymaliśmy oprawione w ramki idiotyczne rodzinne zdjęcia przedstawiające nas z Rickym Martinem Knuppsem II. Podczas przerwy obiadowej chodziliśmy razem do McDonalda, czytaliśmy sobie nawzajem fragmenty książek z biblioteki (ja zawsze *Harry'ego Pottera*; ona zawsze poezję) albo spacerowaliśmy po najdalszych zakątkach boiska, kopaliśmy ostatnie jesienne liście i urządzaliśmy burze mózgów, analizując rozmaite kretyńskie tematy do gazety, zdając sobie sprawę, że nic nie jedliśmy dopiero wtedy, gdy dzwonił dzwonek na lekcję.

Po południu, po zajęciach i pracach redakcyjnych, robiliśmy to, co stało się już niemal rytuałem. Szliśmy pieszo do jej domu, ja czekałem na zewnątrz, ona wchodziła po kluczyki, po czym jechaliśmy do mnie, ja za kierownicą. I wtedy następowała całkowita przemiana. W chwili, w której zachodziło słońce, Grace stawała się zupełnie inną osobą, jakby promienie ją zasilały, a bez nich traciła energię, uwidaczniała się w niej pustka. W czwartek weszła do mnie do domu i siedziała zakłopotana, trzymając się Loli tak, jakby była kołem ratunkowym. W zasadzie nie odzywała się do Murraya i rzadko angażowała się w rozmowy. Gdy nie było nikogo, tryskała życiem, rozświetlała całe pomieszczenie swoją błyskotliwością i dowcipem. W obecności innych zupełnie traciła swój blask.

– Uwierz mi, kiedyś byłem w tym dobra – powiedziała, gdy Muz już sobie poszedł, zapewne święcie przekonany, że Grace go nienawidzi. – W kontaktach towarzyskich, znaczy.



Nie miałam z tym problemu.

– Pewnie jest ci trudniej. Bez niego. Prawda? – To była jedna z tych rzadkich sytuacji, kiedy ktoreś z nas przyznawało głośno, że przede mną był ktoś, kogo już nie było.

Grace pokręciła głową.

– Trudniej? Nie. Po prostu o tym zapominam. Zatracam się w myślach i zapadam się coraz głębiej w przepaść. Zapominam, że świat istnieje.

W tym momencie powinienem był zapewne powiedzieć coś w rodzaju: „Ależ to brzmi zupełnie jak opis choroby psychicznej, powinnaś udać się na terapię i zacząć przyjmować leki”. Nie zrobiłem tego jednak, nie chciałem bowiem, żeby Grace była chorą, załamana, cierpiącą na depresję dziewczyną. Chciałem, żeby się uczesała, wyprała ubrania, była silna, zdrowa i radosna.

Wolałem udawać, że tak właśnie jest.

Powoli, godzina po godzinie, wielkie odliczanie do Halloween dobiegło wreszcie końca i zaczęła się cała ta maskarada. Nasza ulica przeobraziła się w aneks cmentarny, wszędzie widać było groby, pajęczyny i kościotrupy. W sobotnie południe miałem wrażenie, że przed domem rozpętała się jakaś spektakularnie kiczowata apokalipsa. Sadie przyproceedziła Ryana, żeby na trawniku wycinał wzory w dyniach, ale ja byłem w stanie myśleć jedynie o imprezie. Czy raczej o tym, co miało nastąpić po niej, a na co byłem zupełnie nieprzygotowany psychicznie.

– Chłopcze, co ty robisz z tą dynią? – zapytała Sadie, przyglądając się bacznie mojemu dziełu. Moja siostra wyglądała dość diabolicznie: dredy, skórzana kurtka, wielki nóż w jednej ręce i dynia przytrzymywana udami. Moja dynia okazała się miękka, a mój nóż tępawy, co dało efekt, jakbym próbował w niej rzeźbić, strzelając z bliska z wiatrówki z obciętą lufą.

– Wygląda gorzej niż dynia Ryana, a u niego nie rozwinęły się jeszcze przecież zdolności manualne. Bez obrazy, Ryan – dodała.

– Bardzo ci dziękuję, ale to surrealistyczna interpretacja tradycyjnej dyni halloweenowej.

– Gdyby mogła mówić, szepnęłaby tylko: „Zabijcie mnie”, a potem rzygnęła dookoła mięszem i ziarnami.

Westchnąłem i odłożyłem nóż.

– Suda, wiem, że to nieetyczne, ale czy byłabyś w stanie skombinować mi valium ze szpitala?

– A na cóż ci valium, drogi chłopcze?

– Jakby tu powiedzieć? Grace przychodzi po imprezie. Będzie u mnie spała. Po raz pierwszy.

– Ojoj! Ktoś tu szybko dorósł!

– Złaż ze mnie, diablico! – Próbowałem odepchnąć moją siostrę, bo zgniatała mi zebra w uścisku. Jej dynia pokulała się właśnie przez trawnik. – Żałuję, że ci powiedziałem.

– Nie stresuj się za duzo. Ludzie się bzykają od milionów lat. Masz gumki?

– Taaa. – Skrzywiłem się.

– A wiesz, jak je zakładać?

– Jezus Maria, Sadie. Tak.

– I chcesz z nią uprawiać seks?

– Jest chętną istotą płci żeńskiej, a ja jestem nastoletnim chłopakiem. To było zbyteczne pytanie.

– Wcale nie. Słuchaj, nie musisz kogoś kochać, żeby tracić z nim dziewictwo, ale powinieneś znać tę osobę, ufać jej i czuć się swobodnie w jej obecności, a przede wszystkim bardzo, ale to bardzo chcieć się z nią przespać.

– No tak. Chyba. To znaczy, tak. Chcę z nią być.

– Wiem, że to głupie i banalne pytanie, ale czy czujesz się gotowy? Bo wiesz, seks to nie jest nic wielkiego, ale z drugiej strony to nie jest też nic małego.

– Myślę, że jestem gotowy? – Wcale nie chciałem, żeby zabrzmiało to jak pytanie.

– To dobrze. Bo to najważniejsze. Całą resztę zostaw biologii. A teraz oddaj mi tę biedną dynię, zanim zrobisz z niej całkowitą miazgę.

\*

Grace zjawiała się wieczorem, żeby zrobić mi makijaż. W ręku trzymała niedużą, ale bardzo wymowną torbę.

– Będzie okej, jeśli zostanę na noc? – zapytała, widząc, że się wpatruję w jej bagaż.

– Tak. Oczywiście, że tak. – To nie tak, że nie chciałem się z nią kochać.

Odkąd skończyłem dwanaście lat nie przestawałem myśleć o uprawianiu seksu.

– To dobrze – odparła, po czym wyjęła z torby całą paletę farbek do twarzy i butelkę ze sztuczną krwią. – To jak, chcesz być zombie czy ofiarą wypadku drogowego? Bo to jedyne efekty specjalne, w jakich jestem dobra.

Mój wzrok powędrował w stronę opartej o moje łóżko laski.

– Eee... ja... nie...

– To był żart, Henry.

– Och... – Z trudem wydałem z siebie nerwowe „ha”. Żartowanie ze strasznego wypadku, w którym zginął twój chłopak. Po prostu przezabawne. – Chyba zombie.

Przez następną godzinę siedziałem na krawędzi łóżka, a Grace poruszała się dookoła mnie, starając się unikać kontaktu na swój sposób sztywnej marionetki. Jednocześnie nakładała mi na twarz płynne lateksowe rany i efekty specjalne w postaci rozkładu. Zdaję sobie sprawę, że to nie była najbardziej romantyczna sytuacja z możliwych, jednak czułem się niemal jak w szpitalu, kiedy tak unikała dotyku.

Spodziewałem się, że sama przebierze się w coś kompletnie dziwaczного, za jakąś nieznaną nikomu postać literacką albo bohatera osiemnastowiecznego obrazu impresjonistycznego. Ale kiedy podarłem starą koszulkę i oblałem się sztuczną krwią, ona zeszła z góry w seksownym kostiumie wampirki, a z kącika ust ciekła jej wąska strużka krwi.

Po raz pierwszy ujrzałem ją w ubraniu, które podkreślało kobiecą sylwetkę, i muszę przyznać, że byłem zszokowany. Miała długie, szczupłe nogi, włożyła ciemne pończochy, czarny koronkowy gorset podkreślał jej talię i uwypuklał biust, nadając jej figurę, której w życiu nie spodziewałbym się zobaczyć u uczennicy szkoły średniej. Uczesała włosy i upięła czarną siatką, która opadała jej na czoło oraz pomalowane mocno oczy. Nawet laskę obwiązała czerwoną wstążką.

Była mrocznie piękna, po prostu *femme fatale*, narkomanka, która powstała z martwych – ledwo ją poznawałem w takim wydaniu.

– Szczerze mówiąc, w ogóle zapomniałam o kostiumie, więc wykorzystałam ubiegłoroczny – powiedziała, wzruszając ramionami. – Żenada.

– Skądże. Całkowicie popieram.

– Naprawdę? Bo wydajesz się nieco... wstrząśnięty?

– Po prostu się nie spodziewałem... To nie jest strój, który moim zdaniem byś wybrała. A przynajmniej ta ty, którą ja poznałem. Oczekiwałem czegoś, nie wiem, dziwnego, co zrozumie dopiero po dwudziestu pytaniach. Ale wyglądasz cholernie seksownie.

– Grace sprzed roku była kimś zupełnie innym niż obecna Grace.

Popatrzyłem na nią przez chwilę i pokiwałem głową.

– No, wyduś to z siebie, Henry.

– Ale co?

– Cokolwiek dzieje się w tym twoim bardzo tajemniczym umyśle. Widzę, że trybiki pracują jak oszalałe, a ty tylko kiwasz głową. Powiedz to.

– Bo... czasami się zastanawiam... Kurczę, jestem kiepski w tych werbalnych wyjaśnieniach... Czy ta dawna Grace... A jeśli ona jest prawdziwą tobą? W końcu w ogóle jej nie znam. Nic nie wiem na jej temat. Czasami widzą ją w tobie, przebłąski dziewczyny, którą kiedyś byłaś, tylko... Czy ona była udawana i teraz jesteś bardziej sobą, czy raczej Grace, którą znam, stwarza pozory, dopóki nie poczuje się lepiej we własnej skórze?

– Ludzie się zmieniają. Na pewno nie jesteś taki sam, jaki byłeś w wieku szesnastu lat.

– Owszem, ale ja nie zmieniłem szkoły i nie chodzę w ubraniach zmarłego chłopaka. Zapadła krótka cisza.

– A więc wiesz – powiedziała cicho, wpatrując się we mnie bez zmrużenia oka. – Prawda wyszła na jaw.

– Przepraszam, nie powinienem był...

– Henry, dobrze wiem, kim chciałbyś mnie widzieć. Trudno tego nie zauważyć.

– Ale co...

– Niekiedy inaczej na mnie spoglądasz. Uważasz, że tego nie widzę, ale tak nie jest. Czasami bardzo mnie lubisz, a czasami niekoniecznie. Ale nie mogę udawać, że czuję się świetnie, bo ty tego chcesz.

– Grace, to w ogóle nie jest tak! W...

– Nie rozmawiajmy o tym dzisiaj, dobrze?

– Chcę cię, cały czas cię chcę.

– Wiem, że tak ci się wydaje, ale czasem nie jestem pewna, którą wersję mnie masz na myśli. Tę, którą jestem. Czy tę, którą byłam. A może wymarzoną dziewczynę Kintsukuroi, którą twoim zdaniem będę za parę miesięcy.

– Przecież sama powiedziałaś, że ludzi nie da się posklejać złotem.

– No właśnie, Henry. No właśnie – odparła, po czym odwróciła się i zaczęła wchodzić powoli na górę, pokonując mozolnie jeden stopień za drugim.

Idąc za nią i kapiąc krwią na podłogę, zapisałem piąty wariant odpowiedzi na pytanie „dlaczego Henry Page nie ma dziewczyny”.

Wersja robocza numer pięć:

Ponieważ, jak się okazuje, i tak trzeba gonić nawet te dziewczyny, które nie mogą uciekać.

## ROZDZIAŁ 18

Pierwsza połowa imprezy była w zasadzie identyczna jak ta u Heslina. Poszliśmy pod szkołę, żeby się napić, tym razem nie z wanny, ale – i absolutnie nie żartuję – z przemysłowego zbiornika na deszczówkę. (Wanna wylądowała na dachu domu Heslina. Na razie nikt się do tego nie przyznał, ja jednak podejrzewam Murraya). Teraz napój miał różowe zabarwienie i podejrzenie się pienił, jakby ktoś wyczyścił zbiornik płynem do mycia naczyń, ale nie zadał sobie trudu, żeby go spłukać, tylko od razu wlał do środka dziesięć skrzynek taniego wina. Na szczęście nie miał tak toksycznego posmaku jak ten poprzedni i po dwóch butelkach byłem już dosyć wstawiony. Grace także – na szczęście, bo nie wiedzieć czemu oboje byliśmy sympatyczniejsi po pijaku.

A potem odłączyliśmy się od grupy i ruszyliśmy do domu znajomego znajomego czyjegoś kuzyna, gościa, który skończył szkołę trzy lata temu. Impreza odbywała się w piwnicy. Dotarliśmy na miejsce przed wszystkimi, Grace znalazła odpowiednio ciemny i ustronny kąt,

żeby nikt nie widział, jak się całujemy, ale ja i tak byłem w stanie myśleć tylko o tym, co będzie później, więc po prostu pilem dalej.

Muzyka rozbrzmiała głośniejsz, w piwnicy zaroilo się od zombiaków, czarownic, piratów oraz wielu seksownych wcieleń całkowicie aseksualnych stworzeń. Pojawiły się więc nastoletnie żółwie Ninja, wykonany z papier-mâché model planety Pluton przyodzianej w bikini, a także Madison Carlson, która – z zupełnie niezrozumiałych dla mnie powodów – przebrała się za puszczałką kolbę kukurydzy.

Grace pochyliła się i szybko mnie pocałowała, a potem wróciła do obserwowania tłoczących się przebierańców.

– Przeszanę chodźć na cmentarz – odezwała się cicho, a jej słowa zabrzmiały odrobinę bełkotliwie. – Nigdy ci o tym nie mówiłam, ale prawie codziennie go odwiedzam. Przeszanę to robić. Dla ciebie.

Zaskoczyła mnie. Zaakceptowałem już obecność ducha Doma jako warunek niezbędny mojego spotykania się z Grace Town. Pogodziłem się z tym, że zawsze będzie się ubierała w jego ciuchy. Zawsze będzie pachniała tak jak on. I zawsze będzie odwiedzała jego grób. A ona właśnie rezygnowała z niewielkiej części Doma.

– Chciałbym, żeby tak było – powiedziałem bez namysłu, bo kiedy to zaproponowała, poczułem, że tego właśnie pragnę. Żeby przestała spędzać tyle czasu ze swoim nieżyjącym chłopakiem, leżąc na trawie ponad jego gnijącym ciałem, wylewając łzy, które przesączają się przez ziemię i spływają na jego trumnę.

– Ale nie chcę, abys odniósł wrażenie, że wybieram ciebie z konieczności czy coś w tym stylu – ciągnęła, wpatrując się przed siebie. – Nigdy z nikim się tak dobrze nie dogadywałam jak z tobą.

Z trudem zwalczyłem pokusę, by zapytać ją, kogo by wybrała, gdyby obok mnie stanął teraz żywy Dom. Nie musiałem, wiedziałem, że jego. Jeszcze długo to miał być on. Może nawet na zawsze. Poczułem, że rana w moim sercu się pogłębia. Grace starała się najlepiej jak umiała przekazać mi swoje uczucia, ale tkwiący mi w sercu odłamek szkła wsunął się jeszcze mocniej w mięsień.

– Wypiłaś trochę. Nie podejmuj dzisiaj żadnych decyzji. Przemyśl to jeszcze, kiedy wytrzeźwiejesz. Chcę, żebyś była pewna. – Chcę, żebyś była pewna, że jesteś gotowa o nim zapomnieć.

Odwróciła się w moją stronę i długo się we mnie wpatrywała, wbijając wzrok to w jedno moje oko, to w drugie.

– Co? – zapytałem po chwili.

– Większość facetów w takiej sytuacji zachowywałaby się jak dupki. A ty jesteś taki wyrozumiały i spokojny.

– Dlaczego miałbym być dupkiem? – W rzeczywistości przybrałem maskę znacznie większego spokoju niż to, co czułem, ale nie mogłem tego wyjawić. Gdyby się dowiedziała, że jestem taki żalorny, zwiewałaby ile sił w nogach. – Przecież od początku niczego nie ukrywałaś – powiedziałem. To znaczy, nie licząc wypadku, nieżyjącego chłopaka, cmentarza oraz ubrań.

Grace znów popatrzyła mi głęboko w oczy, a potem przymknęła powieki, przybliżyła się do mnie i pocałowała. Cały czas na nią patrzyłem, upewniałem się, czy nie podniesie powiek, jakby to miał być dowód na prawdziwość jej słów. Nie otworzyła oczu, a kiedy czułem, że pocałunek zbliża się do końca, zamknąłem własne. I pomyślałem sobie: jak można całować kogoś w taki sposób i nie robić tego szczerze?

– Jak długo musimy tu czekać, zanim pójdziemy do ciebie? – zapytała.

Moje serce przyspieszyło do galopu. No tak. Utrata dziewictwa. Przez chwilę zupełnie tym zapomniałem.

– Najpierw chciałem obejrzeć wszystkie kostiumy. Pokręcić się. Zaczekać, aż moi rodzice zasną.

Ale tak naprawdę – czego jej nie powiedziałem – chciałem, żeby ludzie zobaczyli nas razem, przyłapali, chytrym uśmiechem oskarżyli o bycie kimś więcej niż przyjaciółmi. Chciałem, żeby nasz związek znalazł silne zakotwiczenie także poza nami, jakbym sądził, że im więcej ludzi się o nas dowie, tym Grace będzie miała więcej powodów, żeby ze mną być. Znaleźliśmy się w relacji przypominającej kota Schrödingera, ani żywi, ani martwi, ponieważ nie dokonano aktu obserwacji. Może tak było lepiej? Może lepiej było nie dać się zobaczyć, ponieważ istniało znaczne prawdopodobieństwo, że jeśli zostaniemy przyłapani razem, to zniszczy nasz związek. Zdawałem sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa. W końcu skoro nikt się o nas nie dowie, nikt też nie będzie niczego świadomy, jeśli nam nie wyjdzie. Moje złamane serce pozostanie prywatną sprawą. A jednak byłem gotów podjąć to ryzyko.

Tak więc, kiedy w piwnicy zrobiło się głośno od rozmów, pocałowałem Grace. A potem gadaliśmy, piliśmy i flirtowaliśmy, ponieważ z każdym łykiem alkoholu stawała się bardziej otwarta i mniej spięta. Pocałowałem ją ponownie, z nadzieją, że ktoś, kogo znamy, zobaczy to, pokaże palcem, wykrzyczy nasze imiona.

I w końcu, jakąś godzinę później, tak właśnie się stało.

– Wiedziałem! – zawołał Heslin, a ja poczułem, jak wielka, mocno ściśnięta spirala zdenerwowania, która tkwiła we mnie przez całą noc, nagle się uwalnia. Zostaliśmy zaobserwowani. Pojawiła się osoba z zewnątrz, która mogła poświadczyć, że jesteśmy realni. Że istniejemy. – Kurde, wiedziałem!

– Ciii... – syknąłem na Heslina, bo chociaż chciałem, żeby wiedział, wołałem, żeby Grace o tym nie wiedziała.

Natychmiast się ode mnie odsunęła i wstała.

– Gotowy? Pójdę po moje rzeczy.

Pokiwałem głową i patrzyłem, jak przeciska się pomiędzy tłumem w przebraniu w drodze po kurtkę.

Heslin nadal się do mnie szczyrzył.

– Od jak dawna się z nią bzykasz?

– Nie mów o tym nikomu, bardzo cię proszę. Staramy się nie afiszować. – Uznałem, że nie ma potrzeby informować go, że na razie nie doszło jeszcze do bzykania.

– Twoja tajemnica jest u mnie bezpieczna. – Heslin pochylił się i zmierzył mi włosy. W szkole właściwie ze sobą nie rozmawialiśmy, ale najwidoczniej tajemna wiedza o moim życiu prawie seksualnym wytworzyła bliższą więź.

– Idę jej poszukać – stwierdziłem, wstając.

– Idź, idź – odparł i poklepał mnie po plecach.

Tym samym skończyła się nasza superpozycja kwantowa. Grace i ja nie byliśmy już jednocześnie żywi i martwi. Znaleźliśmy się w jednym z tych stanów, ale w którym, to się miało dopiero okazać.

Szliśmy razem do mojego domu w ciemności, podpici. W tym częściowym odurzeniu, świadomy tego, czego się za chwilę podejmiemy, wreszcie zebrałem się na odwagę i zrobiłem to, co na miałem ochotę. Popchnąłem ją na ogrodzenie z siatki oplecionej winoroślą i pocałowałem – bardziej wygłodniałe niż kiedykolwiek wcześniej. Całowałem ją po szyi, obojczyku, przesuwając dłonie po jej biodrach i udach. Odpowiedziała jękiem, przeczesła palcami moje włosy, wczepiła się w nie, przywarła do mojego ciała. Zatopiła sztuczne zęby w mojej szyi,

na tyle mocno, że zabolalo, ale nie tak, by przebić skóre.

– Zabierz mnie do domu, Henry – powiedziała. Kącik ust nadal miała ubrudzony od sztucznej krwi. A potem się odwróciła i ruszyła przed siebie, a ja – rzecz jasna – poszedłem za nią, obejmując ją w pasie, całując przez całą drogę. Udało nam się zejść do piwnicy, nie budząc rodziców, po czym nadeszła pora na uprawianie Seksu.

Najpierw usiedliśmy na łóżku i zmyliśmy cały makijaż. Oderwałem z siebie koszulkę i wytarłem z klatki piersiowej zaschniętą krew. Zacząłem się zastanawiać, czy wyglądam podobnie jak on po wypadku. I czy ona właśnie o tym myśli, czy raczej jednak o mnie. Później siedzieliśmy jeszcze chwilę w milczeniu, rozważałem nawet, czy nie wyłączyć lampy, bo może w ciemności byłoby łatwiej.

Ale Grace wiedziała, co robi. To nie była dla niej nowość.

Usiadła na mnie okrakiem, pocałowała mnie i zaczęła rozpinąć gorset.

– O, cholera – powiedziałem cicho, gdy go zdjęła, ponieważ była cudowna, a cała moja niepewność rozplynęła się na widok jej nagich piersi.

Jeszcze trochę się całowaliśmy, po czym zabrałem się do zdejmowania jej pończoch. Koniuszkami palców musnąłem blizny. W górnej części ud miała wycięte dwa duże czerwone kwadraty skóry.

– Zabrali do przeszczepu – wyjaśniła, gdy ich dotknąłem. – Pierwszy się nie przyjął, musieli powtórzyć.

Zsunąłem jej pończochy do końca i rzuciłem za siebie. Najgorsze blizny miała na łydce, gdzie skóra i mięśnie były wklęsnięte, pokryte czymś, co wyglądało jak wierzchnia warstwa oskubanego kurczaka. Ta noga stanowiła ledwie połowę drugiej, była chuda, obolała, wyglądała krucho. Na zdrowej skórze widniały świeże siniaki i pręgi, pamiątka po jej ostatniej wyprawie na bieżnię w East River.

Niewiarygodne, że w ogóle mogła chodzić.

– Już raz wymienili śruby. Za parę lat może w ogóle je wyjmą. Nie wiem. Może w końcu uda im się posklejać Humpty Dumpty.

Pochyliłem się i pocałowałem czerwoną skórę na jej łydce.

– Jesteś idealna.

I wtedy się zaczęło.

Nie było jakoś wyjątkowo romantycznie. Nie grała muzyka w tle, nie płonęły świece. Nie przypominało to żadnej z tych komedii romantycznych, w których ukazane są przelotne dotknięcia i palce zaciskające się na śnieżnobiałej pościeli. Ani nawet filmów porno, które oglądałem. Było cudowniej, ciszej, bardziej intensywnie i niezręcznie. Tylko ja, ona i nic poza nami.

Rano spędziłem sporo czasu, szukając w Internecie odpowiedzi na pytanie „jak być dobrym w seksie”, ale to, czego się dowiedziałem, nie okazało się zbyt przydatne. Natychmiast zapomniałem o wszystkim, o czym poinformowała mnie strona Ask.Men.com, zamiast tego robiłem to, co wydawało mi się właściwe.

A potem było już po. Moje dziewictwo stało się przeszłością. Co prawda, nie słychać było żadnych spektakularnych jęków, ale nie mogło być najgorzej, ponieważ Grace oznajmiła:

– Było tysiąc razy lepiej, niż sobie to wyobrażałam.

Nie wiedziałem, czy powinienem być zadowolony, że wyszło przyzwoicie, czy raczej urażony, iż spodziewała się katastrofy. Grace położyła mi głowę na ramieniu, a ja pocałowałem ją w czoło i leżeliśmy w ciemności, nadzy, niezdolni do zaśnięcia.

Kiedy Grace uznała w końcu, że zapadłem w sen, rozplakała się. Czuję jej drzenie, gdy próbowała zapanować nad oddechem, i jej ciepłe łzy na mojej skórze. Zaszlochała raz, a potem

otarła oczy i się uspokoiła. Szepnęła: „Tęsknię za tobą” i powoli, rytmicznie oddychając, zasnęła.

Leżałem tak jeszcze przez godzinę, gapiąc się w sufit. Jej łzy wysychały na mojej klatce piersiowej, a ja się zastanawiałem, czy chce mi się wymiotować, ponieważ jestem pijany, czy dlatego, że dziewczyna, z którą właśnie straciłem dziewictwo, prawdopodobnie przez cały ten czas myślała o swoim zmarłym chłopaku.

## ROZDZIAŁ 19

Kiedy obudziłem się rano, Grace już zdążyła wstać i ukrywała ciało pod kolejnymi warstwami ubrań Doma. W nocy prawdziwy motyl, teraz znów chowała się w swoim kokonie. Udawałem, że śpię, ale przyglądałem się, jak pakuje kostium wampirki do foliowej siatki i upycha go w koszu na śmieci stojącym pod moim biurkiem. A potem wyszła bez pożegnania. Napisałem do niej wieczorem.

HENRY PAGE:

Hej, Town. Tak sobie myślę, że któregoś dnia poszedłbym do kina na nowy film Pixara. Opisują go jako niekoniecznie adresowany do dzieci, ze względu na delikatną przemoc oraz prymitywne poczucie humoru – mam przecucie, że mi się spodoba. Piszesz się na coś takiego?

Wysłałem wiadomość o 20.58. Grace od razu ją przeczytała, zaczęła mi odpisywać, ale wszystko usunęła. Minęło dziesięć minut, potem kolejne dziesięć, a ja nie doczekałem się odpowiedzi. Czy nie wolno mi było się do niej odzywać, chociaż się ze sobą przespaliśmy? Czy może przekroczyłem jakąś niewypowiedzianą granicę w naszym związku (czy jak nazwać to, co nas łączyło)?

Zjadłem kolację. Sprawdziłem telefon. Cisza.

Zmieniła zdanie, zmieniła zdanie, zmieniła zdanie.

Wziąłem prysznic. Sprawdziłem telefon. Cisza.

Zmieniła zdanie, zmieniła zdanie, zmieniła zdanie.

Podjąłem próbę odrobienia lekcji z matematyki. Sprawdziłem telefon. Cisza.

O Boże. Mój Boże. Zmieniła zdanie, zmieniła zdanie, zmieniła zdanie.

Poszedłem spać z poczuciem, jakby ktoś otworzył mi w klatce piersiowej czarny parasol. Płuca miałem wepchnięte pod obojczyki, a tam gdzie wcześniej znajdowały się wszystkie narządy, teraz ziała wielka pustka. W końcu o 23.59, gdy już zapadałem w nieświadomość, Grace mi odpisała:

GRACE TOWN:

Pixar! Pewnie, że się piszę. Rezerwuj. Na razie!

Ledwo usłyszałem wibracje komórki i na wyświetlaczu ukazało się jej imię, a mój krwiobieg załała prawdziwa powódź szalonych endorfin. Nigdy nie byłem od niczego uzależniony, ale pomyślałem, że chyba tak właśnie czuje się ćpun, który rozpaczliwie pragnie się zaciągnąć.

– Edwardzie Cullenie, ty biedny, żaloszny gnojku – powiedziałem na głos, po czym zablokowałem ekran i wbiłem wzrok w sufit. – Nie powinienem był tak surowo cię oceniać.

W poniedziałek po lekcjach minęliśmy z Grace jej dom i pojechaliśmy autobusem do miasta, gdzie odbywał się jesienny festyn gastronomiczno-piwny. Co prawda miałem mnóstwo lekcji, wypracowanie do napisania, no i przydałoby się wreszcie przysiąść poważnie nad szkolną gazetą, ale Grace wydawała się radosna, uczesała się nawet, nie było więc mowy, żebym zrezygnował ze spędzenia popołudnia z tą jej wersją.

Aleja parkowa przeobraziła się w miasteczko stoisk z białym zadaszeniem, pod każdym sprzedawano jedzenie i/lub piwo w rozmaitych smakach. Czysta rozkosz dla hipsterów: meble z palet, staroświeckie czajniczki zwisające z każdej gałęzi, a także stanowisko dla dzieci pod tytułem „Udekoruj swoje hula-hoop”. Zespół Plastic Stapler’s Revenge wkręcił się nawet na koncert i w parku rozbrzmiewały akustyczne rytmy ich piosenek (niestety, ze smutkiem muszę



stwierdzić, że żadna z nich nie dotyczyła mściwych przyborów papierniczych).

– Czegóż skosztujemy, Town? – zapytałem, ale końcówka mojego pytania zginęła zagłuszona czymś okrzykiem.

– Grace?! – zapytał nieznany męski głos.

Oboje natychmiast się odwróciliśmy. Źródłem dźwięku okazał się wysoki, niebrzydki blondyn otoczony wianuszkiem wysokich niebrzydkich kolegów.

– Lyndon! – zawołała Grace i popędziła w jego stronę przez tłum, a on chwycił ją w objęcia. Poszedłem za nią z rękoma w kieszeniach, myśląc po drodze, że nienawidzę imienia Lyndon oraz wszystkiego, co się z nim wiąże.

Przez dobre pięć minut stałem obok Grace, słuchając, jak z nim rozmawia, aż w końcu wzrok chłopaka spoczął na mojej osobie, a Grace przypomniała sobie o moim istnieniu.

– Och, przepraszam! To jest Henry. Pracujemy razem w redakcji szkolnej gazety. Henry, to mój kuzyn Lyndon.

Przywitałem się z nim, dochodząc do wniosku, że może jednak Lyndon wcale nie jest aż tak pretensjonalnym imieniem. Potwór, który próbował wydostać się z mojej piersi od momentu, gdy chłopak zawołał Grace, schował się z powrotem w swojej klatce.

Ja pierniczę, pomyślałem, przyglądając się twarzy Lyndona i dochodząc do wniosku, że rzeczywiście są podobni, a więc łączy ich pokrewieństwo. Czy jestem typem zazdrośnika? Uważałem, że to coś, czego człowiek nie wie, dopóki się nie przekona na własnej skórze. Tak samo jak nikt nie wie, czy jest zdolny do aktów odwagi i heroizmu, dopóki nie zdarzy się coś strasznego, co zmusi go do podjęcia działania. Zawsze sądziłem, że jestem typem nieustraszonego, spokojnego i opanowanego bohatera, w rodzaju Sully'ego Sullenberga<sup>[17]</sup>. Ostatni, który schodzi z pokładu samolotu, ten, który tonie razem z okrętem, i tak dalej. Teraz jednak nie byłem tego aż tak pewien.

Pomyślałem o Tylerze Durdenie i jego słowach: „Co ty możesz wiedzieć o sobie, skoro nigdy nie walczyłeś?”<sup>[\*17]</sup>. I co ty możesz o sobie wiedzieć, jeśli nigdy wcześniej nikt ci się nie podobał? Chyba jeszcze nigdy nie czułem się tak oddalony od samego siebie jak wówczas. W czym ciele się znajdowałem? Czyj mózg tkwił w mojej czaszce? Jak mogłem być sobą, żyć we własnej skórze, nie mając pojęcia, kim tak naprawdę jestem?

Przyszlśmy na festyn z zamiarem zjedzenia czegoś, ale skoro Lyndon i jego kumple mieli po dwadzieścia kilka lat, daliśmy im pieniądze, żeby kupili cydr z przyprawami i grzane wino. Usiedliśmy wszyscy razem pod drzewem, a gdy alkohol dostał się do mojego krwioobiegu, miałem wrażenie, że setki światełek rozwieszonych wokół parku połączyły się w jedną iluminację. Podzieliliśmy się tym, co kupiliśmy na różnych stoiskach – pikantną, kwaśną zupą z namiotu tajskiego, tajemniczym mięsem w miodzie z oświetlonego czerwonymi lampionami stanowiska chińskiego, przezroczystymi rulonami papieru ryżowego zanurzonego w gęstym słodkim sosie, kupionymi od Wietnamczyka.

Kiedy o dziewiątej dostałem SMS-a od taty z informacją, że po mnie przyjechał, żołądek wydawał mi się taki pełny, a powieki takie ciężkie. Podniosłem się z trawy, na której leżałem, wpatrując się w migoczące światełka nad głową, i pożegnałem się z Grace, która w tej złocistej poświacie wyglądała nieprzyzwoicie pięknie. Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, że Lyndon nas obserwuje, więc choć zwykle całowaliśmy się na pożegnanie, starałem się zachować beznamiętnie. Być może nawet nazwałem ją „starą”.

– Muszę lecieć, stara. To do jutra – rzuciłem, pożegnałem się z pozostałymi i ruszyłem przed siebie, trzymając ręce w kieszeniach. Odwróciłem się tylko raz. Grace patrzyła w moją stronę. Spodziewałem się, że odwróci wzrok, ale tego nie zrobiła, a ja nie byłem pewien, co to może oznaczać. Czy powinienem był do niej wrócić, czy jednak nie. W każdym razie siedziała

z kuzynem, a my nie byliśmy razem, a na czymkolwiek tak właściwie polegał nasz związek, świat nie miał się o nim dowiedzieć. Bałem się, że jeśli się cofnę i pocałuję ją tak, jak bym tego pragnął, to będzie niewłaściwe posunięcie i ona się rozzłości. Odwróciłem więc głowę i szedłem dalej. Wkrótce pochłonął mnie tłum. Pomyślałem sobie, że Sully Sullenberger z pewnością by do niej wrócił i porwał ją w objęcia, a ja zachowuję się jak zazdrosny tchórz.

W drodze powrotnej do domu tata opowiadał mi, jak spędził dzień, a ja starałem się za wszelką cenę nie pokazać po sobie, że piłem. W pewnym momencie moja komórka zawibrowała.

GRACE TOWN:

To było okropne pożegnanie. Kino nadal aktualne?

HENRY PAGE:

Nie wiedziałem, czy mogę Cię pocałować przy kuzynie, czy nie. Wpadłem w panikę i się wycofałem. Nie wiem, czy w dalszym ciągu mamy się nie afiszować ze sobą. Przepraszam.

Kino jak najbardziej. Czwartek, 19.30. To obok mojego domu. Po szkole możemy u mnie posiedzieć i coś zjeść.

Jestem za. Ale sama nie wiem, co powinniśmy robić.

Jesteśmy oboje beznadziejni. Aż się nie chce wierzyć, że Hink powierzył nam takie odpowiedzialne stanowiska.

W środę o szóstej rano obudził mnie telefon od Grace.

– Co się stało? Nic ci nie jest? – zapytałem, zrywając się z łóżka, gdy tylko zobaczyłem jej imię na ekranie komórki. Powinienem być odczytać to jako znak, świadectwo tego, jak się nieustannie o nią zamartwiałem. Powinienem być tak to odczytać, ponieważ wiedziałem, że Grace jest lekkomyślna i przytłoczona tym, co się stało, a wewnętrzny głos nieustannie mi powtarzał, że jej rozpacz weźmie kiedyś nad nią górę. Nie żebym sądził, że zrobi sobie krzywdę czy coś w tym stylu. Raczej brałem pod uwagę, że może się celowo rozpuścić w powietrzu, a składające się na nią atomy rozproszy jesienny wiatr.

– Wyluzuj. Po prostu nie mogę spać. Masz dzisiaj coś ważnego w szkole?

Miałem (niedokończone, k... mać!) wypracowanie z angielskiego, spotkanie z Hinkiem w sprawie postępów redakcyjnych, a Hotchkiss już od tygodnia upominał się o zadania z matmy, ale to wszystko wydawało się znacznie mniej istotne niż spędzenie czasu z Grace, więc skłamałem i powiedziałem, że nie.

– To dobrze, ponieważ stoję pod twoim domem. Wybieramy się na spotkanie z przygodą.

– Jesteś tutaj?

Usłyszałem pukanie do okna. Grace kucała po drugiej stronie brudnej szyby.

Wyglądała na zmęczoną i miała na sobie te same ciuchy co poprzedniego dnia.

Kiedy godzinę później mama zeszła do piwnicy, żeby mnie obudzić, udałem, że się źle czuję, a Grace schowała się pod moim łóżkiem. Mama pojechała w końcu do pracy, a wtedy ublażałem ojca, żeby pozwolił mi spędzić ten dzień z Grace, chociaż dobrze wiedziałem, że przy pierwszej sposobności naskarzy na mnie mamie. W końcu niechętnie się zgodził, pod warunkiem że przez cały dzień pozwolę mu grać u siebie w Grand Theft Auto V. Zakazał mi komukolwiek o tym wspominać.

Byłem zszokowany, kiedy wyszliśmy na zewnątrz i ujrzałem samochód Grace zaparkowany nieopodal mojego domu.

– Sama przyjechałaś?

– Niespodzianka.

– Po raz pierwszy od...

– Tak. Nie wiem dlaczego. Obudziłam się w środku nocy i poczułam, że nadeszła pora.

W końcu nigdy nie zagram w *Szybkich i wściekłych* część 11, jeśli nie wrócę do driftingu. – Uśmiechnąłem się, a wtedy powiedziała: – Henry. Nie patrz na mnie w taki sposób.

– Jaki?

– Jakby przed twoimi oczami formowały się właśnie złote spoiwa – odparła, ale nie oskarżycielsko, raczej żartobliwie. – Nie jestem miską.

– Zapamiętać. Nie jest miską.

Ruszyliśmy na północ, minęliśmy przedmieścia i przez ponad godzinę jechaliśmy przez park narodowy, zwalniając przy punktach widokowych, ale nigdy się nie zatrzymując. Na wybrzeżu w ogóle nie było widać, że jest jesień. Pasy plaży prześwitujące między drzewami świeciły bielą, i chociaż sporo gałęzi straciło już liście, wokół rosły też wiecznie zielone drzewa, palmy i zarośla. Mimo chłodu mieliśmy opuszczone szyby, twarz mi zdrętwiała z zimna, w uszach dzwoniło od prędkości.

W pewnym momencie plaża zniknęła zupełnie, zasłonięta lasem, nadal kolorowym niczym szkatułka z klejnotami, chociaż przecież zbliżała się już zima. Znaki drogowe ostrzegały przed krętą szosą i nakłaniały do zwolnienia, ale Grace je ignorowała. Co gorsza, podkreśliła muzykę tak mocno, że nawet gdybym zaczął krzyczeć, i tak by mnie nie usłyszała. A potem jeszcze bardziej przyspieszyła. Przy każdym ostrym zakręcie kostki mi białą od kurczowego przytrzymywania się siedzenia, żeby mnie nie rzucało na boki. Grace hamowała, przyspieszała, paliła gumę i robiła driftingi na zakrętach. A w końcu, zamiast zwalniać pomiędzy nimi, jeszcze bardziej przyspieszała.

Trzymałem się mocno i modliłem do istot boskich, w które wcale nie wierzyłem, żebym tylko nie zginął. Nie w ten sposób. Nie tak jak on. Przez cały czas przed moimi oczami rozgrywały się sceny wypadku. Wielki huk samochodu uderzającego w drzewo i składającego się jak papierowy wachlarzyk. Ciało – moje – wyrzucone przez przednią szybę, szmaciana lalka z krwi i kości. Skóra ścierająca się o asfalt. Pękające kończyny, odłamki kości przebijające skórę na wylot.

Gdy nie jeździła jak szaleniec, Grace wydawała się całkiem dobrym kierowcą. Wierzyłem, że potrafi panować nad samochodem, ale przy takich prędkościach czas jej reakcji nie miałby żadnego znaczenia. Wystarczyłoby zwierzę wbiegające na drogę, nadmierny skręt kierownicy, dziura w jezdni. No i jeszcze ten głos w tyle głowy, nakazujący mi obawiać się o jej bezpieczeństwo.

Jeszcze nigdy nie czułem się tak bliski śmierci. Jeszcze nigdy nie bałem się o własne życie tak bardzo jak wtedy, gdy siedziałem obok niej w samochodzie.

Czy dla niej to się w ogóle liczyło? Grace postrzegła świat jako tymczasowy układ atomów, a w tym kontekście śmierć była tylko ponownym rozproszeniem atomów składających się na naszą cielesną powłokę.

W końcu, w r e s z c i e, zatrzymała samochód przy punkcie widokowym i wyłączyła muzykę. Uśmiechnęła się do mnie szeroko i wysiadła. Dzień był jakiś dziwny. Słońce całkiem mocno przygrzewało, ale wiatr niósł rześki chłód znad oceanu.

– Co to miało być, do cholery? – zapytałem, zatrzymując drzwi. Ręce i nogi dosłownie mi się trzęsły, i to wcale nie z zimna. Staralem się nie pokazywać po sobie, jak mną to wstrząsnęło, ponieważ w głębi duszy podejrzewałem, że może – m o ż e – celowo próbowała mnie wyprowadzić z równowagi. Usiadłem na barierce oddzielającej punkt postojowy od znajdującej

się za nim dzikiej przyrody, oparłem łokcie na kolanach i próbowałem uspokoić oddech. Grace usiadła obok – niekiedy zajmowała pozycję tak platonyczną, jakby była moją siostrą – z chustą zakrywającą pół twarzy.

– Milion razy tędy jeździłam, jeszcze zanim dostałam prawo jazdy – wyznała zza chusty.  
– Znam tę drogę jak własną kieszeń. A nawet lepiej, mogłabym z pamięci powiedzieć, co gdzie się znajduje. Mojej kieszeni w ogóle nie znam – ciekawe, dlaczego tak się mówi.

– Nie możesz jeździć jak wariatka po tym, jak niemal zginęłaś w wypadku!  
– To nie mnie zniosło z szosy, jeśli chcesz wiedzieć, tylko Doma. Zanim zginął, uwielbiałam tę trasę. Powinam znów ją pokochać.

To rozgoryczenie w jej głosie. Nigdy wcześniej nie przedstawiała go w negatywnym świetle, a teraz nagle zaczęła go winić za wypadek, w którym poniósł śmierć. Ale chyba miała prawo się wściekać.

– Ja tylko... Nie możesz z nim być, tak? Nie możesz próbować do niego dołączyć, gdziekolwiek teraz jest, chociaż bardzo byś chciała. Przestań to robić.

– Cholera, Henry. Nie myślałam...  
– Właśnie o to mi chodzi. Nie myślisz. Pokonujesz ostre zakręty z taką prędkością, że palisz opony. To nie było w porządku.

– Chciałam tylko poczuć się jak dawniej – wyjaśniła, a kiedy milczałem, podniosła się z miejsca. – Chodź. Dziesięć minut drogi stąd jest ukryta wśród drzew restauracja. W ramach przeprosin postawię ci obiad.

Gdy to powiedziała, horror ostatniej godziny rozplynął się w powietrzu, a na jego miejscu pojawiło się radosne oszołomienie, które ogarniało mnie zawsze wtedy, kiedy Grace robiła sporadycznie coś miłego, po czym odnosiłem wrażenie, że być może też się we mnie zakochuje. Wiem, beznadzieja.

Restauracja znajdowała się na klifie z widokiem na morze. Zgodnie z obietnicą Grace kupiła mi obiad. Zjedliśmy go na trawie, kąpiąc się w promieniach słonecznych. Podczas jedzenia dostałem wiadomość od Loli.

LOLA LEUNG:

Na litość boską, gdzie Ty się podziewasz?

HENRY PAGE:

Nie bądź taka zaborcza. Jestem w parku narodowym, dzień jest zbyt ładny, żeby siedzieć w klasie.

Natychmiast przywlecż swój tyłek do szkoły albo nakabluję Hinkowi o Twojej bezprzykładności.

Kto dzisiaj używa słowa „bezprzykładność”?

Lepiej wymyśl jakiś zajebisty temat do tej idiotycznej gazety. I nie żartuję, Henry.

Nie uratuję Twojego tyłka, nie zamierzam być bohaterką z konieczności. To dlatego nie noszę maski i nocami nie walczę z przestępcami na ulicach Gotham.

BIERZ DUPEŃ W TROKI.

Nic innego nie robię.

Lepiej, żeby tak było. W przeciwnym razie wrzucę którąś Kardashiankę na okładkę. Albo  
nawet WSZYSTKIE.

Pamiętaj, że mnie też ta gazeta jest potrzebna, by się dostać na studia. Nie  
zapominaj o tym, złamasie.

Sorry, La. Weźmiemy się do roboty.

To dobrze, bo po mojej stronie stoi Widelene Leung, a ona da Ci po łbie, jeśli  
mnie skrzywdzisz. A wie, gdzie mieszkasz.

Przyjąłem do wiadomości.

Kiedy zjedliśmy, jeszcze przez jakiś czas leżeliśmy razem pod bezkresnym niebieskim  
niebem i milczeliśmy. W końcu Grace się odezwała:

– Zaraz wracam.

Patrzyłem, jak wstaje, podchodzi do ogrodu znajdującego się na krawędzi klifu i zrywa  
ostatnie jesienne kwiaty, a potem rusza w górę delikatnie wznoszącego się zbocza ku restauracji.  
W jednej ręce trzymała żółty bukiet, w drugiej swoją laskę.

Nie było jej dziesięć minut, ale w ogóle się nad tym nie zastanawiałem. Ot, jeszcze jedno  
dziwactwo Grace Town.

\*

W czwartek zostaliśmy do późna w redakcji, a potem pojechaliśmy autobusem do małego  
niezależnego kina mieszczącego się nieopodal mojego domu. Przed seansem zjedliśmy hot dogi.  
Grace pobrudziła ketchupem przód koszulki z Ramones, ale nawet nie próbowała tego zetrzeć.

– Będę udawała, że to rana kłuta – oznajmiła, zlizując sos z palców.

Wpatrywałem się w jej wargi i przypominałem sobie, jak była naga.

W kinie robiliśmy to, co zwykle po ciemku. Udawaliśmy, że jesteśmy razem. Grace  
pocałowała mnie, zanim zaczął się film, a potem palcami kreśliła delikatne kółka na mojej dłoni.  
Zupełnie jak chiromantka, niepewna tego, co przyniesie przyszłość, próbując przepowiedzieć  
własny los ze zmarszczek przecinających moją skórę.

Nie wiem, co z nich wyczytała. Być może nic.

Gdy skończył się film, poszliśmy razem do domu. Ręce trzymałem przy sobie. W  
końcu Grace westchnęła ciężko i chwyciła mnie za rękę. Nie odebrałem tego jako zwycięstwa.  
Raczej jako dowód, że nie zdałem egzaminu.

Szliśmy do mnie, trzymając się za ręce, i po raz pierwszy poczułem się tak, jakbyśmy  
naprawdę byli parą. Jakby to wszystko miało jednak mieć jakiś dalszy ciąg.

„Mój Boże – pomyślałem po drodze. – Naprawdę się w niej zakochuję”.

„Nie bądź głupi – odezwał się głos w mojej głowie. – Nie można się zakochać w  
kimś, kogo się zna zaledwie dwa miesiące”.

„Przecież Jack i Rose kochali się pewnie tylko ze cztery dni” – argumentowałem.

„Naprawdę zamierzasz wykorzystać przykład Titanica jako świadectwo, że to wszystko  
się dobrze skończy?” – zapytał

głos. Cholera.

– Dzięki za zaproszenie – powiedziała Grace, gdy dotarliśmy na miejsce.

– Polecam się na przyszłość.

Pocałowała mnie bez entuzjazmu na ścieżce prowadzącej do drzwi mojego domu, jej ciało wydawało się takie ciepłe, mimo chłodu.

Ożenię się z nią, pomyślałem, patrząc, jak wraca do siebie, i uśmiechnąłem się pod nosem, po raz pierwszy bowiem od Tamtego Pocałunku poczułem, że wreszcie coś w moim życiu jest pewne.

## ROZDZIAŁ 20

Minął tydzień. Świetny, pełen dobrych dni Grace. Pracowaliśmy bardzo produktywnie. Nasi współpracownicy dostarczyli treści, które wcale nie kręciły się wokół tematu kotów. Lola zaprojektowała połowę stron. Artykuł o *Magic: The Gathering* został skrócony do pięciu tysięcy słów. Zrobiłem część zadań z matmy, co prawda nic z nich nie rozumiałem, ale liczyło się podjęcie próby.

Kochaliśmy się z Grace ponownie i tym razem nie płakała, co było miłe. Wszystko zaczęło przybierać korzystny obrót.

W czwartek Grace przyszła do mnie do domu na kolację. Siedzieliśmy na moim łóżku w piwnicy, śmiejąc się i dogryzając sobie nawzajem, podczas gdy na górze moi rodzice przygotowywali posiłek. Zacząłem się zastanawiać, czy to jest ten dzień, w którym nasz związek stanie się czymś oficjalnym. „Czy jesteś już moją dziewczyną?”, powtarzałem w myślach – ćwiczyłem, żeby móc wpleść to luźno w rozmowę. A kiedy ona odpowie, że tak, pojawi się publiczny aspekt naszej znajomości.

Wyobraziłem sobie, co wszyscy powiedzą, kiedy zmienimy nasze statusy na fejsie. Nie żeby mi na tym jakoś specjalnie zależało, ale miło było pofantazjować na ten temat. Moi znajomi, którzy wiedzieli od początku o mnie i Grace – to znaczy Lola i Murray – pewnie napiszą coś w stylu: „No wreszcie” albo „Mierzysz za wysoko, stary”. Ci, którzy nie mieli o niczym pojęcia, będą zszokowani. Pomyślałem o komentarzach w rodzaju: „Eee... że CO?” napisanych przez przyjaciół Grace, którzy nigdy mnie nie spotkali. „Tak się cieszę, Grace”. „Cieszę się, że kogoś znalazłaś”.

Z powodów, których teraz nie jestem w stanie sobie przypomnieć, leżeliśmy przytuleni do siebie i czytaliśmy po cichu artykuł w Wikipedii o Matthew Brodericku na ekranie mojego iPhone'a. Okręcałem sobie na palcach pukiel jej włosów i nie posiadałem się ze zdumienia, że kiedykolwiek mogłem myśleć o niej inaczej niż jak o kimś niewyobraźalnie pięknym. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy na zajęciach teatralnych, wyglądała jak ktoś po zmianie strefy czasowej – przypominała człowieka, który przyleciał właśnie z drugiego końca świata, i nie tylko był wykończony i nieświeży, ale żadna komórka jego ciała nie była dostrojona do otoczenia. Teraz bardzo mi się podobało, że jej atomy funkcjonowały na różnych częstotliwościach.

Myśląc o jej atomach, przypominałem sobie od razu jej skórę, potem jej skórę nieprzykrytą żadnym ubraniem, co z kolei dodało mi nagle odwagi.

– Więc jeśli chodzi o całą tę sytuację...

W Grace zaszła wyraźna zmiana. Odsunęła się z mojego ramienia. Przestała czytać o Brodericku. Z jej twarzy zniknął uśmiech. A ja pomyślałem: „Cholera. Cholera! Tylko nie to. Żeby się tylko nie okazało, że znów popełniam błąd”.

– Taaa – odparła. Ale przecież wiedziała, o co chodzi, prawda? Wiedziała, czego pragnę. Od samego początku zdawała sobie sprawę z moich uczuć. Jak mogła tak nagle stać się zimna niedostępna?

– Chyba chciałbym wiedzieć, na czym stoimy.

– Nie mam pojęcia, co ci odpowiedzieć.

– Kiedy ostatnio rozmawialiśmy na ten temat, mówiłaś, że przestaniesz chodzić na cmentarz.

– Naprawdę?

– Tak. Na imprezie halloweenowej. Chociaż byłaś trochę upita.

– Przepraszam, kiedy piję, zawsze przychodzą mi do głowy różne głupoty. Nie powinnam była wygadywać takich rzeczy.

– Czyli... nie przestaniesz tam chodzić?

– Henry.

– Ja też wolałbym na ten temat nie rozmawiać.

– Ja go ciągle czuję. Jest w moich kościach, kiedy zasypiam, czuję na skórze ciepło jego palców.

– Nie proszę, żebyś o nim zapomniała.

– To czego ode mnie oczekujesz? Daję ci wszystko, co mam.

– Tego, że jeśli ktoś mnie zapyta, czy ze sobą chodzimy, mógłbym odpowiedzieć, że tak. Nie chcę musieć się kryć przed przyjaciółmi. Chcę, by ludzie wiedzieli, że jesteśmy razem. Chciałbym móc trzymać się za rękę i całować się z tobą otwarcie, nie zastanawiając się, czy mi wolno. – Grace milczała, tylko wpatrywała się w sufit. – A ty co chciałabyś zrobić? – zapytałem końcu.

– Może... – Zamilkła na dłużej, kilkakrotnie wciągnęła i wypuściła powietrze, a jej wzrok błądził dookoła, jakby szukała właściwych słów. – Może powinniśmy zwolnić. To wszystko dzieje się tak szybko. Gdybyśmy zrobili krok do tyłu, być może nie mielibyśmy wrażenia, że postępujemy źle.

– To, co cię łączy ze mną, to coś z ł e g o?

– Nie o to chodzi. Po prostu... nie jestem gotowa na powrót do dawnej siebie. Jeszcze nie.

– Mam to w nosie. Chcę cię dokładnie taką, jaką jesteś.

– Nieprawda, Henry. Pragniesz j e j. Spotykasz się ze mną z nadzieją, że któregoś dnia znów będę tamtą dziewczyną. Zakochałeś się w idei, a nie w rzeczywistej osobie, a ja jestem zdruzgotana, kiedy patrzysz na mnie i widzisz kogoś innego.

– Bzdura.

– Jesteś tego pewien?

– Jezu, Grace. Wkurza mnie to, jeszcze jak. Pragnę c i e b i e. Od samego początku.

Przyciągnęłam ją do siebie, tak że usiadła mi na biodrach, a wtedy się pochyliła i pocałowała mnie tak, jak to potrafiła – w sposób zapewniający, że jest we mnie zakochana, chociaż dobrze wiedziałem, że tak nie jest i zapewne nigdy nie będzie. Otworzyłem oczy i bacznie się jej przyglądałem, jak to czasami robiłem, żeby się upewnić, czy to prawdziwy pocałunek. Grace odsunęła się ode mnie, nie podnosząc powiek, a na jej wargach błąkał się cień uśmiechu. Dopiero w tamtym momencie zrozumiałem, że ona wcale nie całuje mnie, ani trochę, ani na jotę, przynajmniej nie w myślach.

Może więc oboje zakochaliśmy się w idei?

Powoli otworzyła oczy i zauważyła, że się jej przypatruję. Przez chwilę wydawała się dezorientowana, jakby na ułamek sekundy naprawdę zapomniała, że to nie z Domem się całuje. A potem mroczny cień wkradł się na jej twarz, podniosła się i wstała z łóżka.

– Muszę lecieć – oznajmiła i zarzuciła plecak na ramię, nawet na mnie nie patrząc.

– Myślałem, że zrobimy razem lekcje.

– I tak niczego nie zaliczę, więc po co?

– I nie zjedliśmy kolacji.

– Nie jestem głodna. Na razie.

Nie pożegnałem się z nią.

Przez pół godziny pozwalałem, żeby kwas zalegający mi w klatce piersiowej powoli rozpuszczał całe moje wnętrzności, po czym zwlokłem się z łóżka i poszedłem wziąć prysznic. Stałem pod strumieniem gorącej wody i próbowałem złapać ją w dłonie, ale ciągle wyciekała mi między palcami, co było wielką metaforą i do tego cholernie bolesną, ponieważ wiedziałem, po prostu wiedziałem, że ją tracę. A co gorsza, nie mogłem nic z tym zrobić.

Ludzi nie da się po prostu posklejać złotą laką. Przycisnąłem czoło do zimnych białych płytek ściany prysznica. W głowie mi huczało, jakbym za chwilę miał się rozplakać, ale moje oczy pozostawały suche. „Właściwa dziewczyna, niewłaściwy czas”, pomyślałem, choć przecież zdawałem sobie sprawę, że tylko się zwodzę. Grace nigdy nie będzie właściwą dziewczyną dla mnie. Cholera jasna, tak bardzo jej potrzebowałem. Na myśl, że mógłbym ją stracić, czułem fizyczny ból. Uświadomiłem sobie, jakim byłem kretyńcem, osądzając tak surowo rozstania moich znajomych. Czy Murray też się czuł podobnie w związku z Sugar Ghandi? Czy miał wrażenie, że parzy mu skórę, boleśniej niż wrzątek?

Przecież musiał, po prostu musi istnieć sposób na to, by mnie pokochała. Nagle otworzyłem szeroko oczy, bo doznałem czegoś w rodzaju niespodziewanego objawienia, w rodzaju tych, które są wywoływane wyłącznie długim, gorącym prysznicem. Szybko zakręciłem wodę, owinąłem ręcznikiem zaróżowiony od ciepła tyłek i mokry popędziłem na dół, do nory, do mojego piwnicznego pokoju. Tak bardzo się bałem, że jej nie znajdę. Na szczęście była w największej szufladzie mojego biurka, jakby ktoś specjalnie dla niej przygotował to miejsce.

Sinoniebieska ręczna maszyna do pisania, Olivetti Lettera 32. Ten sam model, z którego korzystał Cormac McCarthy. Kupiłem moją na eBayu za trzydzieści pięć dolarów – trzy lata wcześniej, kiedy przeczytałem *Drogę* i doszedłem do wniosku, że powieści pisane na maszynie są o niebo lepsze od tych napisanych na komputerze (ale zapewne nie umywają się do książek pisanych ręcznie). Dotychczas nie napisałem na niej nic oprócz powtórzenia: „Pracuj, Henry, pracuj, a garb ci sam wyrośnie” na obu stronach kartki, od góry do dołu, żeby sprawdzić, czy maszyna jest sprawna. Potem przez pół roku stała na biurku obok dogorywającego iMaca, aż w końcu widok tych obu urządzeń obok siebie tak mi się zaczął wgryzać w sumienie w związku z tym, że nic nie piszę, iż w końcu upchnąłem maszynę do szuflady i zupełnie o niej zapomniałem.

W górnej szufladzie biurka trzymałem ryż grubego kanarkowożółtego papieru bawełnianego, który Murray podwędził z planu filmowego *Wielkiego Gatsby'ego* podczas swojego ostatniego pobytu w Sydney. Kiedy się podniosło kartkę do światła, w górnym rogu ukazywał się cień półprzezroczystego wzoru. To była jedna z najpiękniejszych rzeczy znajdujących się w moim posiadaniu.

„Droga Grakov”, napisałem, a moje palce uderzały w klawisze, wywołując prawdziwą burzę mechanicznego stukotu.

Postanowiłem, że napiszę list do Grace i zawrę w nim to wszystko, czego nie potrafiłem wypowiedzieć. Wiedziałem, że ona woli ustne wersje, ale przecież nigdy nie czytała moich tekstów, więc liczyłem na to, że gdy w końcu przeczyta, zrozumie, dlaczego wolę pisać, zamiast mówić.

Wysłałem jej na Snapchacie zdjęcie nagłówka listu wraz z podpisem: „Przygotuj się na coś niesamowitego”. A potem zacząłem pisać.

Droga Grakov,

Przez ostatnie miesiące żyłem według prostej, ale bardzo prawdziwej zasady: że w ostatecznym rozrachunku nie liczy się nic z tego, co tutaj robimy. Niektórzy boją się



zapomnienia. Inni obawiają się tego, że ich życie pozbawione jest celu. Ty mnie nauczyłaś, żeby szukać w nim piękna. Ty mnie nauczyłaś, by czerpać z niego odwagę.

Odwagę potrzebną, na przykład, by pokazać pewnej dziewczynie prezentację w PowerPoint o tym, że powinna ze mną chodzić – wiedząc, że nawet jeśli się nie zgodzi, wszelkie świadectwo mojego wstydu w końcu kiedyś zniknie, pochłonięte przez wszechświat. To Ty mnie nauczyłaś, że zapomnienie jest naszą nagrodą za bycie człowiekiem, że rzeczywistość jest na tyle łaskawa, iż dopilnuje, by popełniane przez nas grzechy i błędy zaginęły w jej czeluściach.

Ta sama odwaga pomaga mi teraz w pisaniu tego listu i obnażaniu wszystkich moich uczuć. Jesteś wyjątkowa, Grace Town. Jesteś śliczna. Promieniejesz, a ja nigdy nie mam dosyć patrzenia na Ciebie i przebywania w Twoim towarzystwie. Zanim się pojawiłaś, nie wyobrażałem sobie, że mogę tak bardzo pragnąć czyjeś obecności w moim życiu, jak pragnę Twojej. Od pierwszego dnia, gdy kazałaś mi usiąść za kierownicą swojego samochodu, poczułem chemię, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyłem.

Od czegoś takiego nie można uciec, nawet jeśli to wyjątkowo trudna sytuacja. Nawet jeśli jest tak skomplikowana, że czasem mam wrażenie, iż znalazłem się w „Truman Show”, bo przecież, do diabła, takie gówna ktoś musi wymyślać, same nie powstają. Wiem, że to wiesz, w przeciwnym razie któreś z nas, a może nawet oboje, by odeszło. Może nawet w ogóle byśmy nie zaczęli. Są rzeczy, o które naprawdę warto walczyć.

Oczywiście, zostaje jeszcze on. Zdaję sobie sprawę, że nadal go kochasz, i to rozumiem.

Nigdy nie prosiłbym Cię, żebyś między nami wybierała. Nigdy nie postawiłbym Ci ultimatum ani ostatecznego terminu, nie miałbym Ci za złe, gdybyś nie potrafiła o nim zapomnieć. Po pierwsze dlatego, że to byłoby nierozsądne, a Ty tylko byś mnie znienawidziła. Po drugie, ponieważ nie uważam tego za konieczne. Wiem, kim jestem. Znam swoją wartość. Mam nadzieję, że Ty też ją dostrzegasz.

Tak więc, Grace Town, tak właśnie czuję. Żałuję, że choć w głębi serca jestem pisarzem, w bezpośredniej rozmowie zawodzi mnie moja elokwencja. I właśnie dlatego zamiast słowa mówionego daję Ci ten list, który zawiera niewielki fragment mojej duszy. Reasumując: Jestem chętny i gotowy. Czekam i chcę tylko Ciebie.

To koniec naszej planety i śmierć wszechświata dodają mi tej szalonej odwagi, by napisać, że jestem Twój, jeśli tylko mnie chcesz.

Teraz decyzja należy do Ciebie. Wiem, że nie jest łatwa, ale trzeba ją podjąć.

Do zobaczenia.

Henrik

Przeczytałem całość kilkanaście razy, złożyłem kartkę, wsunąłem do koperty i podpisałem ją jej imieniem. A potem schowałem maszynę z powrotem do szuflady i czekałem, aż Grace mi odpisze. Nie zrobiła tego, chociaż widziałem, że otworzyła wiadomość na Snapchacie, więc znów do niej napisałem.

HENRY PAGE:

Właśnie włączyłem przeglądarkę Safari na moim telefonie i otworzył się artykuł Wikipedii o Matthew Brodericku. Dobrze, że nie jestem w miejscu publicznym.

GRACE TOWN:

Matthew Broderick to nie jest ktoś, kogo należy się wstydzić. Co piszesz? Nie wygląda to na wypracowanie z angielskiego.

Musisz wiedzieć, że rozmyślam bardzo usilnie na temat wpływu kapitalizmu na postmodernistyczną literaturę feministyczną.

List jest o RÓŻNYCH SPRAWACH. A do tego został napisany na papierze z planu filmowego do Wielkiego Gatsby'ego, ponieważ taki właśnie jestem wyszukany.

Różne sprawy... brzmi intrygująco. A co do Twojego wyszukania...

Zostawię to bez komentarza.

Chodzi o WIELKIEGO GATSBY'EGO, Town. Dostaniesz list napisany na papierze, który znajdował się w pobliżu Leo DiCaprio. Może są na nim komórki jego skóry. Rozumiesz?  
JEGO KOMÓRKI.

Jakim cudem masz coś takiego? Myślałam, że żartujesz. A poza tym, to nie Ty jesteś wyszukany, tylko papier.

To naprawdę papier z planu filmowego. Muz znalazł gościa, który znalazł kogoś, kto wpuścił go na plan i powiedział, że może brać, co chce, bo skończyli już zdjęcia. Chciałem, żeby przywiózł mi samochód, ale niestety, najwidoczniej to były zbyt wybujałe oczekiwania. Tak więc widzisz, jestem przynajmniej w 85% wyszukany ze względu na powiązania.

Ho, ho, Page. My, z plebsu, gniemy się w ukłonach przed Tobą i Twoim cudownym filmowym papierem. Nie jesteśmy Ciebie warci.

Nie przejmuj się, dzięki znajomości ze mną zyskałaś co najmniej 15% klasy. A kiedy dotkniesz papieru od Gatsby'ego, ta wartość może się nawet zwiększyć czasowo o jeden czy dwa procent.

Super. Rozumiem, że będę mogła go

przeczytać jutro po lekcjach.

– Panie Page – zagał mnie Hink następnego dnia pod koniec lekcji angielskiego. Jak zwykle siedziałem w ławce z przodu, pomiędzy Lolą a dziewczyną o imieniu Mackenzie, która kiedyś mnie zapytała, czy Henry pisze się przez jedno czy przez dwa „r”. – Poproszę na słówko.

– Oczywiście – odparłem.

Zostałem w ławce, dopóki wszyscy nie wyszli na długą przerwę, próbując odgadnąć, czy Hink chce mnie pożreć ze względu na: a) niedostarczone wypracowanie, b) wpatrywanie się w łupież, który pokrywał mu ramiona i wyobrażanie sobie do końca lekcji, że to artemia uwięziona w asfaltowym jeziorze, albo c) i jedno, i drugie.

Kiedy klasa opustoszała, Hink podszedł do swojego biurka i usiadł na nim po turecku, opierając ręce o kolana. Zacząłem się zastanawiać, czy w jego dziwnym odczuciu miało to oznaczać zastraszającą postawę.

– Czy mógłbyś mi wyjaśnić, gdzie jest twoje wypracowanie?

– Wypracowanie?

– To, które powinieneś był oddać w zeszłym tygodniu. A którego mi nie dostarczyłeś.

– Och. – Cholera jasna. To, z którego napisania zrezygnowałem, żeby niemal zginąć podczas szalonej jazdy z Grace, a potem żeby napisać ten idiotyczny, nąpuszony list miłosny.

– Co się z tobą dzieje, Henry? Nie przychodzisz na spotkania redakcyjne, nie przeczytałeś lektur ani nie oddałeś zadań domowych, a teraz jeszcze to. Rozmawiałem z profesorem Beady oraz señorem Sanchezem i muszę przyznać, że wszyscy się o ciebie martwią. Pan Hotchkiss twierdzi, że na matematyce jesteś wiecznie nieobecny duchem.

Jezu, co za palant z tego Hotchkissa.

– Szczerze mówiąc, wszystko jest tak jak zawsze.

– Wiem, że wiele od ciebie oczekujemy. Być może więcej niż od innych uczniów. Jeśli więc dojdiesz do wniosku, że to zbyt duże obciążenie – że wszystko się kumuluje, a ty nie jesteś w stanie sobie z tym poradzić – po prostu daj mi znać. Znajdziemy sposób, żeby ci pomóc.

– Wszystko jest w porządku, naprawdę.

– Wczoraj przyszła do mnie panna Leung. Dała mi delikatnie do zrozumienia, że nasza gazeta może ucierpieć ze względu na niefortunne relacje łączące cię z panną Town.

Cholera. Naprawdę to zrobiła.

– Wątpię, żeby Lola była w stanie cokolwiek dać d e l i k a t n i e do zrozumienia.

– W rzeczy samej. Użyła sformułowania „niszczą strukturę naszego wydawnictwa swoją bezprzykładnością”, jednak uznałem, że lepiej to pominąć. Tyle razy powtarzała słowo „bezprzykładność”, że musiałem sprawdzić w Google i się upewnić, czy rzeczywiście istnieje. „Ta ich bezprzykładność, panie profesorze, ta bezprzykładność. Wszystko nią zepsują!”

– Proszę przestać mówić „bezprzykładność”.

– Każde umówione spotkanie, na którym planowałem rozmawiać z wami o gazecie, przełożyliście bądź zignorowaliście. Bez motywu przewodniego i odpowiedniej zawartości Lola nie jest w stanie zaprojektować całości na czas. Zaczynam się niepokoić.

– Nad wszystkim zapanujemy, obiecuję.

– To dobrze, bo jeśli nie uporacie się z tym do końca miesiąca, ktoś inny zastąpi cię na stanowisku redaktora naczelnego.

– Ale... przecież... przez dwa lata pracowałem w pocie czoła...

– Owszem. Co nie oznacza, że teraz masz przestać. Idź, chłopcze, i zastanów się nad tym, co robisz. I na litość boską, dopieść trochę Hotchkissa, okej?

– Judasz – wysyczałem, kiedy po lekcjach wszedłem do redakcji, a Lola rozpierała się na sofie i przeglądała słownik.

– Sugerujesz, że ty jesteś Jezusem? – zapytała. – Co za ego.

– Nie wierzę, że poszłaś do Hinka. Wiedziałaś, że miałem oddać wypracowanie zeszłym tygodniu? Zawaliłem termin.

– Ostrzegałam, że na ciebie doniosę, jeśli się nie zbierzesz do kupy. – Lola wstała, podeszła do mnie i chwyciła mnie za ramiona. – Wiem, że jesteś kapitanem tonącego okrętu i zamierzasz razem z nim pójść na dno. To cholernie ujmujące, ale kiedy to cudo zacnie tonąć, ja mam zamiar odpłynąć na pieprzonej tratwie ratunkowej.

– Gdzie jest Grace w tej metaforze?

– Jest jednym z tych gości na Titanicu, którzy do samego końca grali na skrzypcach.

– Zaskakująco trafne porównanie.

Chwyciła za słownik i rzuciła nim w moją klatkę piersiową.

– Wybierz temat. Po prostu zamknij oczy, otwórz w dowolnym miejscu i wskaż palcem.

Jutro mam urodziny i jedno, czego chcę od ciebie, to: JEDNO. CHOLERNE. SŁOWO.

W tym momencie do pomieszczenia weszła Grace i spojrzała najpierw na mnie, potem na Lolę, a na końcu na słownik agresywnie ciśnięty w moją pierś.

– Zaskakująca scena – stwierdziła, po czym odłożyła plecak, wsparła się na lasce czekała na rozwój sytuacji.

– Lola zmusza mnie, żebym wybrał motyw przewodni – wyjaśniłem. Zamknąłem oczy otworzyłem słownik w losowym miejscu.

– „Porażka” – przeczytałem. – „Rzeczownik. Znaczenie numer jeden: przegrana bitwa. Znaczenie numer dwa: poważne niepowodzenie”. Pasuje jak ulał.

– Nie wiem, czy zrobiłeś to celowo, czy to przypadek, ale temat jest całkiem niezły, więc go wykorzystaj – odparła Lola. Tym samym odczepiła się ode mnie i wbiła pazury w ramiona Grace. – Życie to jedno wielkie gówno, a ty przechodzisz naprawdę trudne chwile, ale nie możesz zatonać razem z okrętem. Wsiadaj do szalupy. Do roboty albo do widzenia. – Lola pokazała gestem, że będzie nas obserwować, a potem zabrała plecak i wyszła z redakcji, mamrocząc pod nosem coś, co brzmiało jak „bezprzykładność”.

– Niezwykle surrealistyczna scena – stwierdziła Grace. – O co chodziło z tą szalupą?

– Hink jest wkurzony, ponieważ daliśmy ciała w kwestii gazety – odparłem.

– Naprawdę?

– Jezu, Grace, musisz mi pomóc. Miałś być moim zastępcą, dlaczego więc nie zastąpisz mnie częściowo w pracach redaktorskich?

– A czym niby miałabym się zająć? Wszystko, co było do zrobienia bez wybrania motywu przewodniego, zostało już zrobione. Dlaczego nie zdecydujesz się jednak na „porażkę”?

– Ponieważ nie jestem w stanie uporać się z taką dawką ironii.

Grace wydawała się wściekła, a ja miałem wielką ochotę ją pocałować, żeby poczuła się (i może ja także) trochę lepiej, jednak bałem się, że jeśli spróbuję, odsunie się ode mnie, a nie chciałem do końca dnia mierzyć się z uczuciem odrzucenia. Dlatego też jej nie pocałowałem.

– Idę – powiedziała. – Mam plany na resztę popołudnia.

– Zaczekaj chwilę. – Odwróciłem się i pognałem do plecaka, żeby wyjąć list, który od rana tkwił złożony w książce *84, Charing Cross Road*. Nie zapomniałem o nim – broń Boże! Przez cały czas wisiał nade mną jak niewielka chmura burzowa. Przez cały dzień czekałem na właściwy moment, z nadzieją, że gdy przyjdzie co do czego, zaleje mnie fala szalonej odwagi.

– A tak. To. List. – Wyjęła mi kopertę z rąk, złożyła i wsunęła do plecaka. A ja doskonale zdawałem sobie sprawę, że to ta chwila, w której jesteśmy po raz ostatni tym, czym byliśmy – albo po raz pierwszy czymś więcej. Początek bądź koniec. Nie było miejsca na nic pomiędzy. Napisałem, że nigdy nie kazałbym jej wybierać między nami, a jednak właśnie to robiłem, bo dłużej tego nie mogłem znieść. Wiedziałem, że ona nada go kocha, ale czy i ja nie byłem czegoś wart?

– Mogłabyś to teraz przeczytać?

– Mam to przeczytać przy tobie?

– Eee... tak?

– A nie możesz mi tego powiedzieć? Przecież masz to wszystko w głowie. Nie chcę zredagowanego tekstu, pięknych słówek, ostatecznej wersji. Powiedz coś od siebie, coś prawdziwego.

– Mogę to przeczytać, jeśli chcesz.

– Nie to miałam na myśli.

– To chociaż pozwól mi rzucić okiem na treść, przypomnieć sobie, co napisałem.

– Nie pamiętasz własnych uczuć?

– Oczywiście, że pamiętam, tylko nie wiem, jak je sformułować.

– Spróbuj.

– Jesteś... wyjątkowa.

Grace westchnęła.

– Piękna i unikatowa jak płatek śniegu? I uzupełniam cię?

– Nie! Napisałem... Słuchaj, to wszystko tam jest, okej? Wszystko, co powinnaś wiedzieć. Wystarczy, że przeczytasz.

Nie zrobiła tego.

– Do zobaczenia jutro u Loli – powiedziała, po czym otworzyła drzwi i wyszła.

Odebrałem to jako coś dziwnie, złowieszczo ostatecznego. Starłem się skupić na naszym ostatnim pocałunku sprzed wielu godzin, ale nie byłem w stanie przypomnieć sobie szczegółów, co mnie przygnębiło, wiedziałem bowiem, że być może nie mam co liczyć na powtórkę.

Wyszedłem za nią na korytarz i obserwowałem, jak idzie w kierunku drzwi, przystając co kilka kroków, żeby dać odpocząć nodze.

Pewnie po wczorajszej wizycie u mnie znów pojechała na bieżnię w East River i tam tak eksploatowała swoją uszkodzoną kończynę, aby ta znów sprawiała jej ból. Może to było coś podobnego do cięcia się? Może spowalnianie procesu rekonwalescencji było jedynym dostępnym sposobem sprawowania kontroli nad sobą? A może kalectwo to ostatnia rzecz, jaka łączyła ją z wypadkiem, a co się z tym wiąże – także z Domem – i dlatego nie potrafiła pogodzić się z jego utratą?

A może tak bardzo siebie nienawidziła, że w swoim przekonaniu zasługiwała na cierpienie?

W końcu dotarła do wyjścia, drzwi się za nią zamknęły, a ona sama zniknęła za budynkiem szkoły. Ani razu nie obejrzała się za siebie.

Jakby już podjęła decyzję, jakakolwiek miała być.

Następnego dnia przypadały urodziny Loli. Georgia zerwała się bardzo wcześnie i przyjechała do mnie bladym świtem. Rodzice Loli wpuścili nas do domu i we czworo zabraliśmy się po cichu do dmuchania około dwustu dziwacznych balonów i zawieszania ich w przedpokoju, salonie i kuchni. Po skończeniu aż kręciło nam się w głowie z braku tlenu, ale było warto, bo La zapytała: „Cholera, co to jest?” zaspanym, ochrypłym głosem, a potem zaczęła się śmiać jak szalona.

– Wszystkiego najlepszego! – zawołaliśmy chóralnie, gdy weszła do kuchni w bardzo nietypowej dla siebie różowej koszuli nocnej, ręką zasłoniła usta, a jej postawione na sztorc włosy przypominały irokeza.

Wzięła prysznic i się ubrała, a wtedy podjechaliśmy po Muza i wybraliśmy się na śniadanie do miasta. Georgia podarowała jej kaktusa („Ja pierdołę, ale romantycznie”, zareagowała Lola, rozpakowując prezent. „To przenosi nasz związek na następny poziom”), Muz wręczył jej farby olejne w bambusowym opakowaniu, a ja – świeczkę w kształcie kota, która wypalając się, ujawnia ukryty w środku szkielet.

Oboje z Lolą wierzyliśmy święcie w znaczenie metaforycznych podarunków, więc chociaż wszyscy widzieli jedynie demonicznego kota ociekającego woskiem, Lola wyłapała prawdziwe znaczenie: Nasza przyjaźń jest jak ta kocia świeca – spal całe gówno, a pod spodem jesteśmy prawdziwi my. Na zawsze.

– Henry, ty cudowna istoto – powiedziała, przyciskając czoło do mojej skroni. – Jakimż to uczynkiem zasłużyłam sobie w poprzednim życiu na to, by w tym zamieszkać w twoim sąsiedztwie?

– Ale z was słodziaki. Czasami żałuję, że jesteś zatwardziałą lesbijką, bo wtedy moglibyście wziąć ślub i wieść cudowne życie – odezwała się Georgia. – Oczywiście cieszę się, że jesteś zatwardziałą lesbijką, ale to dygresja.

Wtedy zacząłem się zastanawiać, jaki prezent powinienem podarować Grace na urodziny,

które przypadały pod koniec miesiąca. Nic typowego, co chłopaki dają zwykle swoim dziewczynom, ponieważ: a) Grace Town nie była moją dziewczyną, b) byłem w zasadzie pewien, że na widok kwiatów, czekoladek albo biżuterii zrobi jej się niedobrze. To nie musiało być nic wielkiego, ważne, żeby coś znaczyło.

Tylko co się daje dziewczynie, która ma umysł przypominający wszechświat, podczas gdy twój własny mózg mocno przywiera do planety Ziemi?

Wersja robocza numer sześć:

Ponieważ jesteś warta co najmniej gwiazdowego pyłu, a ja mogę Ci podarować jedynie ziemski kurz.

## ROZDZIAŁ 21

W sobotę wieczorem tata podwiózł mnie do Grace. Niebo otworzyło się i zaczęło lać, więc podbiegłem i schowałem się pod wysokim wiązem, który rósł przed jej domem, ale i tak zdążyłem przemoknąć. Ledwo się ukryłem pod rozłożystymi gałęziami, kiedy zawibrował mój telefon.

GRACE TOWN:

Mam dziesięciminutowe spóźnienie. Nie wchodzi do środka. Zostań na zewnątrz.

Popatrzyłem na smutny, posępny dom z zaciągniętymi zasłonami i zarośniętym ogrodem, i od razu sobie przypomniałem, jak Murray się zastanawiał, czy Grace nie jest przypadkiem istotą nadprzyrodzoną. Wampirem. Upadłym aniołem. Ten dom krył tajemnice, których Grace nie chciała mi zdradzić. O co w tym wszystkim chodziło?

Nagle drzwi wejściowe się uchyliły i z ciemności wyłonił się łysiejący mężczyzna. Ten sam, który popołudniami zjawiał się, by odebrać samochód Grace.

– Henry Page? – zapytał, mrużąc oczy. – To ty?

– Eee, tak – odpowiedziałem cicho, po czym dodałem głośniejszym głosem: – Tak. Jestem Henry Page.

– To wspaniale. Tak, tak. Wejdz do środka. Mam na imię Martin.

Poczułem ukłucie irracjonalnego strachu. „Nie wchodzi do środka. Zostań na zewnątrz”. A jeśli to wcale nie była prośba, tylko ostrzeżenie? Może Martin był wilkołakiem czy czymś takim? Pod tym bezsensownym lękiem czaił się prawdziwy strach. Przed tym, że będę nielojalny wobec Grace. Cokolwiek kryły mury tego budynku, nie chciała, żebym w tej chwili to zobaczył.

może nawet nigdy.

– Eee... Poczekam, naprawdę. Grace powinna się zjawić za kilka minut.

– Nie wygłupiaj się. Pada coraz mocniej. – Martin skinął na mnie, drugą ręką przytrzymał drzwi. Tak więc poszedłem.

Głównie dlatego, że było ciemno i lało, ale po części także, ponieważ chciałem się przekonać, co przede mną ukrywa. Znowu przyszedł mi do głowy Sully Sullenberger i to, że on nigdy nie zrobiłby czegoś takiego, i że coraz bardziej się oddalam od jego siwowąsej klasy.

– Przymknij się, Sullenberger – mruknąłem pod nosem.

– Henry. – Martin wyciągnął rękę i się przywitał. – Tyle o tobie słyszeliśmy.

– Mam nadzieję, że dobrze – odparłem. To był banał, oklepane słowa, które mówiło się w takich sytuacjach, ale muszę przyznać, że poczułem dreszcz podekscytowania w związku z tym, że ktoś z bliskiego otoczenia Grace zdawał sobie sprawę z mojego istnienia.

– Głównie. – Mężczyzna się zaśmiał. – Czuj się jak u siebie w domu. Jeśli chcesz, możesz zaczekać w pokoju Doma – powiedział, po czym się zawahał. – To znaczy, teraz to już w pokoju

Grace.

– Przepraszam, ale... Dom... tu... mieszkał? – wypowiedziałem to pytanie w dziwnie przerywany sposób, robiąc przerwę po każdym słowie, mój umysł bowiem próbował przetworzyć sens tego, co usłyszałem.

Martin zmarszczył czoło.

– Mieszkał tu? Chyba Grace ci powiedziała, że nie jesteśmy jej rodzicami, prawda?

– Eee... nie. Jakoś tak założyłem, że jest pan jej ojcem.

– Nie, nie. Nazywam się Martin Sawyer. Dominic był naszym synem. Grace wprowadziła się do nas jakiś miesiąc przed wypadkiem. Jestem pewien, że opowiadała ci o problemach ze swoją matką. Po śmierci Doma nalegaliśmy z Mary, żeby z nami została. Byli ze sobą tak długo, tyle lat. Grace jest dla nas jak córka.

– Grace... mieszka... w pokoju Doma?

– Myślałem, że ci powiedziała.

– Och. – Pokręciłem głową, oblizałem usta i po raz pierwszy rozejrzałem się dookoła.

Ściany miały brudnokremowy, niemal pomarańczowy odcień, wszystkie meble zostały wykonane z ciemnego drewna. Schody pokrywała wykładzina, miejscami wytarta od chodzenia, na ścianie wisiało mnóstwo zdjęć. Uśmiechy na zakończeniu roku szkolnego, wypłowiałe fotki z wesela, na każdej z nich Dominic.

Najbliżej mnie znajdowało się zdjęcie, na którym Grace siedziała mu na szerokich barach, a on opierał ręce o jej zdrowe łydki. Nigdy wcześniej nie widziałem jego zdjęć, teraz poczułem bolesne ukłucie. Był dobrze zbudowany i klasycznie przystojny, całkowite przeciwieństwo mnie. Na tej fotce z Grace miał na sobie koszulkę piłkarską i uśmiechał się szeroko do aparatu. Grace odchyliła głowę do tyłu, widać było, że śmieje się dziko pod kaskiem futbolowym, palce wplatając w jego włosy.

Poczułem, jak wzbiera we mnie żółć, pochodząca z jakiegoś mrocznego, ciemnego miejsca, i niszczy to, co jeszcze zostało z moich wnętrzności. To nie była zazdrość. Ani stres. Po prostu smutek.

– Dom był naszym najmłodszym dzieckiem – odezwał się Martin, prowadząc mnie z dala od tej ściany tortur. – Spora różnica wieku między nim a Renee. Kiedy zdarzył się wypadek, nasze starsze dzieci już się wyprowadziły, więc miło, że Grace z nami została. Nie wiem, jak byśmy znieśli tę ciszę.

– Przepraszam, nie miałem pojęcia, że to jego dom.

– Nie masz za co przepraszać. Jesteś dla niej świetnym przyjacielem. Ty i twoja dziewczyna Lola. Jesteśmy wam wdzięczni za wszystko, co dla niej zrobiliście.

– Moja... dziewczyna... Lola? – zapytałem z takimi samymi pauzami jak wcześniej, a Martin spojrzał na mnie tak, jakbym był nieco opóźniony w rozwoju. A więc Grace go okłamywała. Nie powiedziała mu prawdy o tym, co nas łączy. Właściwie dlaczego miałyby to robić? Jak miałyby oznajmić ojcu swojego nieżyjącego chłopaka, że sypia z innym? – Tak. Moja dziewczyna Lola. Oboje uwielbiamy Grace.

– Możesz tam zaczekać. – Martin skinął głową w stronę drzwi na końcu korytarza.

– Grace powinna za chwilę przyjść, przyślę ją na górę.

– Dziękuję. – Odczekałem, aż mężczyzna sobie pójdzie i powoli nacisnąłem na klamkę. Zawahałem się, zanim przekroczyłem próg tego grobowca. Powietrze było ciężkie i pachniało wyraźnie Grace.

Nie.

Pachniało Nim.

Miałem ochotę zwymiotować. Albo wziąć wściekle gorący prysznic. A najlepiej

zwymiotować pod wściekle gorącym prysznicem. Jednak ciekawość zwyciężyła, więc włączyłem światło i wszedłem do środka.

To był raczej przeciętny pokój nastoletniego chłopaka, pełen takich samych przypadkowych przedmiotów i gratów, jakie wypełniały moją piwnicę. Kołdra w kratkę była pognieciona i zwinięta w nogach łóżka. Regał wypełniały książki z gatunku *Harry'ego Pottera* i *Władcy pierścieni*. Gitara akustyczna stała oparta o krzesło. Poza tym adapter i stos starych płyt winylowych. Globus. Deskorolka. Plecak. Biurko, laptop, gazety sportowe i puchary z dzieciństwa. Tablica do pisania kredą, a na niej portret Mozarta na płótnie i pamiątki z odległych miejsc. Na komodzie ozdoby Doma – rozmaite rzemyki z kotwicami, krzyżami i czaszkami – oraz jego dezodorant.

Używaliśmy tego samego.

Migawka z całego życia, sprowadzona do rozmiarów przeciętnego pokoju. Stałem tak przez chwilę, próbując objąć wzrokiem bezruch tego miejsca. Miałem przed sobą prawdziwy kalejdoskop tożsamości Dominika.

Zacząłem się zastanawiać, czy Grace czuje się tu bliżej śmierci, jak ja, czy raczej bliżej życia. Zdumiewała mnie niesprawiedliwość losu. Jak to możliwe, że człowiek tak mocno tkwi na tym świecie, a za chwilę po prostu go nie ma?

Wszedłem do garderoby i pociągnąłem za sznurek, żeby włączyć oświetlenie. To pomieszczenie bardziej przypominało grobowiec. Wszystkie jego ubrania. Wyprasowany garnitur, zapewne przygotowany na bal maturalny. Koszulka sportowa drużyny East River. Kilka par butów. Niepodpisane pudła na górnych półkach.

Zobaczyłem złożony popielaty T-shirt, który Grace miała na sobie w kinie. Tam, gdzie poplamiła się ketchupem, widniała ciemna plama, jak gdyby zmyła ją gąbką, zamiast...

I wtedy mnie oświeciło.

– O Boże... – szepnąłem, podnosząc koszulkę. Plama została zmyta, ale koszulka nie była prana. Materiał nadal pachniał Grace. Dominikiem. Mną.

Grace nie prała jego ubrań ani pościeli. Zawsze unosił się za nią lekko zatęchły, chłopięcy zapach – zakładałem, że to taka naturalna cecha albo świadectwo pobieżnej higieny, jak się okazało, wystarczyło wejść do garderoby jej zmarłego chłopaka, by doznać objawienia.

Grace żyła w Dominicu. W każdej minucie każdego dnia on był razem z nią. Jego zapach na jej skórze. To Grace była duchem, nie Dom. W tamtym wypadku zginęły dwie osoby, tyle że jedna z nich zachowała żywe ciało.

Rozejrzałem się ponownie po pokoju, próbując znaleźć coś – cokolwiek – co należało do Grace. Nie zobaczyłem nic oprócz leżącej na komodzie koperty podpisanej jej imieniem. To był napisany przeze mnie list, w dalszym ciągu nieotwarty. Żadnych dziewczęcych ubrań, butów, kosmetyków, nic z tego, co zwykle znajdujesz w pokoju siostry, mamy albo koleżanki.

Grace nosiła jego stroje, używała jego dezodorantu i co noc spała w jego zmiętej pościeli. Tamta dziewczyna z przeszłości – prześliczna licealistka ze zdjęć profilowych na Facebooku – już nie istniała, zastąpił ją ktoś udający Doma.

Kiedyś sama mi powiedziała, że z pokoju danego człowieka można wiele o nim wyczytać. Czego mogłem się dowiedzieć z tego pomieszczenia, nie licząc faktu, że Grace Town nie istnieje?

– A więc już wiesz – powiedziała cicho.

Obróciłem się gwałtownie, w drżących palcach nadal trzymając koszulkę Doma. Grace stała na progu. Wyglądała tak, jakby wymykała się cielesnej rzeczywistości. Skórę miała półprzezroczystą jak perfumowany papier, jasne włosy opadały ziemiście i martwo na jej ramiona. Pod oczami widać było sińce od częstego płaczu. Grace była zagubioną duszą, zbłąkaną



zjawą, ludzkim wcieleniem biernie wchłanianego dymu.

Zapragnąłem jej dotknąć. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek dotykłem wyczułem jej ciepło, czy może zawsze sprawiała wrażenie eterycznej, utkanej z mgły.

– Grace, przepraszam. Nie powinienem był...

– Wprowadziłam się tutaj miesiąc przed wypadkiem – powiedziała, wyjmując mi z ręki brudną koszulkę, składając ją i umieszczając z powrotem na półce. Wygładziła materiał, a potem oparła się czołem o regał i przymknęła powieki. – Sawyerowie od lat próbowali mnie do tego przekonać i w końcu zebrałam się na odwagę, by uciec od matki. To był najlepszy najgorszy dzień mojego życia.

– To straszne. Grace... nie wiem... Nie wiem, co powiedzieć. I jak ci pomóc.

Podniosła wzrok i na mnie spojrzała.

– Nie jestem popękaną miską z twojej gabloty, Henry. Nie trzeba mnie składać do kupy.

– Wiem. Nie to chciałem powiedzieć. Ale... pamiętasz... że można tyle wyczytać o człowieku z jego pokoju? – To wszystko sięgało o wiele głębiej, niż Grace była gotowa zdradzić. Nie tylko straciła Dominica w sensie fizycznym, ale także obietnicę, jaką jej dawał. Zdałem sobie sprawę, że oprócz jego ducha będzie nas prześladował również duch życia, które mogliby razem wieść. Dom wszystko o niej wiedział – to, co dobre, i to, co złe, podczas gdy mnie pozwalała najwyżej przelotnie na siebie zerknąć. Cała potencjalna energia, która składała się na Doma, po jego śmierci znów rozproszyła się we wszechświecie, a Grace za wszelką cenę próbowała się jej przytrzymać. – To jak wygląda twój pokój?

– T o właśnie chcesz wiedzieć? Nie mam pokoju, tak? Zanim tu się wprowadziłam, miałam jedynie sofę w piwnicy u męża mojej matki.

– Czasami mam wrażenie, że w ogóle nie istniejesz.

– Wyjdź stąd.

– Wszystko przede mną ukrywasz. Nic mi nie mówisz.

– Wyjdź stąd. Wyjdź stąd!

W drzwiach pojawił się Martin Sawyer. Przeniósł wzrok z Grace na mnie i z powrotem.

– Henry – powiedział.

– Już idę.

Wydostałem się z domu, mijając po drodze ścianę ze zdjęciami, z których on codziennie witał ją z uśmiechem, i codziennie się z nią żegnał. Czuję się urażony, zły i głupio, beznadziejnie zazdrosny, co było idiotyzmem, bo robaki pewnie wyjadały mu właśnie oczy, a może nawet uporały się już z oczami i zabrały do mózgu, serca albo jąder, a to raczej nic przyjemnego. On już nie mógł jej kochać, a jednak nadal do niego należała. Uznałem, że to cholernie niesprawiedliwe dla wszystkich zainteresowanych.

Siedziałem na chodniku nieopodal jej domu, kiedy zadzwonił telefon. Murray. Otarłem łzę z oka i odebrałem.

– Tak, wiem. Już...

– Cześć, Henry. Mówi Maddy.

– Kto?

– Madison Carlson. Ze szkoły.

– Och... A dlaczego dzwonisz do mnie z telefonu Murrraya?

– Chyba doprowadziłam Murrraya do załamania.

– Teraz nie mogę. Muszę lecieć do Loli.

– Mówię poważnie. Leży na trawniku twarzą do ziemi i chyba od dwudziestu minut się nie rusza, a Lola zniknęła.

– Co mu zrobiłaś?

– Zapytał, czy słyszałam cokolwiek nowego na temat Seety, więc powiedziałam mu o jej chłopaku, a wtedy osunął się na kolana, położył na ziemi i nie chce wstać. Może nawet umarł. Henry, nie potrafię zajmować się zwłokami.

– Jezu. Prześlij mi lokalizację, przyjdę po niego.

– Jesteśmy na boisku, wszyscy sobie poszli. Musisz tu przyjść jak najszybciej.

Ja jednak się nie spieszyłem. Rozłączyłem się i ruszyłem powoli w stronę szkoły z nadzieją, że zanim dotrę na miejsce, Murray już zdąży się wziąć w garść, a ja będę mógł wrócić do domu i umrzeć w spokoju. Po drodze napisałem do Loli, że być może się u niej jednak nie zjawię, ponieważ Murray został ranny.

Gdy doczłapałem się w końcu do boiska, nie od razu ich zauważyłem, ponieważ było ciemno, a Madison też leżała, wykorzystując plecy Murraya jako poduszkę.

– Uznałam, że skoro mam czekać, to niech mi chociaż będzie wygodnie – wyjaśniła.

– Sugar Gandhi ma nowego chłopaka? – zapytałem.

– Jeśli masz na myśli Seetę, to a) owszem i b) jesteś niezwykle rasistowski.

– Jak bardzo z nim źle?

– Zobacz sam. – Madison wstała i kopnęła mojego przyjaciela w nogi, na co on nawet nie zareagował.

– Jezu, kobieto! Nie kopie się leżącego. – Dotknąłem jego szyi, żeby się upewnić, czy jest ciepła. Była. – Hej, Muz? – Ponieważ leżał bez ruchu, poinstruowałem Madison, żeby chwyciła go za nogi, ja chwyciłem za ramiona i razem go przewróciliśmy na plecy. Miał otwarte oczy wpatrywał się bez mrugania w nocne niebo. Ścisnąłem go za policzki, tak mocno, że aż zrobił się rybi dzióbek.

– Jak tam, stary?

– O, cześć, Henry. Nie zauważyłem, że przyszedłeś – odparł, nawet na mnie nie patrząc. Policzki nadal miał ściśnięte.

– Może na przykład chciałbyś usiąść?

– Nie, nie, będę tak tu leżał, aż się rozłożę, a padlinożerne ptaki rozdziobią moje wnętrzności.

– Obawiam się, że woźny je przegoni.

– W takim razie zaciągnij mnie pod trybuny i pochowaj obok Ricky’ego Martina Knuppsa.

– Czy on jest naćpany? – zapytała Madison. – Murray, brałeś coś?

– Nie, pochowaliśmy rybę pod trybunami. To długa historia.

– Rasistowscy mordercy ryb. Cudownie.

tej samej chwili usłyszałem moje imię wykrzywane po przeciwległej stronie boiska ujrzałem pędzącą w naszą stronę ciemną postać. Chwilę później Lola opadła na trawę obok Muza, ujęła w dłonie jego głowę, obróciła raz w jedną, raz w drugą stronę, a potem odgarnęła włosy, szukając ran.

– Co się stało? Masz wstrząśnienie mózgu? Dzwonić po karetkę? – pytała gorączkowo.

– Nie, chyba że lekarze potrafią wyleczyć złamane serce – odparł Murray, na co Lola popatrzyła na mnie i Madison, marszcząc przy tym czoło.

– Seeta Ganguly – wyjaśniła jej Madison. – Ma chłopaka.

– I nawet nie jest Hindusem! – zapłakał Murray. – Nazywa się Taylor Messenger! Jej rodziców nie obchodzi, z kim ona się spotyka!

– Według twojego SMS-a – Lola zmrużyła oczy – miał być podobno ranny.

— Złamane serce to też rodzaj rany – zauważyłem, wskazując skurczoną sylwetkę naszego przyjaciela.

– Jesteście totalnie popieprzeni! – Lola walnęła Murraya w tył głowy, gdy się podniósł.  
– Mam po dziurki w nosie tego waszego hormonalnego gówna. Ty – wystawiła palec w moim kierunku – w końcu się ogarniesz. Będiesz oddawał wypracowania na czas i zwalczysz swoją obsesję na punkcie dziewczyny, która nigdy nie prosiła, żebyś się w niej zakochał!

Pokiwałem głową, nie mówiąc ani słowa.

– A ty – zwróciła się do Murraya z jeszcze większym jadem. – To już kilka miesięcy. Prezentujesz sobą godne pożałowania zachowanie. Daj jej spokój, stać cię na coś więcej.

Wtedy się Murray rozplakał i zwymiotował sobie na kolana.

– Czy możemy w końcu iść na twoją imprezę? – zapytała Madison.

– Nie! Żadnych imprez już dla was nie ma! W tej chwili podnieś tyłek, Murray, albo nie rękę za siebie... – Płaczący i pokryty wymiocinami o wyraźnym zapachu tequili Muz z trudem wstał na nogi. Lola odgarnęła mu włosy z oczu, całkiem czułym gestem. – Idziemy zjeść coś do Burger Kinga, wytrzeźwiewemy, a potem zwijamy się wszyscy do Henry'ego, żeby zrobić coś produktywnego z naszym życiem.

Godzinę i dwa dania z Burger Kinga później siedziałem po turecku w mojej piwnicy tuż pod łbem łosia i okręcałem na palcu zimny krążek cebuli. Na kolanach trzymałem słownik, Lola uruchomiła program do generowania losowych słów na iMacu, a Murray przeglądał słownik slangu na swojej komórce. Madison Carlson, która przyszła za nami w milczeniu (prawdopodobnie ze strachu przed furią Loli, gdyby próbowała się oddalić), teraz spała w moim łóżku. Staralem się nie zwracać uwagi na to, jak czarne obcisłe dzinsy podkreślają jej biodra, jak jej włosy rozpościerają się niczym wachlarz na mojej poduszce ani jak pachnie wanilią i czymś korzennym, stanowiąc zupełną antytezę tego, czym była Grace Town.

– Wyszło mi... „kostiumy” – powiedziała Lola, która uznała, że najlepiej będzie spędzić tę sobotnią noc na próbach ocalenia naszej gazety. Wiedziałem, że na tym etapie nie ma już czego ratować, bo było za późno na przygotowanie czegokolwiek przyzwoitego.

– To może być to. Napisalibyśmy artykuły o maskach, jakie nosimy jako nastolatkwie takie tam głębokie przemyślenia.

– Nie, nie – powiedział Muz. – Lepszym tematem będzie „dysforia gatunkowa”. Poczucie, że człowiek znajduje się w ciele niewłaściwego gatunku. Wreszcie mógłbym opisać moje transgatunkowe pragnienie, by stać się smokiem. Pomyślcie tylko o możliwych artykułach: *Sześć stopni do Smauga. Magiczny smok Puff i pierwszy wywiad po odwyku. Falkor, smok szczęściarz: jak skończyła się ta opowieść.*

– Nie bagatelizuj transgatunkowości – powiedziała Lola.

– Nie powątpiewaj w to, że jestem spokrewniony ze smokami.

Murray ponownie się rozplakał, a my przestaliśmy zajmować się ratowaniem gazety, którą najprawdopodobniej własnoręcznie pogrążyłem swoją bezprzykładnością, po czym skupiliśmy całą naszą energię na tym, by nadmuchać do połowy materac, na którym razem się położyliśmy, przytuleni.

– Przykro mi, że zepsuliśmy ci urodziny, La – szepnąłem, ale przyłożyła mi palec do ust pokręciła głową.

ja pomyślałem, że chociaż ból związany z pragnieniem dziewczyny, która nawet nie istniała, wkręcił mi się w kości i zainfekował miękkie tkanki moich płuc, sytuacja mogła wyglądać dużo gorzej.

## ROZDZIAŁ 22

Kolejne dwa tygodnie zlały się w jedną plamę ze względu na nadrabianie zaległości w szkole, spotkania redakcyjne z Hinkiem, zmianę pogody oraz nieobecność. Po pierwsze, nieobecność pomarańczowych liści, jesień bowiem przeszła z wersji: „Dyń, dyń wszędzie, co to będzie, co to będzie?” do wariantu: „Moje wiadomości na fejsie opanował jeden wielki mem z Nedem Starkiem”.

A po drugie, nieobecność Grace Town.

– Gdzie się podziewa ta twoja dziwna dziewczyna? Już dawno jej nie widziałam – stwierdziła Sadie, któregoś dnia, kiedy wszedłem do domu z Murrayem, Lolą i Madison Carlson (zaskakujący rozwój wypadków). Lola natychmiast wykonała gest obcinania głowy, ale niestety, było już za późno. – O, cholera. – Sadie przygryzła wargę. – Przepraszam, braciszku. Rozstałeś się z Grace?

– Nie wypowiadamy już słowa na „g” – powiedział Murray. – Bardzo proszę, żebyś od tej pory używała sformułowania „Ta-Której-Imienia-Nie-Wolno-Wymawiać”.

– Grace musiałyby być wcześniej moją dziewczyną, żebyśmy mogli się rozstać – wyjaśniłem siostrze, rozplątując owinięty wokół szyi szalik.

– Człowieku, mówi się „Ta-Której-Imienia-Nie-Wolno-Wymawiać”. Jezu, mógłbyś wreszcie zapamiętać – powiedział Murray.

– Co się stało? – zapytała Sadie.

Problem polegał na tym, że nie byłem pewien, co się właściwie stało. Owszem, wszystko kolosalnie spieprzyłem, wchodząc do domu Dominica, jednak nie spodziewałem się, że Grace nagle wyparuje. Chciałem ją przeprosić, odciągnąć na bok i powiedzieć to wszystko, czego do tej pory nie byłem w stanie wymówić na głos, jednak Grace przestała się pojawiać przy mojej szafce po lekcjach. Grace przestała się pojawiać, kropka.

Tych parę razy, kiedy zadała sobie trud, by zjawić się w szkole, nauczyciele uparli się, żebyśmy nie mieli ze sobą kontaktu.

– Hej – szepnąłem do niej w drugim tygodniu, kiedy wreszcie przyszła na zajęcia teatralne i zajęła swoje zwyczajowe miejsce na ławce z tyłu sali. – Stęskniłem się za tobą.

– Henry, proszę o uwagę – odezwała się pani Beady. – Nie możesz stracić teorii teatralnej Bertolta Brechta. – To powiedziawszy, wskazała na miejsce pod sceną, gdzie siedziała cała klasa. – Siadaj.

– Pogadamy po lekcjach? – zapytałem cicho. Popatrzyła na mnie, ale nic nie powiedziała, a po szkole od razu zniknęła.

Czasem, kiedy mama pożyczła mi samochód, przejeżdżałem obok jej domu, ale nigdy nie widziałem, żeby stał pod nim hyundai. Popołudniami wybierałem się w okolice cmentarza, z nadzieją, że przyłapię ją, jak kładzie kwiaty na grobie Dominica, jednak – chociaż niemal codziennie widziałem świeży bukiet – jej nigdy nie spotkałem. Wszędzie napotykałem jej ślady. Niekiedy w stołówce mignął mi przed oczami czubek jej głowy albo przekonywałem się, że ktoś nakarmił Ricky’ego Martina Knuppsa II, gdy ja zapominałem. Albo ukazywało się „przeczytane 17.50”, „przeczytane 11.34”, „przeczytane 20.05” pod wiadomościami, które jej wysłałem, chociaż nigdy ze mną nie rozmawiała. Nigdy. Przenigdy.

Stała się duchem, którym chciała być, a jej nieobecność – wielka wyrwa, pozostałość po jej ucieczce z mojego życia – łamała mi serce.

– Czy ona w ogóle była prawdziwa? – zapytałem Lolę pewnego popołudnia. Siedzieliśmy na boisku z termosem pełnym gorącej czekolady, obserwując przemykające nam nad głowami

wąskie chmury. – Czy może ją tylko wymyśliłem?

– Jezu, ale jesteś melodramatyczny – powiedziała, rzucając mi termos.

Najbardziej zabijał mnie zapach, po kawałku rozrywał mi duszę. Jej zapach na mojej pościeli i ubraniach, unoszący się w redakcji. Za każdym razem, gdy wyczuwałem jej bliskość, ale nie mogłem jej zobaczyć, coś we mnie się zapadało, jakby pod wpływem potężnej dekompresji. W którymś momencie pojawiła się chwilowa pokusa, krótka, trwająca nie dłużej niż ułamek sekundy, kiedy pomyślałem, że już nigdy nie wypiorę niczego, co do mnie należy, żeby napawać się tym, co po niej zostało. Ale nie. Mój Boże – nie. Pokój Doma, jego grób – nie, nie mogłem tego zrobić. Tak więc zdjąłem pościel. Za wszelką cenę unikałem redakcji (oraz pana Hinka).

W autobusie też było paskudnie. W ciągu ostatnich kilku miesięcy jechałem nim zaledwie parę razy, a już na pewno nie spodziewałem się korzystać z usług transportu publicznego w pierwszym dniu, w którym Grace nie pojawiła się przy mojej szafce. Panowały w nim tłok i hałas i roznosił się zapach kojarzący mi się z czasami sprzed Grace – w autobusie pachniało jej nieobecnością. Ponieważ nie miałem już swojego miejsca, musiałem usiąść z przodu obok jakiejś pierwszoklasistki, która przez całą drogę rzucała mi wściekle spojrzenia.

– Chyba wszystko spierdoliłem – powiedziałem teraz do Sadie.

– Słownictwo, Henry – rzucił tata z kuchni. Przyrządzał razem z Ryanem tacos, mój siostrzeniec siedział mu na ramionach i ciągnął za włosy, żeby nim kierować jak szczur z *Ratatuj*.

– Da się to jakoś naprawić? – zapytała.

– Nie sędzę.

Zeszliśmy we czwórkę do piwnicy. Od czasów tamtej pamiętnej nocy, kiedy to Madison Carlson spała w moim łóżku, Murray zaczął prasować swoje rzeczy i próbował nawet zapanować nad wiecznie zwichrzoną fryzurą, przez co wyglądał jak ktoś, kto szykuje się do zdjęcia do kroniki szkolnej w latach osiemdziesiątych. Grał właśnie (i przegrywał) z Madison w Mario Kart, gdy nagle wszystkie nasze telefony zapikowały jednocześnie. Lola jako pierwsza sprawdziła swój. Zrobiła dziwną minę i natychmiast na mnie spojrzała.

To było zaproszenie od Grace Town na jej urodziny, które miały się odbyć w sobotę, po Święcie Dziękczynienia. Podobno zaprosiła około stu osób, większość z East River. La wyskoczyła z krzesła, ale zanim zdołała wyrwać mi telefon, wysłałem: „Przyjdę”.

Westchnęła i pokręciła głową.

– Znosi się na burzę – stwierdziła, chociaż moja aplikacja pogodowa przepowiadała najwyżej niewielki deszcz.

## ROZDZIAŁ 23

Koniec listopada przyniósł ze sobą nalot ekscentrycznych krewnych, którzy przybyli z najodleglejszych zakątków kraju po to, by a) uczestniczyć w corocznych targach rzemiosł odbywających się z okazji Święta Dziękczynienia, b) zjeść wszystkie nasze zapasy oraz c) uczynić z mojego życia prawdziwe piekło.

Zwykle pasożyty mogły robić, co im się żywnie podobało w naszym domu, co najczęściej oznaczało, że dekowały się w piwnicy, wyrzucając mnie do spania na górze, ale ponieważ to był ostatni rok w szkole, a ja miałem tyle nauki, pasożyty (ku ich rozpacz) zostały oddelegowane do dawnego pokoju Sadie oraz na materac w salonie.

Wśród gości znaleźli się:

- moja babka ze strony ojca, Erica Page, przerażająca kobieta, która podobno w czasie „zimnej wojny” była szpiegiem i miała mroczną przeszłość, o której nie chciała mówić;

chłopak mojej babci, Harold, łagodny i sympatyczny architekt krajobrazu, który przez ostatnich dziesięć lat ciągle chodził za Ericą i mówił niewiele więcej ponad „tak, kochanie”;

brat taty, Michael;

„współlokator” wuja Michaela, niejaki Albert;

Juliette, siostra mojej mamy, oraz troje z jej pięciorga dzieci, z których wszystkie otrzymały imiona po fikcyjnych bohaterach zwierzęcych. Pongo, Duchessa oraz Otis; byli ponoć jeszcze za mali, żeby zostać samemu w domu (choć Pongo był prawie moim rówieśnikiem); Bagheera i Aslan wybrali celowo uczelnie na drugim końcu Stanów, żeby utrudnić sobie łatwe powroty do domu; ciotka Jules nadal nie potrafiła zrozumieć, dlaczego nie przyjeżdżają na święta, choć przecież już prawnie zmienili sobie imiona na Bradley i Asher;

ciotka i wuj Loli, Wing i Richard, którzy nie wiedzieć czemu w tym roku zatrzymali się u nas, a nie u niej, a także ich dwoje dzieci, Sarah i Brodie.

Obiad świąteczny przebiegł w takiej atmosferze, w jakiej przebiega większość tego typu obiadów w rodzinie Page’ów (oraz każdej innej, jeśli chcesz wejść w szczegóły). Albert wybiegł zalany łzami, kiedy wuj Michael przedstawił go krewnym Loli jako „długoletniego współlokatora”. Ciotka Juliette najpierw spaliła indyka, a potem uznała, że połowa drugiego dania to idealny moment na zapytanie Pongo, czy kiedykolwiek palił trawkę. Babcia Page, demonstrując to, czego się uczyła na zajęciach organizowanych przez miejscowy Związek Młodzieży Chrześcijańskiej, znokautowała Brodiego kijem do gry w wiffle ball.

Na szczęście nikt nie wezwał policji, a wuj Nick, były ciotki Juliette, nie pojawił się w tym roku w naszym domu i nie złamał zakazu zbliżania się do eks-żony, więc można uznać, że święto okazało się rodzinnym i towarzyskim sukcesem.

Czarny Piątek przyniósł ze sobą kolejną tradycję rodzinną: zakupy o piątej rano, które miały w jeden dzień zaspokoić nasze najgłębsze kapitalistyczno-konsumenckie pragnienia. Niestety, wszystkie inne rodziny w naszym mieście przestrzegały tej samej tradycji, więc niemal zostaliśmy stratowani w owczym pędzie, a po epizodzie z gazem pieprzowym wszystkich nas piekły oczy. Poza tym Brodie przepadł gdzieś na kilka godzin i pojawiły się informacje w mediach, że ktoś kogoś dźgnął nożem w domu handlowym, ale udało mi się kupić kamerkę GoPro i robota Yodę z 85-procentową zniżką, więc niech żyje konsumpcjonizm.

W piątek wieczorem zabarykadowałem się w piwnicy, żeby uciec przed rozgrywającą się na górze masakrą oraz pytaniami zadawanymi przez ciotkę i babcię, dlaczego jestem taki ponury.

– Widzę, że ma obcisłe dzinsy i długie włosy – podsłuchałem, jak babcia mówi do rodziców. – Został zindoktrynowany przez krąg emo, na tym polega problem. Czytałam co nieco na ten temat na komputerze w naszym Związku Młodzieży Chrześcijańskiej.

– A nie, nie – odparła mama. – On tylko wyznaje satanizm. To bardzo szybko zamknęło babci usta.

A potem przyszła sobota. Zimna. Ciemna. Żałosna. Idealna na urodziny Grace. Czas nadciągającej burzy: festyn świąteczny.

Chociaż targi pierwotnie miały na celu prezentowanie zwierząt hodowlanych i płodów rolnych, od czasu wprowadzenia, czyli od jakichś siedemdziesięciu lat, były ulubionym wydarzeniem towarzyskim dla wszystkich nastolatków w mieście. Rześkie, świeże powietrze, mrugające światełka i zapach smażonych na głębokim tłuszczu potraw najwyraźniej stanowiły idealne tło dla młodzieńczej bez troski.

Szykowałem się niemal od rana. Zwykle mam w nosie to, jak wyglądam, ale tego dnia uznałem, że muszę prezentować się jak najbardziej elegancko. Obciąłem włosy. Kupiłem

marynarkę w kolorze szarego melanżu, obcisłe czarne dżinsy i czarny szalik. Tym razem nie pożyczyłem niczego od taty, włożyłem drogi wełniany płaszcz, który rodzice podarowali mi

w ramach wcześniejszego prezentu gwiazdkowego. Wypolerowałem buty. Uczesałem i ułożyłem moją nową fryzurę. Wyrwałem rosnący krzywo włos z brwi. Wieczorem wyglądałem jak zupełnie inny Henry. Starszy, z minionej epoki.

Czekając na przyjaciół, zapakowałem prezent, który kupiłem dla Grace. Ostatecznie zdecydowałem się na książkę dla dzieci, *You Are Stardust*<sup>[18]</sup> Elin Kelsey. Nie dlatego, że była jakoś specjalnie metaforyczna, nie odzwierciedlała kruchości naszego życia czy związków, nic z tych rzeczy. Po prostu pomyślałem, że się jej spodoba.

Zawinałem ją w szary papier, zgodnie z tradycją zapoczątkowaną wieki temu przez Murraya, kiedy po raz pierwszy oglądał *Dźwięki muzyki*. Nigdy nie wręczaliśmy sobie kartek z życzeniami, zamiast tego rysowaliśmy i pisaliśmy na papierze – niekiedy głębokie i wiele znaczące cytaty, innym razem przypadkowe wzory albo wizerunek Abrahama Lincolna biorącego udział w bitwie na grzbiecie welociraptora. Różnie bywało. (Dla przykładu, w tym roku na papierze Loli pojawiły się symbole z *Magic: The Gathering*. Nie zrobiły na niej wrażenia).

Początkowo brałem pod uwagę poezję, jakiś wzruszający albo romantyczny cytat, jednak nic nie pasowało. Naskicowałem więc ołówkiem Waltera White'a, coś w stylu rysunku kuzynów Salamanca z *Breaking Bad*, i napisałem „Wszystkiego najlepszego, Heisenberg”.

– Ja nie mogę! – rozległ się czyjś głos ze schodów. Odwróciłem się i zobaczyłem Lolę. Jak zwykle miała na sobie swoje typowe ciuchy z ASOS-a i wyglądała, jakby przybyła do nas z końca lat dziewięćdziesiątych. – Henry, wyglądasz seksownie. Superseksownie, dodam. Płeć męska zwykle nie bywa dla mnie zbyt atrakcyjna, ale cholera jasna!

– Twój ton wyrażający absolutne zaskoczenie nie sprzyja mojej pewności siebie.

– Odwróć się no, seksowna dupeczko.

– Jak śmiesz traktować mnie jak przedmiot – powiedziałem, ale wstałem i okręciłem się na miejscu. Lola gwizdnęła.

– Jesteś prawdziwym pożeraczem damskich serc.

Zaraz potem przyszła Georgia z Muzem, sprowadzili na dół Pongo i zaczęliśmy grać w *Nigdy w życiu* z użyciem wódki. Zanim zapadł zmrok, byłem już na tyle zdenerwowany, że wykradłem butelkę czerwonego wina z barku rodziców, zabrałem na dół i wypilem szklanę. Ponieważ w żaden sposób nie ukoilo to moich nerwów, wypilem kolejną szklanę, a potem trzecią, a kiedy czas było się zbierać, w butelce nic już prawie nie zostało. Gdy dotarliśmy na miejsce, a nad terenem targów zachodziło słońce, barwiąc niebo różem, wszyscy się chwialiśmy na nogach, upojeni nie tylko alkoholem, lecz także magicznymi możliwościami, jakie oferowała nam nadchodząca noc.

Lola chwyciła mnie pod rękę.

– Jesteś na to gotowy? – zapytała.

– Nie.

– Jak myślisz, jaka dzisiaj będzie?

– Nigdy nie potrafię przewidzieć, co zrobi. Mają tu być wszyscy jej znajomi z East River, więc pewnie podejść, przywitam się, złożę jej życzenia, i tyle. I na to tylko mam ochotę, szczerze mówiąc. Po prostu dobrze się bawmy, La. Ty i ja kontra reszta świata. Pieprzyć wszystkich pozostałych.

– Brzmi jak cudowny plan, skarbie.

Nie miałem pojęcia, gdzie szukać Grace, wiedziałem jedynie, że gdzieś tu powinna być, w otoczeniu nieznanymi mi osób. Przepychaliśmy się przez tłum w stronę diabelskiego młyna, a wielobarwne gondole błyszczały na tle latarni niczym landrynki. Z głośników starej karuzeli leciała, trzeszcząc, *Moonlight Serenade* Glenna Millera, a starsza para tańczyła w kolejce



po frytki.

I wtedy ją zobaczyłem. Ludzie wokół nas nagle się rozstąpili, jakby wyczuwali mój wzrok. Grace Town wcale nie była Grace Town.

Miała na sobie czerwony płaszcz i czerwoną szminkę na ustach. Umyte, zakręcone włosy opadały jej na ramiona miękkimi lokami. Jej skóra nabrała rumieńców, jakby spędziła cały weekend na słońcu. Policzki miała pokryte różem. Najwyraźniej zadała sobie sporo trudu, żeby się wyszykować. Teraz dopiero zrozumiałem, co La miała na myśli, porównując ją do Edie Sedgwick. Obie miały w sobie ten element *femme fatale*, wyglądały jak gdyby przedawkowały heroinę i zostały przywrócone do życia zastrzykiem z adrenaliny. Grace błyszczała, płonęła, a gwiazdy, które zgasły, żeby przekazać jej swoje atomy, rozświećlały ją zza grobu. Jeszcze nigdy nie widziałem niczego tak zatrważająco, poruszająco pięknego.

Grace znajdowała się w otoczeniu innych, tak jak przewidywałem. Już wcześniej dostrzegłem w niej przebłąski dziewczyny, którą niegdyś była – takiej, która byłaby w stanie zapełnić cały festyn swoimi przyjaciółmi – a oto miałem przed sobą dowód. Zauważyła, że się nią wpatruję, uśmiechnęła się i przywołała mnie gestem.

– Henry – szepnęła Lola, ściskając mnie za rękę. – Nie rób tego.

– Spójrz tylko na nią.

– Patrę. I widzę jedynie pułapkę. – Nic nie powiedziałem, ale ponieważ La była moją najlepszą przyjaciółką i znaliśmy się od dziecka, westchnęła i pozwoliła mi iść. – Uważaj na siebie – dodała.

Grace i ja ruszyliśmy do siebie, przez tłum, poruszając się wolniej niż kręcący się dookoła ludzie. Czas wydawał się zwolnić, jak gdyby ktoś zanurzył nas w miodzie, gęstym, słodkim, złocistym.

– Proszę, proszę – powiedziałem, a ona uśmiechnęła się tym swoim zmęczonym uśmiechem.

– Minęło tyle czasu – odparła, wygładzając czerwony płaszcz. Po jej cukierkowym, beztróskim głosie poznałem, że i ona już się upiła. – Nie czuję się sobą w tym stroju.

Przesunąłem palcami po jej zimnym policzku, a ona się uśmiechnęła i pocałowała mnie we wnętrze dłoni.

– Jesteś śliczna – powiedziałem. – Tęskniłem za tobą.

– Możemy temu zaradzić.

Chwyliła mnie za rękę i poprowadziła z dala od moich i swoich przyjaciół. Oczekiwałem, że spędzę ten wieczór w pewnym oddaleniu, zerkając na nią ukradkiem, może odbywając przelotną rozmowę. A jednak moja dłoń tkwiła w jej dłoni, nasze palce były splecione, jak tamtego dnia, gdy wracaliśmy razem z kina. Wtedy, gdy zyskałem pewność, że będziemy razem.

To było jak zmontowany obraz filmowy, jak coś oglądanego przez filtry. Przez kilka godzin chodziliśmy po targach, ja obejmowałem ją w pasie, a ona najwyraźniej zupełnie się nie przejmowała, że inni nas zobaczą. Tej nocy Grace wcale nie była Grace, ale tryskającą życiem, niefrasobliwą postacią z książki. Rywalizowaliśmy ze sobą na autodromie. Karmiliśmy się watą cukrową. Na samej górze diabelskiego młyna piliśmy wódkę prosto z piersiówki. Rozpościerające się pod nami miasto wydawało się takie małe, niczym zbiór miniaturowych budynków na zdjęciu wykonanym techniką *tilt-shift*. Wygrałem dla niej nawet nagrodę na strzelnicy. Wziąłem ten cały wieczór za dobrą monetę, sądząc, że odtąd tak właśnie wszystko będzie wyglądało.

Grace znów chwyciła mnie za rękę – Boże, dlaczego tak łatwo przychodziło jej dotykanie mnie, kiedy się upiła? – i poprowadziła z dala od tłumów, w stronę pustego pola za diabelskim młynem, gdzie było ciszej i mniej tłoczno.

– Zmieniłam zdanie – oznajmiła, gdy się zatrzymaliśmy.

Natychmiast poczułem, że płonie mi twarz i klatka piersiowa. Uszy paliły wielkim ogniem. Od wielu tygodni zmierzałem do tej chwili, pewien, że nigdy do niej nie dojdzie, a teraz, zamiast czuć euforię, miałem mdłości. Tak bardzo chciałem trzymać się mojego planu, sprawić, by poczuła wyrzuty sumienia za te wszystkie tygodnie piekła, które mi zgotowała, wybierając martwego chłopaka zamiast mnie.

„Wybrałaś innego”, pomyślałem po raz setny. „Jak mam się z tym uporać?”

Ale ponieważ wydawała się taka piękna, ja tak bardzo jej pragnąłem, a ona była tu ze mną, mówiąc to, co rozpaczliwie chciałem usłyszeć, odpowiedziałem tylko:

– Grace, ja naprawdę... – zawiesiłem głos, a wtedy ona zaczęła mówić. Każde cudowne słowo wypływało z jej ust jak trucizna, a mnie robiło się coraz bardziej niedobrze, jak przepowiadał Murray, a przy tym pragnąłem jej coraz bardziej.

– Nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak ty. Musisz to wiedzieć – powiedziała.

– Kochałam Doma, naprawdę go kochałam, ale między nami istnieje coś, czego z nim nie doświadczyłam.

– Grace.

– Poważnie, Henry. To, jak się dogadujemy, ta chemia, która jest między nami. Z Domem tak nie było. Jesteś wyjątkowy... Myślałam, że po nim już nikt mnie nie zainteresuje. Nie chciałam, żeby ktokolwiek mnie zainteresował. A potem się pojawiłeś. Bałam się, ponieważ to nastąpiło tak szybko, ale, Henry, wychodzi nam. Boże, cały czas tak bardzo cię pragnę.

– Nie chcę, żebyś to mówiła, gdy jesteś pijana. Chciałbym to usłyszeć od ciebie trzeźwej.

– Widzę nas razem. Tak naprawdę razem. I chcę tego.

– Powiedz mi to wszystko jutro, kiedy się obudzisz. Chcę, żebyś miała pewność.

– A to, w jaki sposób zareagowałaś na widok jego pokoju. Myślałam, że będzie strasznie, ale ty byłeś taki, że jeszcze bardziej cię chcę.

– Czy ty w ogóle będziesz jutro to wszystko pamiętała?

– Muszę wiedzieć, czy zamierzasz wyjechać na studia.

– Nie wiem. Pewnie tak.

– Bo jeśli ma się nam udać, musisz zostać. Ja jeszcze nie jestem gotowa, żeby stąd wyjechać. I dlatego muszę wiedzieć, czy zostajesz, czy nie. To jak?

– Grace... Jeszcze nie wiem. Nie podjąłem decyzji.

– Jestem bardzo bezpośrednia. Przepraszam.

– Nie szkodzi. W końcu ja też na początku byłem bardzo bezpośredni.

– Tak właśnie powinno być z uczuciami. Ludzie powinni mówić, co myślą. Zazdroszczę ci, że potrafisz zwerbalizować to, co do mnie czujesz.

– Nie potrafię. Tylko czasami. Tylko z tobą.

– Nadal mnie chcesz?

– Nic się w tej kwestii nie zmieniło – odparłem, a resztki mojej determinacji rozplynęły się w powietrzu. Bo jak miałem winić ją za to, że ciągle go kochała? Ona wciąż była niepewna, a ja?

Ja miałem pewność.

I zawsze będę miał.

Ale nie znajdowałem się na pozycji pozwalającej mi grać niedostępnego. Obawiałem się, że gdybym to zrobił, Grace by sobie poszła. Oparłem się o mur, lewą ręką przeczesałem włosy, oczy mnie piekły, ale pozostawały suche. Nie byłem w stanie na nią spojrzeć.

– Powiedz mi, co do mnie czujesz – poprosiła Grace. Głowę położyła mi na ramieniu, przywarła do mnie ciałem.

- Grace.
- Chcę to znów usłyszeć.
- To nie fair.
- Wiem. Ale brakuje mi tych słów, chcę żebyś je powiedział.
- Nigdy nie czułem do nikogo tego, co czuję do ciebie.
- Więcej.

Wtedy pojawiła się Lola. Diablica i anielica w jednym.

- Tu jesteście! – zawołała, odciągając Grace ode mnie, odcinając mnie od źródła trucizny.
- Grace, skarbie, niezwykle seksowna laseczka o imieniu Piper próbuje cię właśnie odnaleźć.

Grace spojrzała na mnie.

- Poszukaj mnie później – powiedziała i pocałowała mnie w policzek. A potem zniknęła, a ja osunąłem się na ziemię i ukryłem twarz w dłoniach. Lola ukucnęła obok mnie.
- Chyba za chwilę przejdę załamanie nerwowe.
- Przeklęta dziewczucha. Same problemy z babami. Powinniśmy się zbierać i to natychmiast.

Ale oczywiście tego nie zrobiliśmy. Grace była moim narkotykiem, a dzisiejszej nocy diler rozdawał działki za darmo. Wiedziałem, że zostanę dopóty, dopóki nie przedawkuję.

Wróciłem z Lolą na festyn. Poprosiliśmy kuzyna Grace, żeby kupił nam drinki, a później Grace mnie znalazła i znów była pijaną sobą: flirtującą, rozmowną, wesołą. Przypochlebiała się mi, wplatała palce w moje włosy, a ja jej na to pozwalałem. Jak totalny idiota siedziałem i pozwalałem, żeby robiła, co tylko chciała, żeby ludzie nas widzieli razem – wszyscy jej znajomi – i czułem, jak mi się serce kurczy, gdy mówiła te wszystkie miłe rzeczy. Takie cudowne. Pomyślałem, że może jednak będziemy razem. Bo przecież nie robi się takich rzeczy drugiemu człowiekowi, prawda? Nie szuka się go po to, by zadeklarować swoje uczucia, jeśli to jest kłamstwo.

– Musisz zaszaleć, Henry – powiedziała nagle. Siedziała mi właśnie na kolanach przyciskając wargi do mojej skroni. – Musisz iść i pieprzyć się z mnóstwem dziewczyn. Żeby mogła cię nienawidzić. Byłoby dużo prościej, gdybym mogła cię nienawidzić.

– O czym ty mówisz?

– To wszystko jest takie popierdolone – bełkotała, głowę miała zwieszoną. Była pijana, autentycznie, kompletnie pijana. Wcześniej widywałem ją podchmieloną, ale nigdy tak totalnie ululaną. – Muszę iść do łazienki.

– Okej – odparłem. Zeszła mi z kolan i poszła chwiejnym krokiem do łazienki, gdzie – jak zakładałem – zamierzała zwymiotować, a potem posiedzieć chwilę i popłakać. Może powinienem był wstać i iść za nią, ale tego nie zrobiłem. Siedziałem samotnie przez dwadzieścia minut, jedząc corn doga, a gdy skończyłem, postanowiłem odnaleźć jej koleżankę – Piper, czy jak tam miała na imię – żeby poszła sprawdzić, czy Grace żyje (żyła).

Piper wróciła po dziesięciu minutach. Właśnie łowiliśmy z Lolą żółte kaczki na strzelnicy.

– Możesz zabrać ją do domu? – zwróciła się do mnie. – Twierdzi, że wyjdzie z łazienki tylko wtedy, jeśli ty ją odwieziesz.

– Słuchaj... Nie wiem, czy to taki dobry pomysł.

– Powiedziała, że nadal jej na tobie zależy, Henry.

Miałem ochotę powiedzieć: „Wiem o tym”. Musiałem tego wysłuchiwać przez ostatnie dwie godziny.

– Okej. Dobrze. Wyprowadź ją. Dopilnuję, żeby dotarła bezpiecznie do domu. Stanąłem z Lolą niedaleko wyjścia z terenu targów, czekając, aż Piper wyciągnie Grace

z łazienki. Jakies dziesięć minut później Grace się wyłoniła z budynku, z rozsmarowaną maskarą i oczami spuchniętymi od płaczu. Skrzyżowałem ręce na piersi i obserwowałem, jak Piper sadza ją na trawie i idzie do stoiska z watą cukrową po wodę. Uznałem to za jawną niesprawiedliwość, że niektórzy ludzie nawet zaryczani i pijani nadal wyglądają pięknie.

– Henry Page – powiedziała Grace bez emocji, gdy jej koleżance udało się w końcu postawić ją na nogi. – Zabierz mnie do domu.

– Chodź. – Lola objęła ją za szyję. – Idziemy stąd.

Nie chciałem zabierać jej do siebie. Nie chciałem, żeby się rozebrała i leżała naga w moim łóżku. To nie fair, że mogła mnie mieć, kiedy tylko tego zapagnęła.

Zaczął padać deszcz, a to ją nieco otrzeźwiło. Oderwała się od Loli i zaczęła obracać się chwiejnie w kółko, krople deszczu przywierały do jej włosów i płaszcza. Nie miała laski, musiała ją wcześniej zgubić, ale bez niej wydawała się wręcz zwinniejsza. Jakby wcale jej nie potrzebowała, tylko trzymała ją, by czuć się bezpiecznie – tak samo jak jego ubrania.

– Kiedyś tańczyłam – powiedziała, wyciągając ręce nad głowę. – W balecie. Chyba nigdy ci tego nie mówiłam. Kolejna rzecz, której nie mogę już robić.

Lola trzymała mnie za rękę i opierała głowę o moje ramię. Przypatrywaliśmy się oboje, jak Grace tańczy w deszczu, bo nie sposób było nie patrzeć. Nie sposób było się tym nie zachwycić. To było jak sen na jawie.

Po chwili Grace się ukloniła z uśmiechem, a Lola zaczęła bić jej brawo.

– Ojej. Henrik chyba nie jest ze mnie zadowolony – stwierdziła. – Byłam dla niego niedobra. Pewnie na to zasługuję.

– Powinnaś wziąć to z powrotem – odparłem, wyjmując z portfela (w którym tkwił przez ostatnie miesiące) *Nie kocham cię* – wiersz od początku stanowiący przepowiednię.

Wyjęła mi go z ręki, zaśmiała się i objęła mnie za szyję.

– Nie chcę go z powrotem, drogi Henry. Przecież ci go dałam.

– Nigdy nie będziesz moją dziewczyną prawda? – zapytałem bez emocji. Lola stała tuż obok, ale byłem bardziej pijany, niż sądziłem, więc mi to nie przeszkadzało. Nie przeszkadzało mi, że wszystko słyszy.

– Jezus Maria! – Grace oderwała się ode mnie. – Czy ty kiedykolwiek myślisz o czymś innym? Czego ode mnie chcesz?

– Chcę, żebyś ze mną była. – Ech, ale wyszło zaborczo.

– J e s t e m z tobą. Dosłownie. W tej chwili. Jesteśmy razem.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Dlaczego musiałeś napisać mi ten głupi list? Dlaczego nie możemy po prostu robić tego, co robimy? Nie chcę serwować ci frazesów rodem z Hollywood, ale czy koniecznie trzeba przykleić etykietkę?

– O Boże. Czy zdajesz sobie sprawę, jak śmiesznie brzmi to, co mówisz?

La udawała, że znalazła coś szalenie interesującego w swojej komórce.

– Ja? A ty? Czego ty chcesz? Chciałbyś, żebyśmy zaistnieli oficjalnie na Facebooku, by twoja rodzina i znajomi mogli dać nam lajki? – Grace rozdarła wiersz na dwie części, a potem jeszcze na dwie, i jeszcze raz, po czym rzuciła je na mokry chodnik. – Nie możesz narzucać ludziom swoich fantazji i oczekiwać, że się im podporządkują. Człowiek to nie jest puste naczynie, które wypełnisz swoimi marzeniami.

– Chodź z nami do Burger Kinga – odezwała się nagle Lola, wsuwając się między nas obejmując Grace w pasie. – Zjesz coś, a potem prześpisz się u Henry’ego albo u mnie.

– Jeśli pójdę do Burger Kinga, z pewnością obrzygam wszystko dookoła. – Grace chwyciła Lolę, żeby utrzymać równowagę, a potem spojrzała na mnie. Zamrugowała kilkakrotnie,

żeby odzyskać ostrość widzenia, jasne włosy opadły jej na twarz. – Chciałam wiedzieć, jak zareagujesz. Zmusiłam się, żeby dzisiaj być nią. Grace w wersji Kintsukuroi, posklejana złotem. Nigdy wcześniej nie patrzyłeś na mnie tak jak dzisiaj, kiedy zobaczyłeś mnie w tłumie. Obawiam się, że żywisz uczucia do kogoś, kto nie istnieje.

To powiedziawszy, puściła Lolę i zwymiotowała na chodnik, po czym opadła na ziemię, przedstawiając sobą żaloszny widok. Potrzebowaliśmy dobrych kilku minut, żeby ją podnieść, i kolejnych pięciu, by przekonać taksówkarza, że nie będzie mu potrzebny stary ani młody ksiądz<sup>[\*18]</sup>, jeśli odwiezie ją do domu.

– Dzięki za to, że się mną zająłeś i w ogóle – powiedziała, wsiadając.

– Nie ma sprawy. Jedź... bezpiecznie.

Chwyciłem za klamkę, żeby zamknąć drzwi, a wtedy powiedziała:

– Kocham cię, Dom.

W chwili, w której drzwi trzasnęły, moje serce rozdarło się jeszcze bardziej. Urwała się ostatnia nić, która je trzymała. Patrzyłem w ślad za odjeżdżającą taksówką, czując, że nie jestem w stanie oddychać. Zresztą, wcale nie chciałem oddychać. Miałem ochotę położyć się na chodniku i czekać, aż wchłonie mnie beton.

– Czy ona powiedziała to, co mi się wydaje, że powiedziała? – zapytała La, podnosząc podarte fragmenty wiersza Pabla Nerudy i wkładając je do torebki. A miałem nadzieję, że nie usłyszała.

– Taaa – odparłem, wpatrując się w znikający samochód. Ręce trzymałem w kieszeniach, stałem nieruchomo i nie byłem pewny, jakim cudem nadal żyję.

– Słuchaj, nie daj się jej zniszczyć. Zakochanie się w niej było z góry skazane na porażkę. Grace cię kocha, tak? Na swój własny sposób. Gdybyś był pierwszy, gdybyś pojawił się przed nim, zrozumiałaby, że to miłość. Tyle tylko, że to, co ich łączyło...

– Było potężniejsze? Lepsze?

– Ludzie wydają się idealni, kiedy zostaje po nich tylko wspomnienie. Nigdy nie będziesz mógł się równać z martwym gościem.

– Dzięki za szczerość. – Pokręciłem głową. – Na trzeźwo jest taka seksowna jednocześnie zimna. Dopiero kiedy się upije, daje mi do zrozumienia, że mnie chce.

– Po pijaku człowiek jest najbardziej prawdomówny, no nie? Wtedy znikają zahamowania i mówisz to, co naprawdę myślisz.

– Na przykład, że kochasz swojego nieżyjącego chłopaka?

– Wiesz, co mam na myśli.

– Taaa. Bo chyba nie można całować kogoś i odbierać mu dziewictwa, jeśli się go nie kocha, prawda?

– Właśnie. To byłoby pozbawione skrupułów. – Lola objęła mnie ramieniem i pocałowała w policzek. – Ale ja cię kochałam wtedy, gdy się całowaliśmy, wiesz? Nadal cię kocham, i to bardzo.

– Dzięki, La. Ja też cię kocham.

– Cudownie. A teraz znajdziemy jakiegoś Burger Kinga, bo zaraz skonam z głodu.

Kiedy dotarłem do domu, nie wszedłem do środka. Udałem się do ogrodu, do szopy, w której tata wykonywał wszystkie swoje prace stolarskie. Znalazłem benzynę i rozpałem palenisko, przy którym moi rodzice często podejmowali swoich znajomych. A potem zacząłem wyrwać kartka po kartce z *You Are Stardust* i wrzucać je w płomień.

Nie postrzegalem tego jako niszczenia książki, raczej jako uwalnianie tworzących ją atomów.

W sobotę w południe pojawiły się Lola i Georgia (oczywiście nieproszone, a do tego

każda przyniosła góry jedzenia, które zwinęły z mojej kuchni).

– Przychodzi mi do głowy pięcioliterowe słowo, które zaczyna się na „f”, kończy na „a”, w środku ma „j” – oznajmiła La, rzucając mi na łóżko przemycone produkty.

– Fajka? – zasugerowałem.

– Fleja, Henry. Fleja.

– Boli mnie serce, La.

– To dobrze. Zaslugujesz na ból – odparła, po czym wlaża mi pod kołdrę i splotła nogi z moimi nogami.

– Lola, nie możemy tak się afiszować z naszym sekretnym romansem przed twoją dziewczyną! – rzuciłem dramatycznym głosem, ujmując jej twarz w dłonie.

– Możesz ją sobie wziąć – powiedziała Georgia. Włączyła telewizor i konsolę i rozsiadła się wygodnie na sofie. – Ma kaca, jest marudna i ogólnie upierdliwa. Słyszałeś o jej wczorajszym wielbiciele? Niejakim Samuelu? Podobno poprosił Murraya o jej numer telefonu.

– Phi. Jakby to było coś nowego – odparła Lola. – Faceci ciągle rzucają mi się do stóp. – Rozpakowała lizaka w kształcie laski bożonarodzeniowej, podała mi go, a sama otworzyła sobie następnego i zaczęła go lizać. – Masz jakieś wieści od Tej-Ktorej-Imienia-Nie-Wolno-Wymawiać?

– Taaa. Wysłałem jej rano SMS-a.

– Henry.

– Tak, tak. Wiem.

– No i?

– Typowo. Powiedziała, że była pijana i głupia i przeprosza, ale powinienem był ją znać na tyle, by wiedzieć, że nie mam jej słuchać w takiej sytuacji.

– Ja pierniczę. A więc nie wściekłeś się na nią za to, że zgotowała ci scenę godną pana Darcy’ego, i ni z tego, ni z owego przyrzekła ci dozgonną miłość? A potem odstawiła *Egzorcystę* i przygalała się na moje buty?

– Nie.

Lola przysunęła się bliżej i poklepała mnie po głowie.

– Dasz radę, Henry.

– Wiem.

A potem oboje zasnęliśmy przy chrzęcie czaszek, które Georgia miażdżyła w BioShock Infinite.

## ROZDZIAŁ 24

W pierwszy piątek grudnia zostałem bezceremonialnie wyciągnięty z lekcji pana Hotchkissa. Zrobił to profesor Hink, który był zapewne niezmiernie szczęśliwy, mogąc przeszkodzić w matematyce. Przeszliśmy w milczeniu do gabinetu dyrektorki. Lola już siedziała na wprost jej biurka, na którym leżało trzydzieści stron gazety, z czego połowa świeciła pustką.

– Raczysz to wyjaśnić, Page? – zapytała pani Valentine.

Już od pewnego czasu spodziewałem się tej rozmowy, tyle że nie byłem w stanie wykrzesać w sobie energii, by się nią przejąć. Przez cały tydzień po Święcie Dziękczynienia Grace nie zjawiła się ani razu w szkole i chociaż Lola nalegała, żebym wziął tyłek w troki albo pójdzie prosto do dyrektorki, ja niczego nawet nie tknąłem. Nie mogłem się zmusić, żeby choćby wejść do redakcji.

– To wygląda jak niedokończony wydruk gazety – odparłem.

– Poprosiłem dzisiaj rano Lolę, żeby wydrukowała wszystko, co do tej pory

przygotowaliście – odezwał się Hink. – Oto, co mi wręczyła.

– Bezprzykładność – powiedziała La bezgłośnie.

– Zdrajczyń – odpowiedziałem w ten sam sposób.

– Mamy tego znacznie więcej – wyjaśniłem. – Cały wielki tekst na temat *Magic: The Gathering*, a także kilka innych artykułów, które są już prawie gotowe. Za parę dni możemy przekazać je Loli.

– Za późno – oparła. – To właśnie próbowałam ci wytłumaczyć. Nie upchnę trzech miesięcy pracy w dwa dni.

– W poniedziałek gazeta idzie do druku, Page. Gdyby to zależało tylko ode mnie, zostałbyś natychmiast usunięty ze stanowiska, jednak profesor Hink wierzy, że jesteś w stanie coś jeszcze zorganizować. Drukarnia została już opłacona, a ja muszę powiedzieć, że nigdy w ciągu trzydziestu pięciu lat istnienia gazety „Westland Post” nie zdarzyło się, żeby nie poszła do druku. I teraz też tak się nie stanie. Rozumiemy się?

– Tak.

– Jesteście zwolnieni z lekcji do końca dnia. Zbierzcie swoich autorów, zamknijcie się w redakcji i PRZYGOTUJCIE NUMER!

– Dobrze.

Lola zaprowadziła mnie do redakcji, zebrała wszystkich naszych współpracowników, a po południu pojawili się Hink i dyrektorka, żeby dopilnować pracy i wybrać motyw „złotych lat”, na którym mieliśmy się skoncentrować. I chociaż to miało być najgorsze wydanie gazety w całej, już i tak niezbyt imponującej, historii „Westland Post”, pomyślałem sobie, że może – może – wezmę tylek w troki na tyle, żeby na czas przygotować ten cholerny numer. To znaczy, myślałem tak, dopóki nie zerknąłem na telefon i nie znalazłem tam:

1. SMS-a od mamy o treści:

RODZICIELKA:

Jesteśmy w domu Grace. Przyjdź od razu, kiedy odczytasz tę wiadomość. Zadzwoń, jeśli mam po Ciebie przyjechać.

Co nie miało absolutnie żadnego sensu.

Oraz:

2. Wiadomości zostawionej przez nieznanego nadawcę. Szybko ją odtworzyłem, zastanawiając się, dlaczego moja mama jest w domu mojej jakby-eks-dziewczyny.

– Henry – rozległ się znajomy głos, tyle że wystraszony i łzawy. Ten ktoś najwyraźniej musiał płakać. Dopiero po chwili go poznałem i zrozumiałem, dlaczego słysząc jego przerażenie, sam poczułem wielki ucisk w żołądku. – Mówi Martin Sawyer, ojciec Dominica. Czy mógłbyś do mnie jak najszybciej oddzwonić? My... – rozplakał się. – Sprawa jest pilna. Dzisiaj... nie wiem, czy Grace ci mówiła, ale dzisiaj są urodziny Doma – pierwsze po jego odejściu – i ona... ona... – Reszty nie usłyszałem.

– Grace – powiedziałem. – Coś się stało Grace.

Dyrektorka podniosła wzrok z sekssofy, na której siedziała i coś czytała.

– Jestem świadoma tego, że panna Town przebywa w nieznanym miejscu, ale tą sprawą zajmuje się już jej rodzina oraz policja.

– W i e d z i a ł a pani o tym? – zapytałem tonem, którego nigdy wcześniej nie użyłem w rozmowie z osobą dorosłą. – Wiedziała pani i nic nam pani nie powiedziała?

– Gazeta idzie do druku w poniedziałek. Macie niecałe siedemdziesiąt dwie godziny, żeby nadrobić kilka miesięcy zaległości.

– Muszę iść – odparłem, chwytając za plecak. – Muszę ją znaleźć.

– Henry, jeśli opuścisz to pomieszczenie, nie będę miała wyboru i usunę cię ze stanowiska redaktora naczelnego.

Ale ja już wybiegłem z redakcji. Lola coś za mną krzyknęła, jednak nie otwierałem ust, bo bałem się, że zwymiotuję.

Grace Town nie żyła.

Wiedziałem. Zdawałem sobie z tego sprawę jakimś zapomnianym kątem duszy, który pozwalał wiedzieć, nie wiedząc skąd i jak. Biegłem tak szybko, jak nie potrafiłem biec podczas tego idiotycznego meczu, na który mnie zaciągnęła – najwyraźniej jednak nie tak szybko jak Lola.

– Henry, zaczekaj!

– Wracaj.

– Chyba cię pogięło! – odparła, a ponieważ uznałem, że to przekonujący argument, dalej biegliliśmy razem.

Po drodze pomyślałem sobie: Ale z niej tchórz. Wzięła i się zabiła, zostawiając mnie samego. Jeśli kiedykolwiek miałem wątpliwości co do tego, czy ją naprawdę kocham, wszystkie rozplynęły się bez śladu w ciągu tych koszmarnych dziesięciu minut szalonego biegu do jej domu, kiedy wiedziałem, po prostu wiedziałem, czego dowiem się na miejscu.

Na podjeździe stał wóz policyjny, drzwi wejściowe były szeroko i niepokojąco otwarte, jak to zwykle bywa w serialach kryminalnych, by pokazać, że w środku stało się coś bardzo złego. Wszedłem chwiejnie do środka. Na górze schodów stał policjant, dookoła znajdowali się zdenerwowani dorośli, z których dwoje było moimi rodzicami. Ciężko dysząc, oparłem ręce na kolanach, popatrzyłem na nich i odezwałem się całkiem spokojnie:

– Czy... ona... nie żyje? – Na moje słowa blondynka w średnim wieku, której nigdy wcześniej nie widziałem, wybuchnęła szlochem.

Moja mama podeszła i mnie objęła.

– Nie, nie, nie, nie... – powtarzała kojącym głosem, którym mamy uspokajają zwykle swoje dzieci wybudzone z koszmaru nocnego. Mój tata podszedł do płaczącej blondynki, która po bliższych oględzinach okazała się lubującą się w alkoholu matką Grace Town. Miały takie same chude, wklęsłe rysy twarzy, przez które w niewłaściwym świetle wyglądały jak narkomanki, a jednocześnie były niezwykle piękne. Matka Grace, jasnowłosa, o wielkich sarnich oczach i rozmazanym makijażu, wydawała się jeszcze większą *femme fatale* niż jej córka.

– Co się stało? – zapytałem, kiedy znów mogłem oddychać, a ponadto oderwałem się od mamy. – Gdzie jest Grace? Skąd się tu wzięliście?

– Grace zaginęła. Wyszła z domu o świcie, nie zabierając komórki, i dotąd jeszcze nie wróciła. Martin przyszedł do nas, bo sądził, że może ty wiesz, gdzie ona może być. Daliśmy mu twój numer telefonu i przyjechaliśmy, żeby na ciebie poczekać. Jesteśmy tu zaledwie od godziny.

– Ten samochód policyjny... Sądziłem... Mogliście zabrać mnie ze szkoły od razu, kiedy się dowiedzieliście, że zniknęła.

– Jestem pewien, że się znajdzie – powiedział mój tata.

Wtedy podszedł Martin, mierzwiąc palcami włosy. Jeszcze nigdy nie widziałem tak wynędzniałej istoty ludzkiej. Zaczął rozmawiać z mamą Grace, której imienia nie było mi dane poznać.

– Policja twierdzi, że powinniśmy sprawdzić najpierw wszystkie miejsca, w których często bywała. Wiem, że planowali z Domem wyjazd na jego urodziny do domku nad jeziorem, więc pojedziemy tam teraz z Mary. Zadzwoń też do jej przyjaciółek z East End, niech zajrzą do biblioteki, w której lubiła pisać, i kawiarni, w której jadała śniadania. I może jeszcze do łodzi mieszkalnej na przystani.



Tyle miejsc. Miejsc, o których nie miałem pojęcia. Grace na łodzi? Co tam robiła? Przechodziła kolejny kryzys egzystencjalny? Rozmyślała o gwiazdnym pyłe, atomach i bezsensie życia? Nie, raczej nie. Zapewne opalała się w wiosenne dni, Dom siedział u jej boku, w tle grała muzyka, oboje sączyli słodkie wino i prezentowali uśmiechy z reklamy. Pewnie tak właśnie było. Tak robiła Grace z Facebooka, której nigdy nie poznałem.

I może już nigdy nie poznam.

A potem padło pytanie, którego się obawiałem.

– Henry? – Martin zwrócił się do mnie. – Przychodzi ci do głowy miejsce, w którym mogłaby być?

Zacząłem rozpaczliwie szukać okoliczności, w których ją widywałem. Grace w naszym redakcyjnym akwarium. Grace w czarnej sali teatralnej. Grace w moim piwnicznym pokoju, zwinięta w mojej pościeli, ubrana jedynie w moją koszulkę.

– Eee... może... A sprawdzaliście na cmentarzu? Albo na bieźni?

Martin skinął głową, wyraźnie rozczarowany.

– Pojechaliśmy tam rano. Także do parku narodowego, na miejsce wypadku.

– Mieli wypadek w parku narodowym?

– Jechali do tamtejszej restauracji – odparł Martin.

Serce mi się ścisnęło tak samo, jak wtedy podczas meczu, gdy jeden ze Zgniataczy prawie zrobił ze mnie miazgę. Grace zabrała mnie na randkę do miejsca, w którym on zginął. Zerwała kwiaty z grządkki i zostawiła mnie samego nad morzem, a sama poszła położyć je przy drodze, tam gdzie mieli wypadek. Jezus Maria.

– Ale pewnie możemy tam zajrzeć jeszcze raz – ciągnął ojciec Dominica. – Coś jeszcze przychodzi ci do głowy? – Zaprzeczyłem, świadomy, że matka Grace przestała płakać i wpatrywała się teraz we mnie bez mrugnięcia okiem, tak samo, jak często robiła jej córka.

W sposób, przy którym człowiek miał wrażenie, że jego skóra jest przezroczysta niczym szkło, a każdy sekret prześwituje przez nią, wryty w kościach. – No dobrze, ale daj nam znać, jeśli coś ci się przypomniało. Przepraszam, ale pójde zadzwoić do jej koleżanek.

Wtedy zaczęło się najgorsze. Czekanie.

Czekanie, kiedy wszyscy rozjechali się w rozmaite miejsca, żeby jej szukać. Czekanie, gdy przyjechało więcej policjantów, rzucających pocieszające słowa pomiędzy pytaniami, które w niespecjalnie zawołowany sposób sugerowały, że Grace popełniła samobójstwo. Czekanie podczas bezcelowej jazdy po okolicy i zwalnianie na widok każdego przechodnia, który mógł być nastolatką, przez co wyglądaliśmy jak napastnicy seksualni na łowach. A potem czekanie w domu, wieczorem, po tym jak gliny kazały nam odpocząć, rzucając przy tym wyjątkowo wredny tekst o tym, że „znajdzie się na pewno, w taki czy inny sposób”. Czekanie w łóżku, w ubraniu, nasłuchiwanie, jak zegar wybija północ, nadal bez wieści na temat Grace. Czekanie w całkowitej bezczynności, wyobrażanie sobie, jak jej ciało opada na dno niczym Ofelia albo Virginia Woolf, bo gdyby Grace miała targnąć się na swoje życie, zrobiłaby właśnie coś takiego, coś dramatycznego i książkowego, żeby ludzie mogli mówić o tragicznej, a przy tym poetyckiej naturze śmierci. Czuję niemal pokusę, by popędzić na górę i upewnić się, czy nie wsadziła głowy do mojego piekarnika na modłę Sylvii Plath. A potem zacząłem rozmyślać o tym, jak się zabijają dziewczęta w rodzaju Manic Pixie Dream Girls. Czy wjeżdżały na swoich holenderkach na fotogeniczne tory kolejowe i czekały na *midnight express*, który zmiecie je z powierzchni ziemi? Czy raczej topiły się w swoich tajemniczych jeziorach z rybami?

Jezioro z rybami.

Zerwałem się z łóżka. Jezu. Ale ze mnie kretyn.

– Wiem, gdzie ona jest – powiedziałem na głos. Żywa czy martwa, wiedziałem, że ją tam znajdę.

Nie miałem ani czasu, ani powodu, żeby budzić rodziców – narzuciłem tylko kurtkę, chwyciłem leżące na stole kluczyki i popędziłem do samochodu. A potem pojechałem do miasta. Wspiąłem się na ogrodzenie. Skręciłem sobie kostkę, przeskakując przez cholerny żywopłot. Dokuśtykałem do opuszczonego dworca kolejowego. Włamałem się do środka. Pobiegłem w dół spiralnych schodów prowadzących do podziemi.

I wtedy ją ujrzałem, w ciemności, do pasa zanurzoną w nieruchomej wodzie. Żywą. Cudownie, fantastycznie żywą. Moje wnętrzności roztopiły się z poczucia ulgi i została ze mnie jedynie szklana skorupa. Kolana się pode mną ugięły.

– Grace! – wrzasnąłem, prawie ześlizgując się ze schodów, tak szybko pędziłem. – Grace!

Odwróciła się w moją stronę. Mimo że w podziemiach panował mrok, rozproszony jedynie światłem księżyca, widziałem na jej twarzy zastygłe strumienie łez. Dłonie oparła płasko na powierzchni wody, oddech miała krótki, urywany. Na chwilę zwolniłem, niepewny, czy przypadkiem nie śnię, bo wyglądała tak baśniowo. We włosy wplotła wianek bladych kwiatów i ubrała się na biało, całkowicie na biało, jak w ślubną suknię. Przede mną stała Ofelia, jak żywa.

Wbiegłem do wody, która w końcu spowolniła moje kroki, a wtedy zacząłem brodzić do miejsca, w którym się znajdowała. Zdjąłem kurtkę i owinąłem wokół jej ramion, cała bowiem się trzęsła.

– Chodź, musisz wyjść z wody – powiedziałem, ale ona się nie ruszyła – nie była w stanie. Popatrzyła na mnie oczami pełnymi łez i nagle świat się załamał. Wyglądało to tak, jakby Grace pękła, by jej ból mógł się wreszcie z niej wydostać. Płakała, łkała, jej ciałem wstrząsał jeden szloch za drugim, z trudem sobie z nimi radziła. Opadła na mnie, czułem na sobie cały jej ciężar, mógłbym przysiąc, że wyczuwałem także jej rozpacz promieniującą na zewnątrz. Wciągałem ją z każdym oddechem, dopóki nie pozbyła się największego balastu.

– Dlaczego on musiał zginąć, Henry? – powtarzała na okrągło, szlochając. – Dlaczego umarł? Dlaczego on, a nie ja?

– Tak mi przykro – wymamrotałem. Przyciągnąłem ją do siebie i mocno przytuliłem, bo nie wiedziałem, co jeszcze miałbym powiedzieć albo zrobić. – Tak bardzo mi przykro.

Staliśmy tak, aż zacząłem szcząkać zębami i miałem wrażenie, że kompletnie nie czuję nóg.

Ni z tego, ni z owego, Grace przestała płakać – zupełnie jak gdyby miała określony zapas łez i właśnie go wyczerpała. Wysunęła się z moich objęć i nie oglądając się za siebie, ruszyła w stronę schodów. Moja kurtka wlokła się po powierzchni jeziora. Usiadła na pierwszym stopniu, nadal drżąca, nadal trzymając stopy w zimnej wodzie. Oczywiście poszedłem za nią, bo tamtej nocy poszedłbym za nią wszędzie, nawet w lodowatą głębinę.

Usiadłem obok niej po turecku, starając się nie okazywać, jak bardzo mi zimno, ponieważ po prostu chciałem z nią być, sam na sam, zanim odwiozę ją do domu. Wyłowiłem komórkę z kieszeni kurtki i zadzwoniłem do Martina. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Boże, błagam! Powiedz, że ona żyje!

– Znalazłem ją – odparłem. – Nic jej nie jest. Przywiozę ją.

– Dzięki Bogu! Dzięki Bogu. Przywieź ją do nas.

– Tak zrobię. Do zobaczenia niebawem. Grace jest bezpieczna, nic jej się nie stało. Czy mógłby pan dać znać moim rodzicom, że wszystko jest w porządku i niedługo wrócę do domu?

– Ależ oczywiście. Dziękuję. Dziękuję ci bardzo!

Rozłączyłem się.

– Wszyscy tak bardzo się o ciebie martwili – odezwałem się cicho.

– Wiesz, że w pierwszym miesiącu po tym, jak on zginął, byłam pod obserwacją?

Wszyscy zakładali, że skoro go nie ma, ja też spróbuję ze sobą skończyć. Nie mogłam nawet odbyć żałoby w spokoju, bo ciągle ktoś walił do drzwi łazienki, obawiając się, że podcięłam sobie żyły. Dom nigdy by mnie nie posądzał o coś takiego. Tylko on mnie znał.

Nie byłem w stanie spojrzeć jej w oczy. Zaledwie kilka godzin wcześniej byłem pewien, że nie żyje. Że popełniła samobójstwo. Byłem jedną z tych osób, o których mówiła. Które jej nie znały – w przeciwieństwie do Doma.

– Nie miałam depresji, i nadal nie mam. Jestem tylko kurewsko wściekła... Chcę ci o nim opowiedzieć – dodała przez szcękające nieco zęby.

– Grace... nie musisz. – Nie mogłem powiedzieć jej tego, co chciałem: „Błagam, nie. Boże, nie opowiadaj mi o nim. Czy niewystarczająco złamałaś mi serce?”

– Wiem. Ale byłam niesprawiedliwa wobec ciebie. Zasługujesz na to, żeby poznać prawdę.

– Prawdę?

– Poznałam go, gdy miałam dziewięć lat. Boże, tyle wspomnień z dzieciństwa znika we mgle, ale ten dzień, w którym spotkaliśmy się po raz pierwszy... To był początek jesieni, chłodno, ale nadal zielono. Mój tata już nie żył, a matka przepadła trzy dni wcześniej, w domu nie było nic do jedzenia, więc zadzwoniłam do wuja. Przyjechał po mnie, ale potrafił zajmować się dziećmi mniej więcej tak samo dobrze jak jego siostra, wobec czego zostawił mnie kobiecie,

którą pracował. Pamiętam, że zabrała mnie do siebie, jechałyśmy samochodem, a ona opowiadała, że ma syna w moim wieku. Tyle że ja nienawidziłam chłopaków. Byli dla mnie niemili w szkole, o ile do niej chodziłam. No wiesz, takie obce, dziwne stworzenia... W każdym razie kiedy dotarłyśmy na miejsce, Dom skakał na trampolinie w ogrodzie. Pamiętam, że wydał mi się najpiękniejszym chłopcem na świecie, co było zaskakujące, bo nigdy tak o nich nie myślałam. Byłam wtedy niesamowicie nieśmiała, zupełne przeciwieństwo Doma. Na mój widok natychmiast zeskoczył z trampoliny i zaprosił do gry w Mario Kart. Nie znałam jej – ba, nigdy wcześniej nie widziałam na oczy konsoli – więc musiał mnie wszystkiego nauczyć, ale był niezwykle cierpliwy i pozwolił mi wygrać. To był jeden z najlepszych dni mojego dzieciństwa. Graliśmy w gry, a potem, kiedy słońce zaszło, siedzieliśmy w domku na drzewie, trzymając się za ręce, i oglądaliśmy bajki na jego laptopie. Pokochałam go. Pokochałam jego rodzinę. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że tacy ludzie w ogóle istnieją. Zanim zapadła noc postanowiłam, że wyjdę za niego za mąż.

Zaśmiałem się cicho wbrew sobie – Grace także.

– Dziecinada, co? – powiedziała, ocierając łzę. – Tylko że on też się we mnie zakochał i to, co nas łączyło, zamiast zblednąć z czasem, stało się bardziej rzeczywiste. Dom był pierwszym chłopakiem, z którym trzymałam się za ręce. Pierwszym, którego pocałowałam. Pierwszym i jedynym we wszystkim, dopóki nie pojawiłeś się ty.

– Ja nie... nie sądziłem...

– Nie potrafię ubrać w słowa, jak to jest kochać kogoś w taki sposób. I stracić. To dlatego przestałam pisać – ponieważ słowa zawodzą. Ludzie zwykle mawiają, że nie wiedzą, co mają, dopóki tego nie stracą, ale ja wiedziałam. Po prostu wiedziałam od samego początku, że łączy nas coś niesamowitego. Każdego dnia bałam się, że stracę jego i ich wszystkich. Często zamartwiałam się, że coś mu się stanie albo oni wszyscy będą mieć w końcu dość mojej pokręconej rodziny, ale nigdy tak się nie stało. Ciągle zadawałam sobie pytanie: jak to możliwe, żeby dwoje ludzi miało aż takie szczęście? Jakim cudem wszechświat nas połączył, kiedy mieliśmy zaledwie dziewięć lat? Czy to sprawiedliwe, że to, czego wszyscy szukają, my

otrzymaliśmy podane na srebrnej tacy, gdy byliśmy zbyt młodzi, by zrozumieć, że tego właśnie chcemy?

Przerwała na chwilę.

– Ale teraz już chyba rozumiem – ciągnęła. – Ta cała miłość, która miała trwać przez całe nasze życie, została wtłoczona w osiem wspólnych lat. Mieliśmy razem osiągnąć pełnoletność. Iść razem na studia. Zwiedzić świat. Gdy zginął, miałam wrażenie, że razem z nim umarła moja przyszłość. Nie był idealny, wiem o tym. W jednych rzeczach drobiazgowy, w innych leniwy. Kiedy się denerwował albo oglądał sport, grzebał sobie za paznokciami, co doprowadzało mnie do szaleństwa. Jego ulubioną aktorką była Katherine Heigl i zmuszał mnie, żebym obejrzała wszystkie jej filmy. Za bardzo uwielbiał Carla Sagana. Ale, Henry, mój Boże – miał taką niesamowitą duszę. To, co mógł osiągnąć w życiu... Polubiłbyś go. Moglibyście się zaprzyjaźnić.

W tamtej chwili poczułem ciężar wielkiej niesprawiedliwości. Grace Town nie wierzyła, że ludzkość posiada dusze, ale dla Doma była skłonna zrobić wyjątek.

– Leżałam w szpitalu, kiedy go pochowali – mówiła dalej. – Czekali jak najdłużej się dało, ale byłam w kiepskim stanie, więc w końcu musieli to zrobić. Poproszono mnie, żebym coś napisała – coś, co ktoś odczyta, jakąś mowę pogrzebową, bo wszyscy wiedzieli, że piszę, i często mnie chwalili, że robię to naprawdę dobrze. Ale ja odmówiłam. Udawałam, że zbyt cierpię

bólu. Od tamtej chwili nic już nie napisałam. I chyba nigdy tego nie zrobię, o ile się nie zmuszę.

– Dlaczego odmówiłaś?

– To była moja wina. Nigdy wcześniej nikomu tego nie mówiłam, ale tak było. To przeze mnie mieliśmy wypadek i przeze mnie Dom zginął.

– Nikt nie ponosi winy. Przecież to był wypadek.

– Dlatego z nikim o tym nie rozmawiałam. Wiedziałam, że powiedzą to samo co ty. Że to poczucie winy, bo ja przeżyłam, a on nie. Prawda jest taka, że mu dokuczałam. Drażniłam go. Prosił, żebym przestała, ale go nie posłuchałam, i chwilę później znaleźliśmy się na niewłaściwym pasie. Znasz tę typową gadkę, jak to całe życie przemyka ci przed oczami w ułamku sekundy przed śmiercią?

– Taaa.

– To bzdura. Zobaczyłam nadjeżdżający z przeciwka samochód, poczułam, jak gwałtownie skręca w bok, i w tej króciutkiej chwili zrozumiałam, że oboje zginiemy. Jediną myślą, jaką mój umysł potrafił wyprodukować, było: „Co za gówno”. Dosłownie. Moją ostatnią myślą mogło być przekleństwo. Nie przyszła mi do głowy moja rodzina czy przyjaciele, nie pomyślałam o moim życiu ani nawet o Domie. Zastanawiam się często, o czym on wtedy myślał. Może o tym samym.

– Pewnie o tobie.

– Nie umarł od razu. Prasa napisała, że zginął na miejscu, ale to nieprawda. Odszedł dopiero po chwili. Siedzieliśmy zakleszczeni w samochodzie, do góry nogami, oboje byliśmy poranieni, a on próbował coś powiedzieć. Ale nie było tak jak w filmach. Nie umarł, szepcząc: „Kocham cię” ani nic takiego. Cierpiał, wpadł w panikę, próbował oddychać, ale nie był w stanie. A ja nic nie mogłam zrobić. Mogłam tylko patrzeć, jak umiera. Przerwała dla zaczerpnięcia oddechu.

– Wiesz, co robiłam w dzień jego pogrzebu? Obejrzałam *Cosmos* z Neilem deGrasse Tysonem. Całość. Trzydzieści godzin. Dom próbował mnie nakłonić do obejrzenia tego serialu od wielu miesięcy, a ja nazywałam go nerdem, bo tak go interesował kosmos. To był jedyny sposób, w jaki mogłam go opłakiwać. Dać się zachwycić wszechświatowi i pamiętać, że chociaż jego świadomość zniknęła, każda cząstka składająca się na jego ciało nadal istniała. – Grace ujęła moją twarz w dłoń i przycisnęła wilgotne czoło do mojego. – Szkoda, że nie widzisz świata tak,

jak ja go postrzegam. Nie rozumiesz, że śmierć jest nagrodą za życie.

– Proszę cię, nie mów tak. Przerażasz mnie.

– Nie mam na myśli samobójstwa – powiedziała, teraz szeptała jeszcze ciszej, jakby zdradzała mi swój największy sekret. – Wiesz, jak to jest, kiedy masz za sobą potwornie wyczerpujący dzień i nie możesz się doczekać, aż dotrzesz do domu, padniesz na łóżko i będziesz spał i spał? Tak właśnie czuję się w związku z życiem. Są ludzie, którzy czytają książki o wampirach i marzą o nieśmiertelności, a ja jestem czasem wdzięczna, że w końcu wszystkich nas czeka wieczny sen. Koniec bólu. Koniec wyczerpania. Śmierć jako nagroda za życie.

– Okej. Chodź, odwiozę cię do domu – powiedziałem i tym razem nie zaoponowała.

Sięgnęła za siebie – na schodach leżała niewielka metalowa szkatułka. Wewnątrz znajdował się zbiór przedmiotów ze „świątyni” Doma: naszyjnik z kotwicą, który miała na sobie w dniu, w którym zobaczyłem ją po raz pierwszy, brelok z zespołem The Strokes, koszulka z motywem Ramones z płamą, której nie udało jej się sprać. Grace wstała, chwyciła mnie za rękę i poprowadziła z powrotem w stronę jeziora, w wodzie prawie nie było widać, że kuleje. Trzymaliśmy się za ręce, nasz oddech tworzył białą mgiełkę w zimnym powietrzu, a Grace po kolei pozbywała się elementów łączących ją z Domem, wrzucając je w mroczną toń. Jako ostatnia w wodzie zniknęła szkatułka, na której boku wyryto: „Dom, II klasa LO”. Przyglądaliśmy się, jak tonie wśród srebrzystych rybich ciał kłębiących się u podnóża schodów.

Obserwowałem Grace i zastanawiałem się, czy tak właśnie wygląda odkupienie. Czy to był rodzaj oczyszczenia z grzechów i skoro teraz sobie wybaczyła – jeśli tak rzeczywiście było – czy będzie w stanie zrobić krok do przodu. Ale Grace przyłapała mnie na tym, że jej się przyglądałem, i powiedziała, zupełnie jak gdyby czytała mi w myślach:

– Historie z happy endem to po prostu opowieści, które jeszcze nie dobiegły końca.

A potem wyszła z wody i ruszyła po schodach w mojej kurtce i swojej białej sukience, która przylegała do wszystkich krągłości jej ciała, mokra i przezroczysta. Wydostała się z dworca, weszła na szczyt wzgórza, po czym na boso pokonała żywopłot i wspięła się na ogrodzenie. A kiedy dotarliśmy do mojego samochodu, rozebrała się do bielizny i rzuciła sukienkę do rynsztoka.

– Miałam zamiar w niej wziąć z nim ślub – oświadczyła bez emocji, patrząc na rozmokły stos białej koronki. – Już powiedziałam „tak”.

Trzęsąc się z zimna, weszła do auta, zapięła pasy i przyciągnęła kolana do brody, żywa, ale pusta w środku, z kwiatami wplecionymi we włosy, jakby była chodzącym grobem.

W drodze powrotnej nie rozmawialiśmy ze sobą. Podkreśliłem ogrzewanie, żeby się trochę rozgrzała, ale choć pokrywała ją gęsia skórka, siedziała całkiem nieruchomo, niczym posąg upadłego anioła.

Gdy dotarliśmy na miejsce, w domu świeciły się wszystkie światła. Martin, jego żona Mary, matka Grace i dwaj policjanci czekali na nas na trawniku. Kiedy zwolniłem, ruszyli w naszą stronę, jednak Grace uniosła rękę, więc się zatrzymali i tylko na nas patrzyli.

– Zabiłam ich syna, a w nagrodę oni płacą za moje leczenie i pozwalają mi mieszkać w swoim domu – powiedziała. – To jedna z przyczyn, dla których nie mogę z tobą być. Nie mogę... tak im pluć w twarz. Nie może być tak, że ich syn umarł u mojego boku, a ja parę miesięcy później już się w kimś zakochuję. Rozumiesz?

Rozumiałem. W zasadzie. Ale wcale nie było mi z tego powodu łatwiej. Czy rodzice Doma nie chcieliby, żeby Grace żyła pełnią życia? Naprawdę woleliby, żeby tak bardzo cierpiała w imię jakiejś chorej idei odpłacania się za to, co – jej zdaniem – zrobiła?

W tamten dzień, kiedy po raz pierwszy odwiedziliśmy opuszczony dworzec kolejowy, zapytałem ją, jakie ma grzechy, które wymagają odpuszczenia. Teraz wreszcie poznałem prawdę.

– Uważasz, że zasługujesz na smutek. Sądzisz, że musisz odpracować jakiś kosmiczny dług, zadręczając się w nieskończoność. Wierzysz, że to jest twoje odkupienie.

– Mam mniejsze wyrzuty sumienia i nie czuję się taka koszmarna, kiedy jestem smutna, zamiast być szczęśliwą. Tylko tyle mogę zrobić dla Doma i jego rodziców. Nie rozumiesz tego? To jedyna sprawiedliwość, jaką mam im do zaoferowania.

– I dlatego wydałaś na siebie wyrok więzienia. Na jak długo? Na rok? Dwa? Na resztę życia? Ile cierpienia musisz sobie narzucić, zanim uznasz, że spłaciłaś dług?

– Przynajmniej jeszcze trochę.

– Matko Boska. Przecież to nie twoja wina. Nie zabiłaś go. To był wypadek.

Grace odpięła pas, wsunęła włosy za uszy, pochyliła się i mnie pocałowała. Jej prawie nagie piersi przywarły do mojej klatki piersiowej. Przytrzymałem jej brodę, a ona wplotła palce w moje włosy i przez krótką chwilę świat był lepszy, chociaż nadal kurewsko beznadziejny. A potem się ode mnie odsunęła, w taki sam sposób jak zawsze, i spojrzała na mnie, jak gdyby chciała mi coś powiedzieć, tylko nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

– Dlaczego mnie pocałowałaś? – zapytałem cicho, ponieważ rzeczywiście tego nie rozumiałem. – W tamten wieczór? Dlaczego mnie pocałowałaś, skoro wiedziałaś, że nigdy nie będziesz gotowa o nim zapomnieć?

– Nie chcesz wiedzieć – szepnęła Grace. – Naprawdę nie chcesz wiedzieć.

– Chcę. Muszę się dowiedzieć.

– Ponieważ byłam pijana, ty byłeś ze mną, a mnie tak bardzo go brakowało. – Potrząsnęła głową. – Boże, jak możesz nadal na mnie tak patrzeć po tym wszystkim, co ci zrobiłam? – wyszeptwała.

– Ponieważ cię kocham. – Uznałem, że nie ma sensu dłużej tego ukrywać. Nie wstydziłem się tego powiedzieć, bo to była prawda. Nie wiem, w którym dokładnie momencie przeszedłem od pragnienia, by z nią być, do miłości, a jednak się to stało.

– Nie masz pojęcia, czym jest miłość, Henry – rzuciła tonem, którego człowiek używa zwykle, by przekazać komuś, że jest idiotą. – Nawet mnie tak naprawdę nie znasz. To tylko nastoletnie zauroczenie.

Nic nie powiedziałem. Wciągnąłem głęboko powietrze do płuc i odwróciłem głowę. Wyglądałem przez okno, podczas gdy ona podniosła mokre buty i wysiadła z samochodu, w bieliźnie i mojej kurtce.

– Dobranoc – pożegnała się, a ja tylko skinąłem głową, bo nie byłem w stanie wymówić ani słowa.

Zaraz potem Martin, Mary i jej mama zaczęli ją do siebie tulić, a gliny odprowadziły ją do ciepłego domu, w którym musiała odpracować dług, jaki miała wobec rodziców swojego zmarłego chłopaka. A ja zostałem sam w ciemności.

Zacząłem się zastanawiać, czy rzeczywiście wierzyła, że i ona, i Sawyerowie poczują się lepiej, jeśli smutek nią całą zawładnie, czy po prostu lubiła cierpieć. Lubiła rozpacz. Rozmyślałem, czy naprawdę pozwalała bólowi rozprzestrzenić się w każdym z miliardów atomów, które ją tworzyły, ponieważ autentycznie i szczerze sądziła, że na to zasługuje.

Napisałem do mamy, informując ją, że Grace jest cała i zdrowa, ale ja nie od razu wróce do domu. A potem pojechałem do miejsca, którego unikałem przez ostatnie miesiące, które wczepiło się w zakamarek mojego umysłu niczym rzep i dopiero teraz zrozumiałem, że chcę je zobaczyć.

Cmentarz nie był wcale taki przerażający, jak sądziłem. Żadnej mgielki, żadnego wycia wilków w oddali ani przelatujących nad głową kruków. Początkowo szedłem bardzo szybko przez cmentarne alejki, podskakując przy najłżejszym szmerze, potem jednak się rozluźniłem.

Znalazłem Doma tam, gdzie jakiś czas wcześniej widziałem klęczącą Grace. Na grobie było mnóstwo kwiatów, niektóre starsze, pozbawione płatków, które porwał wiatr, ale także całe girlandy świeżych. Nie przestała tu przychodzić. Obiecała, że spróbuje, ale nie zrobiła tego.

Napis na nagrobku był prosty. Zaledwie trzy linijki:

*Dominic Henry Sawyer*

*Żył 17 lat*

*„Gdyby miłość mogła Cię ocalić, żyłbyś wiecznie”*

Przesunąłem palcami po literach jego drugiego imienia. Mieliśmy ze sobą tyle wspólnego, on i ja. To samo imię. Ten sam zapach. Ten sam obiekt miłości. Próbowałem sobie wyobrazić, że w innej rzeczywistości jesteśmy przyjaciółmi, a ja na myśl o jego szkielecie nie czuję zazdrości. Ale nie, to raczej nie byłoby możliwe. Miłość, którą opisywała Grace, wykraczała poza tę czasoprzestrzeń. W każdym wszechświecie, w każdym życiu zawsze byliby oni i ja później, na doczepkę. Mniej ważny.

Kiedyś widziałem grób, w którym pochowano parę kochanków. Ich śmierć dzieliły pięćdziesiąt cztery lata. Przez pięćdziesiąt cztery lata kobieta żyła sama, ze złamanym sercem, czekając, aż dołączy do swojego ukochanego.

Czy Grace też tu zostanie pochowana? Za sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt lat wróci w to miejsce, by spocząć obok swojego młodego, martwego chłopaka? Czy nawet jeśli znów się zakocha, będzie miała męża i dzieci, to właśnie w tym miejscu jej ciało rozpadnie się na atomy? Czy pogodziłbym się z czymś takim? Czy gdyby na skutek szalonego, cudownego zrządzenia losu nasz związek jednak wypalił, gdybyśmy poszli razem na studia, wzięli ślub, objechali świat i mieli razem dzieci, byłbym w stanie pogodzić się z tym, że ona zostanie pochowana obok Doma? Jak samotnie czułbym się we własnym grobie, podczas gdy miłość mojego życia leżałaby spleciona ze szkieletem innego?

Czy już do końca życia byłbym zazdrosny o nieżyjącego chłopaka? I jeszcze po śmierci też?

Usiadłem po turecku na jego grobie i zacząłem skubać trawę, próbując sobie przypomnieć, po co tak właściwie tu przyszedłem.

– Ty cholerny złamasie – powiedziałem po chwili. Właściwie to słowa same ze mnie wystrzeliły, a było w nich o wiele więcej gniewu i jadu, niż mogłem się spodziewać. – Mój Boże, ona cię tak kocha, a ty zostawiłeś ją samą. Czy zdajesz sobie sprawę, jak ją to załamało? Jeśli tam jesteś – jeśli mnie słyszysz – rusz swoją dupę ducha i bądź dla niej jak Patrick Swayze, bo cierpi jak cholera i nic... po prostu nic...

Zacisnąłem mocno powieki i wziąłem kilka głębokich wdechów. Było za zimno, żeby płakać.

– Nie mogę jej pomóc, Dom. Chciałbym, ale nie mogę, ponieważ nie jestem tobą. Więc jeśli naprawdę tam gdzieś jesteś – a mam w nosie tajne zasady postępowania duchów, naturalną kolej rzeczy i tym podobne gówna – musisz się natychmiast ujawnić. To nagły wypadek dla świata zjaw. Zabieraj swój tchórzliwy, eteryczny tyłek z tego grobu i wyjaśnij mi, dlaczego, do cholery, ją zostawiłeś.

Przez godzinę czekałem w ciemności, aż w końcu mój wzrok przyzwyczaił się do otaczającej mnie głębokiej czerni, a żebra zaczęły drzeć mi z zimna. Duch Doma się nie pojawił. Dom-zombie nie powstał z martwych.

– Ja też mam cię w dupie – powiedziałem, wstając. Do domu dotarłem pieszo, zamiast



jechać. Chciałem udowodnić sobie – coś na wzór Grace – że wystawiając się na zimno i zmęczenie, postępuję właściwie.

## ROZDZIAŁ 25

Gdy się obudziłem następnego dnia rano, pierwsze, o czym pomyślałem, to była Grace: mimowolny, skręcający wewnątrz bóle, który przeszył mnie od mózgu aż po serce. Myślałem o Grace, a także o gazecie, problemach z angielskim i matmą wynikających z tego, że miałem wszystko w nosie. O tym, że uczelnie, które hipotetycznie mogły zechcieć mnie przyjąć, teraz zobaczą oceny z pierwszego półrocza i przypieczętują wielkie „NIE MA MOWY!” na moim podaniu, ponieważ wszystko totalnie spieprzyłem. Dotychczas nic mi się nie udało. I po co? Po co to wszystko?

Mama i tata (wielkie zdziwko!) wybrali sobie tę akurat sobotę na wprowadzenie procedury „zatrokanego rodzica”, której nie musieli stosować, odkąd Sadie wyjechała na studia w Yale. Tuż po świcie zeszli na dół i zaczęli kręcić się po piwnicy, próbując oszacować szkody, które wyrządziłem samemu sobie. Rozsunęli zasłony. Mama zmusiła mnie do wstania z łóżka i przebrania się z piżamy w coś normalnego. Postawiła przede mną miskę z płatkami i oznajmiła, że nie przestanie śpiewać *Baby Got Back*, dopóki nie zacznę jeść. Zacząłem, no bo bez przesady.

Pod ich bacznym spojrzeniem odkurzyłem dom, wyprałem swoje ciuchy, posprzątałem na półkach i przenieśliem wszystkie lekcje do kuchni, żeby mogli mnie pilnować, gdy będę rozwiązywał diabelskie zadania matematyczne Hotchkissa z ostatnich dwóch tygodni i pisał wypracowanie z angielskiego, chociaż czułem się zbyt pusty, żeby cokolwiek z siebie wydusić. O jedenastej mama zmusiła mnie, żebym poszedł z nią biegać. Potem tata zmusił mnie do jedzenia. Sadie miała akurat dzień wolny, więc przyszła do nas około czternastej, kiedy końcu uzyskałem zgodę na drzemkę i leżałem rozwalony na swoim łóżku.

- Cześć, Henry. Nie widziałeś... Słuchasz Taylor Swift? – zawołała ze schodów.
- Tak, Sadie. Już drugą godzinę słucham Taylor Swift. Tylko ona mnie rozumie.
- O Boże.
- Kto cię skrzywdził, Taylor?! – wrzasnąłem, machając w stronę sufitu. – Jak to możliwe, żeby jeden człowiek mógł wytrzymać tyle bólu?
- Matko święta. Posuń się. Czas na pogawędkę.
- Suds... Nie chcę o tym rozmawiać. Nie jestem dobry w zwierzeniach.
- Jestem twoją siostrą, głupolu. Nie chcesz gadać z przyjaciółmi ani z rodzicami. Zamierzasz dusić to wszystko w sobie, aż przerodzi się w chorobę psychiczną?
- Taki mniej więcej jest plan.
- Jak długo już tak leżysz? Wstawaj, bo dostaniesz zakrzepicy żył głębokich.
- Zostaw mnie, Sadie. Zostaw mnie z moim złamanym sercem i zakrzepicą.
- Zignorowała moje protesty i klapnęła na łóżko, prosto na moje żebra, aż mnie pozbawiła tchu. A potem kilkakrotnie wbiła mi palec w to samo miejsce na policzku, powtarzając: „Mów, mów, mów”. Ostatecznie więc się odezwałem.
- Dobrze, ty wstrętny babonie. Chodzi o... Grace... i ja... nie wiem, co się dzieje.
- Tyle już się domyśliłam po maratonie z Taylor Swift – odparła i czekała na kontynuację. – Może rozwiniesz tę myśl?
- Po prostu... jestem zdezorientowany. I chyba uszkodziłem sobie permanentnie układ oddechowy, bo moja klatka piersiową jest ciągle ściśnięta.
- A to pewnie przez żebra, które ci złamałam, gdy na ciebie skoczyłam.
- Czy tak właśnie człowiek odczuwa miłość?
- Skądże, dzieciaku. Nie wierzę w całe to gówno w rodzaju „miłość unosi nas tam, gdzie nasze miejsce”<sup>[19]</sup>, ale z drugiej strony nie może też człowieka kompletnie dobijać.
- Wiem. Wystarczy spojrzeć na rodziców.

– Rodzice to bajka. Oni nie istnieją.

– Ty jednak kochałaś Chrisa.

Sadie wzięła głęboki wdech.

– Tak. Kochałam. Owszem, czasami budziłam się rano, patrzyłam, jak mu ślina cieknie na poduszkę z na wpół otwartych ust, i zastanawiałam się: „Co ja, do cholery, myślałam, kiedy się z nim rozmnażałam?”. Nie był idealny. Nie tylko generalnie, ale nawet dla mnie. Było nam ciężko, ciągle. Ale go kochałam. I było warto, przynajmniej na ten czas, w którym trwało.

– Nigdy nie uważałaś go za swoją bratnią duszę?

– Braciszku! Nadal wierzysz w istnienie bratnich dusz?

– A ty nie? Jak, mając u boku naszych rodziców, możesz nie wierzyć, że istnieją ludzie, którzy są sobie przeznaczeni?

– Matko, oni kompletnie wypaczyli ci sposób postrzegania świata, co? Uważali, że wprowadzając cię w błąd, tylko cię ochronią, w rzeczywistości nakarmili cię fantastycznymi wizjami. Normalnie jak przywódcy sekty, całkowicie wyprali ci mózg.

– O czym ty mówisz?

– Henry... skarbie...

– Dlaczego zachowujesz się tak dziwnie?

– O Jezu. – Sadie zamknęła powieki i przygryzła dolną wargę. – Zanim się urodziłaś, mama zostawiła tatę na jakieś trzy miesiące – wyjaśniła szybko, oczy miała cały czas zaciśnięte.

Zamrugalem kilka razy. Sadie otworzyła najpierw jedno oko, potem drugie.

– Mama wymusiła na mnie obietnicę, że ci nie powiem, dopóki nie skończysz studiów. Żebyś miał „szczęśliwe dzieciństwo”. Ale nie mogę pozwolić, żebyś przez kolejnych dziesięć lat szukał czegoś, co nie istnieje. Jak myślisz, dlaczego dwunaste urodziny miałam wyprawione na placu zabaw na osiedlu przyczep kempingowych?

– Nigdy nie przyglądałem się uważnie zdjęciom z twoich dwunastych urodzin.

– Od dziecka truli cię tym gównem: „Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest”.

W rzeczywistości miłość to czysta nauka. To po prostu reakcja chemiczna zachodząca w mózgu. Niekiedy reakcja trwa przez całe życie, zachodzi raz za razem. A czasami jest inaczej. Wybucha jak supernowa i zaczyna gasnąć. Miłość to tylko chemia naszych serc. Czy to czyni miłość mniej wartościową? Nie sądzę. I dlatego nie rozumiem ludzi, którzy powtarzają, że „pięćdziesiąt procent małżeństw kończy się rozwodem”, tłumacząc w ten sposób, dlaczego nie chcą brać ślubu. To, że miłość się kończy, nie odbiera jej realizmu. Rodzice wiecznie się kłócili. Wiem, że nigdy nie widziałeś, by się sprzeczali, ale faktem jest, że ciągle na siebie napadali. Pewnej nocy mama mnie obudziła, pomogła się spakować i tyle. Wyprowadziłyśmy się na trzy miesiące.

– Wiesz, dlaczego odeszła?

– Ponieważ się odkochała. Reakcja chemiczna dobiegła końca. Właśnie dlatego. Miłość nigdy nie jest idealna, braciszku.

– Dlaczego się zeszli?

– Mama odkryła, że jest w ciąży.

– Wróciła ze względu na mnie?

– Nie wiem. Może. Całkiem prawdopodobnie. Kochają się bezwarunkowo i są najlepszymi przyjaciółmi, ale nie są już w sobie zakochani. I to od dawna. Nie możesz więc wierzyć, że każda osoba, w której się człowiek zakochuje, to „ta jedyna”. Nie istnieją bratnie dusze, trzeba je sobie wypracować.

– Wiem. Wiem. Tylko... Nie wyobrażam sobie, że mógłbym chcieć tak bardzo zaangażować się w jakąś znajomość. Poświęcić tyle czasu i energii. Dać tyle siebie. Jak zaczyna się od nowa z inną osobą?

– A jak pisarz zaczyna nową książkę, kiedy w poprzedniej postawił ostatnią kropkę? Jak kontuzjowany sportowiec wraca do początków treningów?

– O Boże. Dlaczego ktokolwiek chciałby to robić od nowa?

– Zakochiwać się?

Skinąłem głową.

Zaśmiała się.

– Z punktu widzenia biologii? Dla przetrwania rasy ludzkiej. Z punktu widzenia logiki? Ponieważ początki tej podróży są cudowne. Człowiek zauważa ostry zakręt na torach dopiero wtedy, gdy jest już za późno, żeby się zatrzymać. A kiedy wsiada do pociągu...

– Widzę, że zamierzasz trzymać się tej kolejowej metafory jak pasażer hamulca bezpieczeństwa?

– Ciii, za późno, żeby zjeżdżać z toru. Kiedy więc wsiadasz do pociągu, masz nadzieję, że ten akurat się nie rozbije po drodze. I nawet jeśli może tak się stać, nawet jeśli prawdopodobnie tak się stanie, i tak warto wsiąść, żeby się przekonać na własnej skórze.

– Dlaczego nie mogę zostać na dworcu?

– Możesz. Ale wtedy nigdzie nie dojedziesz.

– Łał. Głębokie.

– Powinam była zostać filozofem.

– Chciałbym ją odzyskać, Sadie.

– Wiem, Henry. I wiem, że teksty w rodzaju: „Świat nie kończy się na Grace, jest wiele innych dziewczyn”, tylko pogłębią twój ból. Mogłabym ci opowiedzieć o procesach, które w tej chwili zachodzą w twoim mózgu. O tym, że twój mózg odbiera sygnał bólu tak intensywny jak wwiercenie się w nerw w zębie, ale nie może znaleźć jego źródła, i dlatego odczuwasz go

zasadzie wszędzie. Mogłabym ci powiedzieć, że kiedy się zakochujesz, w twoim mózgu zostają pobudzone te same obszary, które aktywizują się w sytuacjach głodu i pragnienia.

A kiedy osoba, którą kochasz, cię rzuci, czujesz pragnienie, czujesz głód tej osoby, przechodzisz objawy głodu narkotycznego, zupełnie jak narkoman. Wiesz, że to brzmi poetycko, przesadnie i dramatycznie, w rzeczywistości jednak złamanie serca to czysta nauka. Tak samo jak miłość. Uwierz mi więc, gdy ci powiem jedno: jesteś teraz ranny, ale twoja rana się zagoi.

– Jezus, Suds. Wytaczasz dzisiaj grube działa.

Odrzuciła głowę do tyłu i gwałtownie zamrugła.

– Przez ciebie zaczynam płakać, ty skunksie. Słuchaj mnie, bo sypię złotymi radami. Czy ty w ogóle byłeś z nią kiedykolwiek szczęśliwy? Bo z zewnątrz to wyglądało od samego początku jak ciągle zmagania. Z jej zmarłym chłopakiem, ze zniknięciem. Czy istnieje pełen miesiąc, tydzień albo nawet jeden dzień, o którym możesz powiedzieć z ręką na sercu: „Tak. To właśnie było to. Chciałbym, żeby tak wyglądało moje życie”. Masz takie wspomnienia związane z Grace?

Zacisnąłem powieki i zamyśliłem się. Próbowałem przypomnieć sobie okres dłuższy niż parę godzin, w którym byłem z nią naprawdę szczęśliwy. Pamiętałem niepokój, stres, ból, smutek, kwas, który wypływał mi z żołądka i pożerał płuca. Pamiętałem, że kochałem się w niej rozpaczliwie. Był jeden wieczór, gdy wracaliśmy razem z kina, trzymaliśmy się za ręce, a ja byłem pewien, że się z nią kiedyś ożenię. I świąteczny festyn, drugi raz w życiu, kiedy widziałem ją w czymś innym niż w ubraniach po Domie. Krótkie, ulotne chwile szczęścia, nic dłuższego niż rozświetlające ciemność błyskawice.

Otworzyłem oczy.

– Cholera – powiedziałem cicho.

– Tak myślałam.

– Nie wiem, czy jestem w stanie pogodzić się z tym, że to wszystko było jedynie stratą czasu. Że cierpiałem na próżno. Że to, co nas łączyło, nie było prawdziwe.

Pstryknęła mnie w czoło.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz, matole? Prawdziwa miłość nie musi trwać przez całe wieki. Jakości uczucia nie mierzy się czasem jego trwania. Wszystko umiera, łącznie z miłością. Czasem odchodzi razem z człowiekiem, czasami sama wygasa. Najpiękniejsza historia miłosna na świecie wcale nie musi dotyczyć dwojga ludzi, którzy spędzili ze sobą całe życie. To może być historia uczucia, które trwało dwa tygodnie, dwa miesiące albo dwa lata, ale płonęło jaśniej, cudowniej i goręcej niż jakiegokolwiek inne przed nim i po nim. Nie żałuj nieudanej miłości, bo nie ma czegoś takiego. Dla mózgu każda miłość jest równorzędna.

– Ale to nie sprawia, że mniej boli.

Sadie otarła łzę z kącika mojego oka i przeczesała mi włosy palcami.

– Wiem, braciszku. Ale czasami po prostu coś się nie udaje. Poza tym, jak ona miała być twoją bratnią duszą, skoro nigdy nie czytała *Harry'ego Pottera*? Przecież sam mówiłeś, że go nie lubi. Naprawdę chciałbyś spędzić resztę swojego życia z kimś takim? Na litość boską, pomyśl o swoich przyszłych dzieciach. W jakich warunkach by dorastały przy takiej matce?

Zaśmiałem się, a wtedy Sadie też się roześmiała. Zamknąłem oczy i ją uścisnąłem.

Została ze mną w łóżku, leżeliśmy przytuleni, głąskała mnie po włosach – tak samo jak robiła zawsze, odkąd sięgam pamięcią.

Wpatrywałem się w sufit, a ona nuciła mi do ucha piosenki Taylor Swift. Myślałem o Grace i czułem w całym ciele ból leczenia kanałowego, o którym wspominała moja siostra. To, co połączyło mnie i Grace, było miłością bardzo ciężką, z gatunku tych, które ciągną cię na dno, gdy się głębiej zanurzysz. To było uczucie, które po kolei przywiązywało ci do serca ciężarkę, aż w końcu biedne serce stawało się tak ciężkie, że rozrywało ci klatkę piersiową.

– Suds... Wiem, że minęło sporo lat od czasów, kiedy byłaś młodocianym przestępcą, ale potrafiłabyś jeszcze włamać się do skrzydła językowego w naszej szkole?

Na twarzy Sadie pojawił się diabelski uśmiech.

– Stare umiejętności nie rdzewieją.

## ROZDZIAŁ 26

Było późne popołudnie, kiedy już po raz piąty w moim życiu dopuściłem się włamania. W szkole w weekend człowiek czuł się jak na pokładzie Mary Celeste – miał wrażenie, że jeszcze niedawno ktoś tu był, ale przytrafiła się jakaś zagadkowa tragedia (w tym wypadku egzaminy), w wyniku której został zmuszony do opuszczenia tego miejsca. W środku panowały cisza i mrok i nawet na parkingu nasze kroki odbijały się dziwnym echem.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – zapytała Lola, gdy pokonywaliśmy ogrodzenie. Ryan przywarł do szyi Sadie niczym małpiatka i śmiał się przez cały czas, jak gdyby uczestniczył w superprzygodzie. – Nikt nie przyjdzie.

– Przyjdą – odparłem. – Ktoś się na pewno pojawi.

Na początku tygodnia rodzice zdjęli w końcu z Heslina szlaban nałożony w związku z Tą Imprezą sprzed paru miesięcy, więc oczywiście od razu pojawiły się plotki, że dzisiaj szykuje się kolejna, w takiej samej albo nawet większej skali. Rodzice Heslina – trudno powiedzieć, czy idioci z natury, czy po prostu ludzie zbyt ufni wobec swojego nieprzewidywalnego syna – znów wyjechali, zostawiając mu pod opieką cały dom. Po południu tego samego dnia na Facebooku pojawiło się stosowne ogłoszenie i około trzystu osób zgłosiło swój udział w imprezie – wyłączając mnie, Lolę, Murraya i – co zaskakujące – Madison Carlson.

Mieliśmy głównianą robotę do skończenia.

Godzinę wcześniej napisałem post pod wiadomością o imprezie Heslina. „Dla wszystkich, którzy chcą odkupić swoje winy” – zacząłem, a skończyłem błaganiem, żeby na wszystkie świętości przyszedli i pomogli nam uratować „Westland Post” przed nieuchronną katastrofą. Na razie otrzymaliśmy dwadzieścia pięć lajków.

– Przyjdą – powtórzyłem, gdy szliśmy przez boisko w stronę gabinetu Hinka. Muszą przyjść.

Jak się okazało, od czasów pobytu Sadie – szkolnej recydywistki kryminalnej – zamki zostały wymienione, a także – o czym nie mieliśmy pojęcia – zainstalowano kamery. Tak więc, gdy Sadie klęczała pod drzwiami, próbując włamać się do pomieszczenia, a ja i Lola na zmianę woziliśmy Ryana na barana, żadne z nas nie zauważyło biegnącego w naszą stronę przysadzistego strażnika.

– Wszyscy stać! – zawołał.

Spostrzegłem przelotny błysk w oczach mojej siostry, kiedy to rozważała ucieczkę, ale ostatecznie została. Zapewne miało to coś wspólnego z faktem, że jej syn nadal tkwił na moich plecach i gdyby go porzuciła, nie wykazałaby się instynktem macierzyńskim.

Zamarłem. Lola także. No i Sadie.

To nic, powtarzałem w myślach. To nic. To nic. To nic. Nic nie szkodzi, że gazeta nie pójdzie do druku, że ja sam osobiście zaprzepaściłem trzydzieści pięć lat szkolnej tradycji i że okrutnie zawiodłem Hinka. Nieważne, że prawdopodobnie zostaniemy aresztowani i oskarżeni o włamanie, ja i Lola stracimy szansę na dostanie się na studia, a Sadie pewnie straci pracę. To nie miało znaczenia – w końcu Słońce pochłonie Ziemię, więc to, co się na niej dzieje, nie powinno się liczyć. A jednak się liczyło.

Liczyło się.

Grace się myliła – uświadomiłem sobie w tym ułamku chwili, który był potrzebny zasapanemu strażnikowi na chwycenie mnie za rękę, choć przecież nawet nie próbowałem uciekać. W skali globalnej rządzi entropia, jednak istoty ludzkie są tak małe, że nie dotyczą nas największe prawa wszechświata. Jesteśmy na to zbyt malutcy, a nasze życie mija zbyt szybko. Nikt z nas nie doczeka momentu naszego wielkiego kosmicznego odkupienia, kiedy Słońce rozrośnie się i pochłonie Ziemię, a nasze atomy poszybują w przestrzeń. To zbyt odległe w czasie.

Regeneracja z chaosu: wszystko rozsypuje się na kawałki, a potem łączy się z powrotem i żyjemy dalej. Musimy oczyścić się z naszych grzechów. Musi sami siebie rozgrzeszyć.

Sadie podniosła się z klęczek, odwróciła i – zupełnie niespodziewanie – uśmiechnęła się szeroko.

– Jim! – zawołała na widok twarzy strażnika. – Ja nie mogę! Sadie Page, pamiętasz mnie?

– Ty. – Jim zacisnął palce na moim ramieniu w stalowym uchwycie. Auu. – Przyrzekali, że odeszłaś i już nie wrócisz.

– Och, Jim. – Sadie poklepała mężczyznę po plecach, oderwała jego palce od mojej ręki poprowadziła go w stronę stojących pod ścianą ławek. – Mamy tyle do nadrobienia.

I w ten sposób dziesięć minut później – po wsunięciu mu do kieszeni pięćdziesięciu dolców i zaoferowaniu, że poczęstuje go kawą w pokoju nauczycielskim, jeśli nas nie wyspie – moja siostra przekonała Jima Jenkinsa, biednego strażnika Westland High, żeby udzielił nam nieograniczonego dostępu do skrzydła językowego, a co się z tym wiąże – redakcji gazety.

Ricky Martin Knupps II pływał leniwie w swoim akwarium, a popołudniowe słońce, przeświecając pomiędzy żaluzjami, zamieniało powietrze w konstelacje tańczących w powietrzu złotych cząsteczek. W pomieszczeniu nadal czuć było jej – nasz – zapach, ale w ciągu minionego tygodnia nieco się zatarł, ślady jego istnienia powoli zniknęły z mebli, stosów białych kartek,

książek i monitorów komputerowych. Wkrótce będzie tak, jakby nasza noga nigdy tu nie powstała. Lola usiadła przy swoim komputerze i zabrała się do projektowania okładki, a ja zacząłem przeglądać artykuły dostarczone w ciągu semestru przez uczniów trzecich klas, szukając czegokolwiek, co się nada, czegokolwiek, co będzie pasowało do naszego tematu przewodniego. Pracowaliśmy w milczeniu, czekając.

Piętnaście minut po naszym włamaniu do szkoły, zaczęli napływać pierwsi ochotnicy. Jednak ten, kto sądzi, iż pojawił się cały nasz rocznik, najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy z apatii cechującej nastolatków. Sporadycznie dajemy się ponieść emocjom, na przykład gdy umiera rodzic naszego kolegi albo jedna z naszych koleżanek dostaje się do następnej edycji *America's Next Top Model*. Jednakże upadająca gazeta nie budzi walecznych serc i żarliwej lojalności.

Tak czy inaczej, ostatecznie pojawiło się siedem osób – o siedem więcej, niż się spodziewałem (i niż zasługiwałem). Wszyscy zaanonsowali swoją obecność krótkim „Nie potrafię pisać, ale...”, na co odparłem z rozbrajającą szczerością, że mam to w dupie. Już wcześniej wiedziałem, że przyjdą Muz i Maddy (jak Maddison Carlson kazała mi siebie nazywać – szok), ale Suki Perkins-Mugnai, Buck, Chance Osenberg i Billy Costa (ze sławetnego „trójkąta rzesistkowców”) oraz Heslin stanowili prawdziwy bonus. Ich siódemka plus Galaxy i trójka naszych współpracowników z trzeciej klasy, którym zapowiedziałem, że jeśli nie przyjdą nam z pomocą, osobiście ich zamorduję – razem z nami dawało to przypadkową zbieraninę czternastu osób.

Czternaście osób, żeby wykonać trzy miesiące pracy w dwa dni. Chyba nie mogło to być aż tak trudne?

Sadie pomogła nam rozłożyć rozmaite przekąski (zapłatę za pracę, którą obiecałem w moim poście na Facebooku), a potem ja i Lola zajęliśmy miejsca na sekssofie, a reszta usiadła po turecku na podłodze, jedząc kit katy i pijąc mountain dew.

– Motywem przewodnim numeru, jak zapewne wywnioskowaliście z mojego ogłoszenia na fejsie, jest odkupienie – wyjaśniłem.

– To gówniany temat, chłopie – rzucił Murray. – W dalszym ciągu głosuję za „dysforią gatunkową”.

– Naprawdę uważasz, że jest taki beznadziejny? Każdy uczeń szkoły średniej chciałby odkupić jakieś winy. Suki, ja pragnę odkupienia za ten okropny mecz futbolu dotykowego. La, ty pewnie chciałabyś rozgrzeszenia za zamordowanie Ricky’ego Martina Knuppsa. Chance i Billy... eee, sami wiecie.

– Wydawało mi się, że zgodziliśmy się co do odstąpienia od zarzutów w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci? – zaoponowała Lola. – Ja już i tak mam wielkie wyrzuty sumienia.

– Słuchajcie, nie każdy potrafi pisać, ale każdy ma jakąś historię do opowiedzenia i każdy pragnie odkupienia jakichś win. Nie interesuje mnie, czy napiszecie akrostych, narysujecie komiks czy skomponujecie utwór. Po prostu dajcie mi jakiś materiał. Jakiś rodzaj odkupienia.

A potem założyłem słuchawki (żadnych The Strokes, żadnych Pixies) i zabraliśmy się do pracy.

Heslin wyszedł mniej więcej trzy godziny później, żeby pilnować swojej imprezy (czytaj: ubzdryngolić się), ale najpierw napisał monolog o tym, jak odkupił swoje winy wobec rodziców w związku z poprzednią imprezą. Suki Perkins-Mugnai wyszła krótko po nim. Oddała mi dwie rzeczy – artykuł o Zgniataczach i wiersz o tym, jak nie zadzwoniła do dziadka przed jego śmiercią, bo sądziła, że ma jeszcze wiele czasu, tymczasem on ostatnie swoje słowa kierował właśnie do niej. Natomiast Chance Osenberg i Billy Costa nie mieli ochoty zostawiać potomnym

swojej historii z rzesistkiem w roli głównej. Chance napisał krótkie opowiadanie o tym, jak wyblęgał nowy telefon u ojca tuż po rozwodzie rodziców, chociaż wiedział, że ojca na to nie stać.

– Miałem trzynaście lat – wyjaśnił, wysyłając mi tekst mailem. – Byłem dupkiem.

Billy opisał, jak się upił w dzień, w którym po raz pierwszy spotkał rodziców swojej dziewczyny, a następnie zwymiotował im do łóżka. Murray narysował komiks o drop bearach, co stanowiło niezbyt zawoalowaną metaforę jego tęsknoty za rodziną zostawioną w Australii. Madison dostarczyła historię o utracie szczeniaka w dzieciństwie, napisała, że do dzisiaj nie pamięta, czy zostawiła otwartą furtkę, czy nie. Lola stworzyła haiku o „penisie” w ramach pokuty za to, że wmówiła mamie, iż to po angielsku „łokieć”, a następnie poświęciła całą rozkładówkę pamięci Ricky’ego Martina Knuppsa, który po wieki wieków pływał w trującym, zabójczym zamku w niebie. Trzecioklasiści zwierzili się z tego, że w gimnazjum prześladowali innych, mieli wyrzuty sumienia, że zawiedli rodziców albo że doprowadzali rodzeństwo do łez.

Buck nie napisał ani słowa, ponieważ był w zasadzie analfabetą, ale rysował lepiej niż Lola, więc przydzieliła mu zadanie pomocy przy układzie graficznym. Do drugiej nad ranem zdołał narysować zegarki, psy, martwe ryby oraz wybitnie ponury rysunek anatomiczny lewego łokcia (penisa) Billy’ego, po czym musiał wracać do domu.

O trzeciej w nocy, po dwóch dostawach pizzy (dzięki uprzejmości Sadie) i kilku wyprawach do najbliższego sklepu 7-Eleven po (łącznie) cztery butelki dr peppera, karton red bulla, siedem corn dogów i plecak słodczy, postanowiliśmy zakończyć prace na ten dzień.

Murray i Madison Carlson zasnęli razem na podłodze na korytarzu. Zwinięta kurtka Murraya pod głową Madison, ręka Madison przyciśnięta do klatki piersiowej mojego przyjaciela, pomiędzy nimi bardzo niewiele wolnej przestrzeni. Intrygujący rozwój wypadków.

Sadie zasnęła na sofie z Ryanem przytulonym do piersi, oboje mieli otwarte usta, a gałki oczne przesunęły się z jednej strony w drugą pod cienkimi powiekami.

– Suds – szepnąłem i trąciłem ją w ramię. – Czas wracać do domu.

– Podpaliłam szkolną kuchnię celowo – odezwała się ospale, po czym podniosła się z Ryanem nadal przyciśniętym do siebie. Szczupłymi palcami podtrzymywała jego głowę. – Za to chciałabym otrzymać rozgrzeszenie. Przynajmniej jeśli chodzi o moje nastoletnie lata.

– A nie za seks, dragi i rock’n’roll? – zapytała Lola, przeciągając się na krześle. Wyglądała dokładnie tak, jak ja się czułem: jakby dziewięćdziesiąt procent naszej krwi zostało zastąpione syropem kukurydzianym o wysokiej zawartości fruktozy, kofeiną oraz pyłem cementowym.

– W życiu. Za to niepotrzebne mi odkupienie. Jedyne, w związku z czym miałam wyrzuty sumienia, to ten pożar. Hotchkiss już nigdy nie był taki sam.

– Hotchkiss uczył cię gospodarstwa domowego? – zdziwiłem się.

– Taaa. Facet uwielbia pieczenie. To jego prawdziwe hobby. Któregoś dnia zrobiłam babeczki z *lemon curd* – wiesz jakie – i dał mi za nie najlepszą ocenę. Ale ja byłam wtedy w wojowniczym nastroju, na zasadzie „pieprzyć model patriarchalny”, i byłam wkurzona, że w ogóle mamy taki przedmiot jak gospodarstwo domowe. W końcu mamy cholerny dwudziesty pierwszy wiek... więc... tak jakby... podpaliłam kuchnię. – Sadie ziewnęła. – To była najgorsza rzecz, jaką zrobiłam jako nastolatka. Cholernie paskudna. Myślałam, że Hotchkissowi pęknie serce, kiedy próbował ugasić płomień.

– Mamy jeszcze wolne strony. – Lola chwyciła długopis i kartkę i przesunęła je w stronę mojej siostry. – Chcę rozkładówkę z twoją pisemną spowiedzią.

Sadie wbiła wzrok w przybory do pisania.

– Kiedy podpalenie ulega przedawnieniu? – zapytała, ale nie czekała, aż znajdziemy odpowiedź w Google, od razu zaczęła pisać. Gdy się pochyliła do przodu, Ryan się obudził.



- Cześć, mamusiu – powiedział, dotykając jej twarzy.
- Cześć, skarbie – odparła i oddała kartkę Loli. – To co? Jesteś gotów śmigać?

Ryan skinął głową. Lola i ja pogasiliśmy światła, a w tym czasie oni czekali na korytarzu, trzymając się za ręce i rozmawiali cicho o tym, co zrobią następnego dnia. Rano zoo. Piknik w parku. A potem nocowanie u taty, bo mama idzie do pracy.

Patrząc na nich, przypomniałem sobie oskarżenie, które pijana Grace rzuciła do mnie na festynie. Że nie kocham prawdziwej jej, tylko ideę, która od dawna nie istnieje, cień tego, kim naprawdę jest.

Jako dziecko uwielbiałem legendę otaczającą moją siostrę. Podobało mi się, że gdziekolwiek szła, plotki niczym świetliki krążyły nad jej głową. Nadal mi się to podobało. Ale jeszcze bardziej pokochałem tę jej inną wersję – tę, w której ratowała ludzkie życie i wpatrywała się w swojego synka, jakby cały składał się z diamentów. Naleśniki podane na niedzielne śniadanie do łóżka i wielka burza po siedmiu latach suszy.

Może więc dało się kochać jednocześnie dwie wersje tej samej osoby. Może – może – ludzie i tak potrzebują odkupienia za winy, za które przecież nie muszą się już rozgrzeszać.

Niedziela zgotowała mi prawdziwe katusze. O siódmej rano spotkałem się z Lolą przed domem, latarnie uliczne świeciły jaskrawiej niż namalowany akwarelą wschód słońca. La wepchnęła dużą kawę w moje zakryte rękawiczkami dłonie i oznajmiła:

- Nie odzywaj się do mnie przez najbliższe dwie godziny. Posłuchałem jej.

Pod gabinetem Hinksa spotkaliśmy się z Jimem Jenkinsem. Usiedliśmy. Włączyliśmy komputery. Próbowaliśmy nie umierać. Umarliśmy wielokrotnie. Moje oczy straciły możliwość produkowania wilgoci, więc poranek spędziłem na zmianę, maltretując mój układ pokarmowy wielką ilością red bulla i pocierając gałki oczne do czerwoności.

Kiedy Lola była wreszcie gotowa do interakcji, najpierw pokazała mi okładkę: czarno-biały rysunek dziewczyny, za nią przedstawiony w szarości wszechświat, a na miejscu głowy wybuchająca supernowa. Przypominało to dziewiętnastowieczną okładkę taniej powieści sensacyjnej. I chociaż ilustrację zakrywał częściowo wielki pomarańczowy napis: „POKUTA W WESTLAND”, poznałem, że została odwzorowana od zdjęcia Grace i stanowiła ducha jej prawdziwej postaci.

– Nadal mam zdjęcia z tamtej sesji, którą razem robiliśmy. Jeśli chcesz, mogę użyć innej modelki, poszukać kogoś na Flickr.

– Jest idealnie – odparłem. – Wydrukuj w prawdziwym rozmiarze. Przyklejmy to gdzieś, niech wszyscy zobaczą.

Tak też zrobiliśmy. I oni również. O dziesiątej pojawili się trzecioklasiści, niedługo po nich Buck. A potem – co zaskakujące – dwie dziewczyny, które poprzedniego wieczoru były u Heslina na imprezie. Podobno poinformował je, co robimy, i zachęcił, żeby wpadły. Większość stron zdołaliśmy jakoś zapełnić, została tylko rozkładówka, na której Lola zamierzała zamieścić odręcznie spisane zwierzenia. Obie dziewczyny – na głębokim kacu, dodajmy – uznały, że to świetny pomysł.

Spisały swoje grzechy i wręczyły nam ich listę. A my zapewniliśmy je, że zostaną im odpuszczone.

Jakiś czas później pojawiła się kolejna osoba. I jeszcze jedna. Dwie następne. Po ósmej Lola przygotowała napis głoszący: „Wyspowiadaj się ze swoich grzechów, a otrzymasz rozgrzeszenie” i przywiesiła w korytarzu nad specjalnym grzechopudełkiem. Murray zwęszył pismo nosem i koło południa przyszedł do szkoły w kostiumie księdza z wodą święconą w komplecie. Usiadł przy naszym prowizorycznym konfesjonale i witał każdą zbłąkaną duszę,

która nas odwiedziła. Przez cały dzień byliśmy świadkami, jak przez korytarz przewijają się nasi koledzy z klasy oraz zupełnie obce osoby z innych roczników. Wiadomość o tym, co robimy, rozprzestrzeniła się na Facebooku.

– I jak wygląda kwestia stron? – zapytałem Lolę o siedemnastą.

– Została nam tylko jedna wolna.

– Cholera i co z nią zrobimy?

Przewróciła oczami.

– To na twoje odkupienie, idioto.

– Och – odparłem.

Popatrzyłem na dziewczynę z supernową, wydrukowaną w czerni i bieli, i pomyślałem sobie, że z perspektywy czasu widać, że już od samego początku działały tu jakieś toksyny. Grace rozerwała mnie na strzępy i składała z powrotem tyle razy, że w końcu zacząłem wierzyć, iż to jest właśnie to, czego pragnę. Związek zlepiony techniką Kintsukuroi, jeszcze piękniejszy przez to, że tak zniszczony. Ale wszystko ma swoje granice, także zniszczenia. Przychodzi moment, kiedy nie da się ich już więcej naprawić.

Kiedy tak siedziałem, a moje ciało przeszywał ból leczonego kanałowo zęba, przez głowę przemknęły mi myśli w rodzaju: „żałuję, że ją spotkałem” i „niepotrzebnie mnie pocałowała”. Pomyślałem sobie, że gdyby taka opcja stanowiła realną alternatywę, być może poszedłbym w wymazanie wspomnień jak bohaterowie *Zakochanego bez pamięci*. Wyrwałbym ją z wnętrza mojej duszy, w które się wdarła.

Ale wtedy znów przyszła mi do głowy technika Kintsukuroi. Coś musi najpierw popękać, by mogło zostać posklejane i w efekcie – objawić się jako jeszcze piękniejsze. Pomyślałem o tym, jak zawsze lubiłem rzeczy zniszczone, spękane, wykrzywione albo wypaczone. Zapewne dlatego zakochałem się Grace. Była zniszczonym przedmiotem w ludzkiej formie, a teraz – przez nią – ja również.

Może i Grace była spękana i poharatana, nie traciłem jednak nadziei, że okrucy mnie da się posklejać i wypełnić złoceniami. Że rany wyżarte przez łyzy w moim sercu zagoją się w postaci błyszczących blizn.

Wtedy właśnie zawibrował telefon w mojej kieszeni.

GRACE TOWN:

Jestem pod gabinetem Hinka.

HENRY PAGE:

Dlaczego?

Lola podała mi temat. Mam coś,

co chciałabym wam przekazać do gazety.

– Jesteś prawdziwym demonem, Lola – powiedziałem, wstając. Klatkę piersiową wypełniało mi nagie i spuchnięte serce.

– Owszem, seksu – odparła.

Wyszedłem na bladoróżowo-cytrynowy koszmar zwany korytarzem szkolnym i wbrew sobie pomyślałem same straszne rzeczy o Grace. Miałem nadzieję, że do końca życia będzie żałowała swojej decyzji. Że aż do śmierci będzie ją prześladowało to, co zrobiła. Wyobraziłem sobie chudą staruszkę, ze skórą naciągniętą na kości jak wilgotny pergamin. Ujrzałem jej ostatni oddech, wyraz żalu w oczach – za życiem, które mogła spędzić u mojego boku. Poczulem mściwą satysfakcję.

W tej samej chwili zapragnąłem dla siebie rzeczy, których nigdy wcześniej nie chciałem. Być bogatym. Sławnym. Ożenić się z supermodelką i co noc pieprzyć się z jej ciałem odzianym w seksowną bieliznę. Pragnąłem dla siebie osiągnąć, z których każde byłoby jednym wielkim „goń się” wypowiedzianym pod adresem Grace Town. Chciałem zniszczyć ją moją wyjątkowością.

Ale gdy dotarłem do końca korytarza, część jadu się rozplynęła w powietrzu. „Dlaczego tak jest – pomyślałem – że jesteśmy gotowi skrzywdzić tych, na których nam najbardziej zależy?” Dwa dni temu ją kochałem, a dzisiaj chciałem rozerwać jej duszę na strzępy. Dlaczego? Ponieważ mnie zraniła? Ponieważ nie odpowiedziała miłością na miłość?

Nie można mieć żalu do drugiego człowieka w związku z jego uczuciami. Grace zrobiła to, co było jej zdaniem najlepsze. Nie mogłem żądać niczego więcej.

Siedziała na tym samym krześle co wtedy, gdy zostaliśmy wezwani do gabinetu Hinka. Wszystko kończyło się dokładnie w tym samym miejscu, w którym się zaczęło.

– Henrik – powiedziała cicho, pokazując ręką na krzesło, na którym kilka miesięcy wcześniej niezdarnie składałem ciało ze względu na jej obecność. – Chciałam ci coś dać.

– Nie mogę, Grace. Nie mogę tego ciągnąć.

– Wiem. Wiem. Uwierz mi: to naprawdę koniec.

W normalnych okolicznościach w tym miejscu powinna przeprosić za to, że wyrwała mi żywcem serce – Grace jednak nie była zwyczajną dziewczyną i nie rozumiała, że niekiedy wystarczy samo „przepraszam”. Zamiast tego podała mi niedużą kopertę z napisem „do rozpatrzenia przez redaktora naczelnego” i powiedziała:

– W dniu, w którym rozpoczęliśmy pracę nad gazetą, zapytałeś mnie, dlaczego zmieniłam zdanie. Nigdy ci nie odpowiedziałam, chociaż powinnam, bo już wtedy znałam odpowiedź.

– Okej.

– Codziennie, począwszy od dnia, w którym zginął, myślałam tylko o nim. Spodziewałam się, że tak właśnie będzie przez pierwsze tygodnie po wypadku. Oczekiwałam rozpacz. Pozwoliłam sobie się w niej zatopić. Już wcześniej traciłam tych, których kochałam. Prawie wszystkich. Dobrze wiedziałam, jak działa żaloba. Zdawałam sobie sprawę, że tylko czas tłumi ból, wypełnia twój umysł nowymi wspomnieniami, wbija się klinem pomiędzy ciebie a tragedię. Czekałam, aż zacnie mi być łatwiej. Czekałam, aż w mojej głowie przestaną się odtwarzać nasze najszcześniejsze wspólne chwile. Miałam nadzieję, że w końcu oddech przestanie mi więznąć w płucach za każdym razem, gdy zaleje mnie fala rozpacz. Przerwała na ułamek sekundy.

– Jednak nigdy nie zrobiło się łatwiej. Po jakimś czasie zrozumiałam dlaczego: ponieważ wcale tego nie chciałam. Nosilałam go ze sobą bez ustanku i to mnie wyczerpywało. Ale robiłam to, bo sobie na to zasłużyłam. Zasługiwałam na ciężar, ból, a kiedy rozpacz jego rodziców stawała się zbyt ciężka, brałam jej część na swoje ramiona.

Znów zamilkła na chwilę.

– I wtedy spotkałam ciebie. Tego pierwszego popołudnia, kiedy ze sobą rozmawialiśmy, przez całe dwadzieścia minut w ogóle o nim nie myślałam. Wiem, że to się wydaje mało, ale dla mnie to był prawdziwy rekord. Poczułam się taka lekka i zadowolona. W nocy przespałam całe cztery godziny i ani razu się nie obudziłam. Wiedziałam, że to ty byłeś tego przyczyną. Nie wiem jak i dlaczego, ale przy tobie moja rozpacz zniknęła.

– A jednak to nie wystarczy.

– Och, Henry. – Przysunęła się bliżej i chwyciła dłonią mój policzek. Zamknęłam oczy pod jej delikatnym dotykiem, a wtedy jej wargi dotknęły moich, niemożliwe miękkie.

– Dlaczego całujesz mnie w taki sposób? – zapytałam.

– W jaki? – Odsunęła się nieznacznie.

– Jakbyś była we mnie zakochana.

Przeniosła wzrok z moich oczu na usta i z powrotem.

– Inaczej nie potrafię.

Ponieważ Dominic był jej pierwszym i jedynym wszystkim i był przede mną. Uczyla się całować z największą miłością swojego życia.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że jestem jedynie migającą plamką w cudzej historii miłosnej. Owszem, w grę wchodziła wielka miłość, ale nie do mnie ona należała, chociaż wcześniej łudziłem się, że jest inaczej. Byłem jedynie drugorzędną postacią kręcącą się po marginesie, elementem fabuły, który miał rozdzielić głównych bohaterów. Gdybyśmy trafili do filmu *Pamiętnik*, z nadal żywym Domem, on byłby Allie, Grace – Noahem, a ja rudowłosą laską, której imienia nawet nie pamiętam. Tą, która zostaje porzucona i musi udawać, że nic takiego się nie stało.

Nie byłem wcale jej drugim wybrankiem, z czym, jak sobie wmawiałem, mógłbym żyć. Odgrywałem zaledwie rolę gościnną, byłem epizodyczną, drugoplanową postacią i czułem się podle, bo uświadomienie tego zabrało mi tyle czasu.

A ponieważ jestem kretynem, moją pierwszą myślą było, jak bardzo musiałyby sobie zapracować na to, żebym chciał ją z powrotem – gdyby wyraziła takie życzenie. Powiedzmy, że za miesiąc, rok albo dziesięć lat od tej chwili znów znalazłaby się w moim życiu, po spłaceniu długu wobec zmarłego chłopaka, po przejściu całej rozpacz i żałoby, na jaką zasługiwał. Kazałbym ją tak samo gonić mnie, jak ja musiałem gonić za nią. Gdyby przyszła do mnie w środku burzy i ulewy, a ja wreszcie zobaczyłbym ją przemoczoną, tak jak sobie to zawsze wyobrażałem, rzuciłaby mi się w ramiona, i – mój Boże – jakie to by było cudowne.

Ale gdy obserwowałem ją, jak na mnie patrzy, wiedziałem, że tak nigdy się nie stanie. Przyglądałem się, jak patrzy mi w oczy, i zrozumiałem, jak mało o niej wiem. To wszystko, o co tak bardzo chciałem ją zapytać – o jej dzieciństwo, matkę, plany na przyszłość – na zawsze pozostało dla mnie wielką niewiadomą.

Czekała, aż coś powiem, jednak milczałem, ponieważ wszystko, co było do powiedzenia, zostało powiedziane już sto razy wcześniej, a ja byłem zmęczony, bardzo zmęczony powtarzaniem tego samego w kółko, kiedy moje słowa nie robiły żadnej różnicy. I wtedy Grace Town położyła sobie ręce na głowie i głośno wypuściła powietrze. A potem zrobiła coś, czego się w ogóle nie spodziewałem. Uśmiechnęła się. To był uśmiech, który ciągnął się od ucha do ucha i rysował zmarszczki w kącikach oczu. Promienie słoneczne odbiły się w jej tęczówkach i zabarwiły je na niemal kryształowo przezroczysty kolor, a moje serce zadrżało na ten widok, była bowiem tak boleśnie piękna, a ja nienawidziłem jej za to, że nie jest moja.

– Jesteś niesamowitym zbiorem atomów, Henry Page'u – odezwała się, jej uśmiech jeszcze się pogłębił, po czym zaśmiała się bezgłośnie, to ten rodzaj śmiechu, który przypomina wypuszczenie powietrza przez nos. Opuściła ręce, zacisnęła wargi i skinęła głową, już zupełnie poważna.

Patrzyłem, jak wstaje i odchodzi – znowu, znowu, znowu – i wreszcie zrozumiałem, że pokochałem cały wieloświat różnych Grace.

Grace z krwi i kości, tę, która nadal nosiła nieprane ubrania Doma, spała w jego nieświeżej pościeli i biegała na chorej nodze, by ta zbyt szybko się nie zagoiła. Dziesięcina poczucia winy spłacana bólem. Jedyna sprawiedliwość, jaką mogła zaoferować Domowi, jedyne odkupienie, jakie widziała dla siebie.

Wersję, którą była wcześniej, istotę eteryczną, istniejącą już tylko na zdjęciach i na wpół zapomnianych fantazjach.

Oraz Kintsukuroi, dziewczynę marzeń, posklejaną złotem. Ta wersja była czysta, zdrowa, ubierała się kwiecicie i oświeślały ją promienie zachodzącego słońca. Ta wersja nuciła piosenki Pixies i The Strokes, gdy tańczyliśmy ze sobą pod girlandami lampek. To była wersja, którą pomogłem poskładać w całość.

Wiele światów splecionych w ciele jednej dziewczyny.

Otworzyłem kopertę z materiałem, który przyniosła do gazety. To była kartka papieru, wcześniej podarta na kawałki, a teraz sklejona od tyłu przezroczystą taśmą. Poszarpane blizny, które rozdarły tekst na części, zostały zasłonięte złotym atramentem. Wiersz Pabla Nerudy, papierowy wariant Kintsukuroi. Najwidoczniej Lola jej to oddała, dobra dusza. Diablica i anielica w jednym. Tytuł *Nie Kocham cię* został zakreślony złotym kółkiem, spodziewałem się, że mnie to okropnie zaboli, ale tak się nie stało. Przeczytałem więc ten wiersz, po raz ostatni.

*Kocham cię, jak się kocha jakieś rzeczy mroczne,  
w tajemnicy, pomiędzy cieniem a duszą.*

Nie chcę nikogo okłamywać, twierdząc, że stawanie przed człowiekiem, podawanie mu swojej duszy na tacy i przyjmowanie odmowy wcale nie jest najgorszą rzeczą na świecie. Pewnie przez następne dni, tygodnie, miesiące, a nawet lata będziecie się zastanawiać, co jest z wami nie tak, czy jesteście pokręcenii, brzydacy, okropni, że nie można was pokochać tak, jak wy pokochaliście tę drugą osobę. Będziecie szukać przyczyn w sobie i znajdziecie milion powodów, dlaczego ta osoba was nie chciała.

Może chodziło o to, jak wyglądacie rano, po obudzeniu, zanim weźmiecie prysznic. A może byliście zbyt chętni i gotowi, bo – wbrew temu, co się mówi – granie niedostępnego nadal jest w cenie.

Niekiedy ogarnie was przeświadczenie, że każdy atom, który się składa na waszą osobę, musi być w jakiś sposób wadliwy. Wtedy pamiętajcie o tym, o czym ja pamiętałem, patrząc na odchodzącą Grace Town: że jesteście niesamowici.

Ta dziewczyna była eksplozją chemiczną, która zaszła w moim sercu. Była gwiazdą, która przerodziła się w supernową. Przez kilka przelotnych chwil pojawiło się światło, gorąco i ból, zapanowała jasność większa niż w całej galaktyce, a potem wszystko zniknęło, zostawiając po sobie jedynie mrok. Ale śmierć gwiazdy daje budulec dla nowego życia. Wszyscy jesteśmy zbudowani z gwiazd. Wszyscy mamy w sobie Grace Town.

– Moje odkupienie – powiedziałem do Loli, podając jej kopertę od Grace.  
Otworzyła ją. Przeczytała. Uśmiechnęła się szeroko.

## ROZDZIAŁ 27

Reszta semestru wyglądała mniej więcej tak: tydzień później, kiedy się obudziłem rano, Grace Town nie była wcale moją pierwszą myślą po otwarciu oczu, ale zaledwie drugą. Nie pamiętam już, co ją wyprzedziło, wiem tylko, że to nie była ona. Już nie wbijała się we mnie jak piorun, nie paliła mi żył. Infekcja zaczęła ustępować. Rana się powoli goiła.

Wtedy wiedziałem już, że przeżyję. I tak rzeczywiście było.

Jeśli sądziliście, że nasz numer „Westland Post” okazał się absolutnym hitem, najwyraźniej nie słuchaliście, co mówię. To, co poszło do druku (dodam, że dwie godziny przed ostatecznym terminem), w skali jakości plasowało się pomiędzy „katastrofą” a „tragedią”. Nasza gazeta była frankensteinem pisemnych wypowiedzi uczniów, którzy – powiedzmy sobie szczerze – nie mogą się poszczycić dobrym stylem i logiką wypowiedzi.

Widać było, że całość została złożona przez kilkanaście osób, które miały różne wizje

tego, jak powinien wyglądać produkt końcowy. Odręczne szkice Bucka raziły na tle eleganckiego układu graficznego stworzonego przez Lolę, a ja nie miałem czasu zredagować wszystkich tekstów trzecioklasistów, wobec czego większość ich artykułów stanowiła postmodernistyczną interpretację klasycznej gramatyki – w najlepszym wypadku. Ale gazeta była duża, śmiała, a pomarańczowo-czarno-biała kolorystyka rzucała się w oczy. Rysunki były śliczne, spowiedzi zabawne, głupie i wzruszające, a Lola ułożyła to wszystko w taki sposób, że im dłużej na to patrzyłem, tym zyskiwałem coraz większą pewność, że tak, to jest cholernie dobre. I tak, otrzymaliśmy prawdziwe odkupienie win.

Hink nie miał pojęcia, że udało nam się dotrzymać terminu, dopóki cztery dni później nie zaaprobowałem wersji próbnej z drukarni. Kiedy się dowiedział, o mało nie wpadł w szal, ponieważ złamaliśmy każdy punkt regulaminu. Wychodzi na to, że główne grzechy, z jakich nastolatki chcą się rozgrzeszyć, obejmują seks, dragi bądź rock'n'roll, więc musieliśmy z Lolą napisać petycję do grona pedagogicznego, żeby przegłosowali, czy gazeta może się w ogóle ukazać.

Jak się okazało, decydujący głos przypadł profesorowi Hotchkissowi. Szczęśliwym zrzędzeniem losu na dwie godziny przed głosowaniem na jego biurku pojawiło się pudełko z babeczkami z *lemon curd*, co wprawiło go w zaskakująco dobry humor. Zagłosował „za” i do końca roku szkolnego trzymał na biurku oprawione w ramkę przeprosiny napisane własnoręcznie przez Sadie.

*Pokuta w Westland* trafiła do obiegu następnego dnia i od razu strąciła z piedestału spuściznę po Kyle'u, co oznacza, że co najmniej sześćdziesiąt procent uczniów sięgnęło po egzemplarz gazety. Piętnastoprocentowy wzrost – to wystarczyło, by przekonać Hinka i dyrektorkę, że mimo wykazanej bezprzykładności odkupiłem swoje winy na tyle, iż można mi było powierzyć kierowanie redakcją przynajmniej jeszcze jednego numeru.

Kiedy Lola i Georgia zerwały ze sobą bez ostrzeżenia i bez słowa wyjaśnienia, razem z Murrayem wyciągnęliśmy naszą przyjaciółkę, wrzeszczącą i wierzącą z bólu – tak samo, jak ona wcześniej wyciągnęła nas. Zmusiliśmy ją, by śpiewała kolędy i piła ajerkoniak. Kazaliśmy jej włożyć czapkę, szalik i rękawiczki, a potem pojechaliśmy razem (i jeszcze z Maddy) do centrum handlowego, żeby zrobić sobie zdjęcie ze Świętym Mikołajem. Zmusiliśmy ją do obejrzenia *Miasteczka Halloween* w dzień przed świętami, wciskając jej drobne ciało pomiędzy nasze na moim łóżku. Sprawiliśmy, że poczuła się lepiej. Nie od razu. Nie na długo. Ale zawsze.

Po Bożym Narodzeniu moi rodzice oznajmili, że na wakacje wyjadą osobno. Jedno do Kanady, drugie do Meksyku, ale tym razem żadna niechciana ciąża nie miała pomóc im się zejść ze sobą. Po powrocie tata się spakował i... wyprowadził do warsztatu w ogrodzie. Nadal jednak codziennie jedli razem śniadanie.

Z czasem, gdy dziesięcina została wreszcie spłacona, na fasadzie Grace Town zaczęły się pojawiać złote spoiwa. Po świętach kulała już znacznie mniej, w końcu przestała używać laski. Zaczęła przyjeżdżać do szkoły samochodem, czasami wkładała jakąś rzecz po Domie: wełnianą czapkę, naszyjnik, marynarkę, ale głównie chodziła w swoich ubraniach. Powoli, odpracowując swój wymaginowany dług, pozwoliła sobie na odkupienie win. Sprawiedliwości stało się zadość.

Nasze egzystencje się rozplotły. Wykasowaliśmy sobie nawzajem z grona znajomych na Facebooku, Instagramie i Snapchacie. Opiekę nad Rickym Martinem Knuppsem II powierzyliśmy Ryanowi, który przemianował go na „rybkę Rybkę” i pokochał bardziej niż my wszyscy razem wzięci. Wszystkie łączące nas więzy powoli się poluzowały, blizny się zagoiły, wreszcie każde z nas stało się odrębną jednostką. Przypominałem sobie o niej tylko wtedy, gdy przeszywał mnie nagły tęskny ból: w sylwestra, kiedy wybuchały fajerwerki, gdy oglądałem

samotnie filmy w ciemności, a przede wszystkim, gdy budziłem się rano, a jej nie było u mojego boku.

Przez cały ten czas kochałem ją tak, jak ona kochała jego.

W tajemnicy, pomiędzy cieniem a duszą.

## UWAGI

Rdzeń niniejszej powieści pochodzi z artykułu, który ukazał się 11 lipca 2014 r. na łamach „Nerve”, pt. *Twój umysł a koniec związku* autorstwa Drake’a Baera. W szczególności zainteresowała mnie rozmowa z Lucy Brown, neurobiolog z uniwersytetu Yeshiva – to na jej podstawie stworzyłam postać Sadie.

Zarybione jezioro w budynku opuszczonego dworca kolejowego nie pojawiłoby się na kartach mojej książki, gdyby nie artykuł opublikowany 30 listopada 2013 r. w „Renegade Travels” pt. *Egzotyczne ryby przejmują piwnicę opuszczonego centrum handlowego w Bangkoku*. Koncepcja samej stacji zainspirowana została dość luźno przepięknym, opuszczonym, nawiedzonym budynkiem dworca w Sydney, do którego wcale a wcale się nie włąamałam.

Scena komediowa z udziałem Ricky’ego Gervaisa i Liama Neesona, wspomniana w rozdziale 9, pochodzi z odcinka 1 serialu BBC *Life’s Too Short*.

Prezentacja PowerPoint Henry’ego opiera się na kilku przezabawnych i bardzo przekonujących przykładach z Tumblr (*Dlaczego powinnaś mi pozwolić złapać się za tyłek, Dlaczego powinnaś pozwolić mi złapać się za cycki* itp.). Najwięcej jednak zaczerpnęłam z prezentacji *Dlaczego powinniśmy zrobić coś à la seks*, na którą trafiłam na Imgur i dlatego nie roszczę sobie żadnych pretensji do jej cudowności. Anonimowa Autorko oryginału: mam wielką nadzieję, że udało Ci się zaciągnąć go do łóżka.

Słowa, które ojciec Henry’ego wypowiada na temat Grace w rozdziale 17: „Dziwność to nieodłączny element piękna”, to cytaty Charles’a Baudelaire’a.

Nie mam pojęcia, kto jest autorem słów: „Historie z happy endem to po prostu opowieści, które jeszcze nie dobiegły końca”. W każdym razie padły w filmie *Pan i Pani Smith*.

„Gdyby miłość mogła Cię ocalić, żyłbyś wiecznie”, inskrypcja znajdująca się na nagrobku Doma, to tekst, który – o ile się nie mylę – nie ma konkretnego autora.

Zdania „Czy gdybyś była marchewką, byłabyś dobrą marchewką?” oraz „Fioletowe, ponieważ kosmici nie noszą kapeluszy” zostały ściągnięte bezpośrednio ze wspaniałej przepastnej skarbnicy, jaką jest Internet – tak samo zresztą jak kilkanaście innych odniesień, których tutaj nie opisałam (obawiam się, że straciłam co do nich rachubę).

Nie miejcie mi za złe mojej bezprzykładności.



## DZIĘKUJĘ

Mojej agentce, Catherine Drayton – za to, że jest moją największą i najbardziej żarliwą poplecniczka. Nawet gdybym wymieniła tu wszystkie możliwe synonimy słów „wdzięczny” i „szczęściara”, i tak nie zdołałabym wyrazić tego, co czuję.

Całemu personelowi InkWell Management, zwłaszcza Masie Cochran, która jako pierwsza przeczytała tę książkę, oraz Williamowi Callahanowi za jego bezcenne rady wydawnicze; a także ekipie zajmującej się sprzedażą praw zagranicznych: Liz Parker, Lyndsey Blessing oraz Alexis Hurley – za to, że jesteście takie świetne w tym, co robicie.

Mojej redaktorce, Stacey Barney – d o s ł o w n i e z a w s z y s t k o. Wnikliwość, żarliwość oraz wielką miłość do Henry’ego i Grace. Nie sposób powątpiewać w zrządzenia losu i znajdowanie pokrewnej duszy, skoro moja książka znalazła taką właśnie pokrewną duszę w Twojej Osobie.

Kate Meltzer – za nieustanne wsparcie, wszystkim pracownikom Putnam i Penguin Random House za ciepłe przyjęcie mnie do rodziny wydawniczej.

Laurze Harris z Penguin Australia – za tchnięcie życia w Murraya i podzielenie mojego uwielbienia dla Taylor Swift.

Emmie Matthewson z brytyjskiego Hot Key – jak już pisałam w mailach, dziesięcioletnia „ja” doznałam zatrzymania akcji serca, kiedy w mojej skrzynce pojawiła się propozycja od Ciebie!

Mary Pender i Kassie Evashevski z UTA – za tak fantastyczne zajęcie się prawami filmowymi do mojej książki.

Czytelnikom moich pierwszych dzieł – za wmawianie mi, że jestem dobra, chociaż absolutnie taka nie byłam; należą do nich Cara Faagutu, Renee Martin, Alysha Morgan, Sarah Francis, Kirra Worth, Jacqueline Payne, Danielle Green oraz Sally Roebuck. Nie zdajecie sobie sprawy, jak bardzo potrzebne mi było Wasze (kompletnie nietrafione w czasie) wsparcie.

Całej ekipie Arc, a w szczególności Lyndal Wilson – to dzięki Wam stałam się o wiele lepszą pisarką (a do tego tolerowaliście moje częste podstępny/lekceważenie reguł).

Twitterowi i Team Maleficent – za to, że jesteście moimi wiernymi cheerleaderkami, dziękuję Wam: Samantha Shannon, Claire Donnelly, Katherine Webber, Liso Lueddecke Catterall i Leiano Leatutufu.

Wyrazy wdzięczności kieruję również pod adresem jedynej w swoim rodzaju, niezastąpionej Katie Webber. Pokazałaś mi, że niemożliwe staje się możliwe, wystarczy pracować odpowiednio ciężko. Jestem z Ciebie niezmiernie dumna i pełna podziwu dla Twojego zaangażowania.

Dziękuję mojej ekipie Cowper za wsparcie udzielane mi podczas pisania tej książki: Bazowi Comptonowi, Geoffowi Metznerowi, a zwłaszcza Tamsin Peters. Za filiżanki herbaty, kąty do pisania, rosół, gdy byłam chora (często), i dokarmianie mnie, gdy miałam pusty portfel (jeszcze częściej). Widzicie, jak daleko zaszedł ten Wasz pasożyt?

Mojej cudownej babci, Diane Kanowski, która nigdy nie przeczytała tej powieści, jest bowiem zbyt skandalizująca, ale której i tak jestem ogromnie wdzięczna! Setki naszych wizyt w bibliotece, gdy byłam małą dziewczynką, ukształtowały moją miłość do książek.

Moim rodzicom, Phillipowi i Sophie Batt – za wszystko, na zawsze. To, że znosiliście mnie jako nastolatkę, zaczyna wreszcie przynosić rezultaty, prawda? Prawda? A w szczególności mojej Mamie: w książce *Gwiazda zaranna* Pierce’a Browna znajduje się taki tekst: „Matka to mój kręgosłup. Z żelaza”. To samo myślę o Tobie, Mamo.

Ale przede wszystkim jestem bardzo wdzięczna moim siostrzyczkom, Shanaye i Chelsea, za tysiąc wypraw samochodowych o północy, za skittlesy i pepsi max, za puszczone w kółko te

same piosenki, za bezprecedensowe ukrycie przed mamą, że rzuciłam pracę, by pisać, za uwielbienie moich bohaterów jeszcze większe niż moje własne, i ogólnie za bycie najwspanialszymi i najukochańszymi istotami ludzkimi na świecie.

Ta książka jest zdecydowanie i stuprocentowo dla Was.

## CYTATY FILMOWE

- [\*1] *Rzeczy, które posiadasz, w końcu zaczynają posiadać ciebie.* słowa Tylera Durdena, *Podziemny krąg*, reż. David Fincher, 1999 r.
- [\*2] *Ostrzegam cię. Jeśli ja stracę cierpliwość, ty stracisz głowę!* słowa Królowej Kier, *Alicja w Krainie Czarów*, Walt Disney Studios, 1951 r.
- [\*3] *To prosta, porządna opowieść o zwierzętach, które nienawidzą ludzi.* słowa Rona Swansona; *Parks and Recreation*, serial komediowy USA 2009–2015.
- [\*4] *Milhouse'owi wszystko się udaje.* słowa Milhouse'a, *Simpsonowie*, serial komediowy USA, sezon 10, odc. 19 pt. *Mama, tata i pop-art*
- [\*5] *wcale go nie nienawidzi – ani trochę, ani na jotę, ani przez chwilę* parafraza wiersza, który recytowała Kat, *Zakochana złośnica*, reż. Gil Junger, 1999 r.
- [\*6] *Czasami się zastanawiam, czy są w życiu rzeczy ważniejsze niż świetny wygląd.* aluzja do wypowiedzi Dereka Zoolandera, *Zoolander*, reż. Ben Stiller, 2001 r.
- [\*7] *Następnym razem musisz wypróbować swoje stalowe spojrzenie.* aluzja do wypowiedzi Dereka Zoolandera, *Zoolander*, reż. Ben Stiller, 2001 r.
- [\*8] *To śmiała taktyka, Cotton. Sprawdźmy, czy się opłaci.* *Zabawy z piłką*, reż. Rawson Marshall Thurber, 2004 r.
- [\*9] *Za każdym prawie razem to działa. Efekt murowany.* *Legenda telewizji*, reż. Adam McKay, 2004 r.
- [\*10] *A co powiesz na coś takiego: I uderzę z wielką pomstą i zapalczywością na tych, którzy braci mych z drużyny pobić i zniszczyć próbują. I poznacie, że imię me Randy Knupps, gdy uczynię pomstę moją nad wami.* parafraza słów Julesa Winnfielda, *Pulp Fiction*, reż. Quentin Tarantino, 1994 r.
- [\*11] *Jak dobrze, że jest pan w mojej drużynie, panie Winnfield.* aluzja do filmu *Pulp Fiction*, reż. Quentin Tarantino, 1994 r.
- [\*12] *Jeszcze raz powiesz „drużyna” i ci jaja odstrzelę!* parafraza słów Julesa Winnfielda, *Pulp Fiction*, reż. Quentin Tarantino, 1994 r.
- [\*13] *Nadejdzie czas, w którym będziecie musieli wybierać między tym, co słuszne, a tym, co łatwe.* słowa Dumbledore'a, *Harry Potter i Czara Ognia*, reż. Mike Newell, 2005 r.
- [\*14] *JAK ŚMIESZ ZAJMOWAĆ JEGO MIEJSCE.* słowa wypowiedziane przez Harry'ego Pottera do Snape'a, *Harry Potter i Insygnia śmierci*. Część II, reż. David Yates, 2011 r.
- [\*15] *Życie długo i pomyślnie.* charakterystyczne przywitanie wolkańskie, *Stark Trek*, twórca: Gene Roddenberry, 1966–1969.
- [\*16] *Zabierz mnie stąd, Scotty!* słowa kapitana Kirka, *Stark Trek*, twórca: Gene Roddenberry, 1966–1969.
- [\*17] *Co ty możesz wiedzieć o sobie, skoro nigdy nie walczyłeś?* słowa Tylera Durdena, *Podziemny krąg*, reż. David Fincher, 1999 r.
- [\*18] *że nie będzie mu potrzebny stary ani młody ksiądz* słowa doktora Zło, *Austin Powers 2: Szpieg, który nie umiera nigdy*, reż. Jay Roach, 1999 r.

## Przypisy

- [1] P. Neruda, *Sto sonetów o miłości* – XVII, [w:] tegoż, *Poezje wybrane*, tłum. Jan Zych, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980, [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki]. [2] Miasto Australii. [3] Mówisz, że chcesz zostać ze mną/Skarbie, musisz mieć nie po kolei w głowie. [4] Aluzja do nazwy zespołu. Plastic Stapler's Revenge = Zemsta Plastikowego Zszywacza. [5] Internetowa platforma aukcyjna, na której handlowano nielegalnymi towarami. Zamknięta przez organy ścigania USA w 2013 r. [6] Harland Sanders, założyciel sieci KFC. [7] Amerykańska prostytutka, seryjna morderczyni, skazana na karę śmierci. [8] Sarah Williams, *Stary astronom*, przekład tłumaczki. [9] Kobieca postać filmowa, bardzo dziewczęca i wesoła, jej jedyną rolą jest wprowadzenie elementu przygody i radości do życia bohatera męskiego. [10] Niepoczytalny amerykański zamachowiec, który w 1981 r. próbował zastrzelić prezydenta Ronalda Reagana. Tłumaczył się, że chciał w ten sposób zwrócić uwagę Jodie Foster, którą bezgranicznie wielbił. [11] Angielski spiskowiec, który w 1605 r. próbował dokonać aktu wysadzenia parlamentu i zabicia króla Anglii i Szkocji Jakuba I. [12] Klasyczna odpowiedź na dowolne „zadanie” matematyczne w wielu anglojęzycznych dowcipach. [13] Zabawki firmy Hasbro, pistolety, karabiny, wyrzutnie itp. strzelające m.in. strzałkami czy kulkami z pianki. [14] Nips – wyraźnie zarysowane sutki albo pogardliwe określenie Japończyków. [15] Amerykański *reality show*, ukazujący życie łowców krokodyli mieszkających na bagnach Luizjany. [16] Weź moją rękę, weź całe moje życie. [17] Amerykański pilot, zasłynął lądowaniem awaryjnym na rzece Hudson w Nowym Jorku w 2009 r., dzięki któremu uratował życie wszystkich pasażerów i członków załogi. [18] Jesteś gwiazdny pyłem. [19] „Love lifts us up where we belong” – fragment z nagrodzonej Oscarem piosenki *Up where we belong* śpiewanej przez J. Cockera i J. Warnes, pochodzącej ze ścieżki dźwiękowej do filmu *Oficer i dżentelmen*.



 zaBookowani.pl

Henry Page jeszcze nigdy nie był zakochany. Jest zbyt zajęty. Kończy szkołę średnią i jego energię pochłania zdobycie indeksu przyzwoitej uczelni. Nieliczne wolne chwile spędza z przyjaciółmi bądź przy grach komputerowych. A poza tym wreszcie otrzymał stanowisko redaktora naczelnego szkolnej gazety. I wtedy poznaje Grace Town – nową uczennicę, która nosi za duże męskie ubrania, podpira się laską i skrywa pewną dramatyczną tajemnicę...

## CHEMIA NASZYCH SERC

to przewrotny i zarazem niezwykle wzruszający dowód na to, jak słodko-gorzka bywa pierwsza miłość.



WYDAWNICTWO  
DOLNOŚLĄSKIE

[www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

ISBN 978-83-271-5640-2

Dotyczy tylko jednego egzemplarza



